

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

LITERATURA

Nr 1(38) Zielona Góra 2012 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754

Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**

Zrealizowano w ramach Programu *Promocja literatury i czytelnictwa* ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne
Pro Libris nr 1(38) – 2012

Prace plastyczne wykorzystane w numerze
Jarosław Jeschke

© Copyright by
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2012

Redaktor naczelny
Andrzej Buck

Redaktor graficzny
Magdalena Gryśka

Sekretarz redakcji, korekta
Ewa Mielczarek

Stale współpracuje
Małgorzata Mikołajczak

Fotografie:
archiwum CKiJN, archiwum J. Jeschke, archiwum A. Sławińskiego, Barbara Curzytek,
Renata Masternak, Marta Puchalska

Wydawca
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy
Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 68 451 72 78

Druk i oprawa
TOTEM Inowrocław

Nakład – 350 egz.

ISSN 1642-5995
Nr indeksu 370754

Adres redakcji
WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris);
e-mail: Prolibris@wimbp.zgora.pl
<http://www.wimbp.zgora.pl>

Od redakcji

Zapraszamy Państwa na kolejne spotkanie z „Pro Libris”, tym razem w pełni literackie. Zebraliśmy w numerze prozę i poezję autorów pozyskanych całkiem niedawno i tych publikowanych wielokrotnie.

Do naszych stałych prozaików należy Przemysław Grzesiński, którego świetne opowiadania publikujemy na łamach pisma od bez mała dwóch lat. Wewnątrz tego numeru jest szansa zapoznać się z kolejnym tekstem z cyklu *Brama* zatytułowanym *Spór o istnienie Marka*. Niewątpliwie równie ciekawą autorką jest Renata A. Thiele, dziennikarka z Zielonej Góry, która od kilkudziesięciu lat przebywa w Akwizgranie, jednak jej związki z naszym regionem są wciąż bardzo silne, co pobrzmiwa w jej tekstach pisanych na obczyźnie.

Publikujemy także tekst Alexa Sławińskiego, poety zamieszkałego w Wielkiej Brytanii. Jego wiersze ukazywały się w „Pro Libris” parę lat temu. Tym razem autor dzieli się z czytelnikami ciekawą fotorelacją z wydarzenia kulturalnego o wiele mówiącym tytule „PoEzja ocala” zorganizowanego i przeprowadzonego w Londynie. Cieszy nas możliwość współpracy z ludźmi, których losy rzuciły za granicę, tworzymy wspólnie rodzaj kulturalnego pomostu łączącego emigrantów z naszym kwartalnikiem. To dla nas ważna więź...

Są też w numerze nazwiska całkiem nowe jak Marcin Radwański, Anna Łazdowska-Elińska,

Jakub Łysakowski, Dariusz Pawlicki czy Lech Brywczyński. To poeci, prozaicy, dramaturdzy.

Po latach nieobecności wróciła ciekawym tekstem na nasze łamy Małgorzata Stachowiak-Schreyner. To też nas cieszy, autorzy wypróbowani, dojrzały i zawsze chętni do współpracy.

Zachęcamy także do przejrzienia działu VARIA. Pojawia się tu kilka tematów, które skłaniają do refleksji, warto więc je przeczytać. Anna Makowska-Cieleń przypomina swoim tekstem postać niebanalnej poetki Ireny Dowgielewicz w 25. rocznicę śmierci tej wybitnej gorzowianki. Kolejna autorka Barbara Krzeszewska-Zmyślony opowiada o powstaniu i funkcjonowaniu Centrum Kultury i Języka Niemieckiego Uniwersytetu Zielonogórskiego. Warto podkreślić, że to właśnie Pani Barbara jest inicjatorką założenia tej placówki i żarliwą rzeczniką dobrosąsiedzkich kontaktów z Niemcami, co widać na przykładzie piętnastoletniej działalności Centrum. Natomiast Joanna Kapica-Curzytek w zajmujący sposób dzieli się swoimi wrażeniami z wystawy w Muzeum Martin Gropius Bau w Berlinie *Obok: Polska – Niemcy. 1000 lat historii w sztuce*.

W numerze nie może zabraknąć poezji. Proszę się przyjrzeć wierszom Ireny Zielińskiej, Henryka Urbanka, Anny Łazdowskiej-Elińskiej, Otto Bierbauma, Karola Graczyka, Beaty Patrycji Klary, Jacka Żeromskiego. Na prawdę warto!

Zapraszamy do lektury.

Spis treści

Renata A. Thiele , Misia z wesołego domu	6
Irena Zielińska , Wiersze [Rozmowa z Tadeuszem Różewiczem, Nie pytaj komu bije dzwon...]	14
Przemysław Grześniński , Spór o istnienie Marka (opowiadanie z cyklu „Brama”)	17
Henryk Urbanek , Wiersze [My, marnotrawcy cierpienia]	24
Zbigniew Masternak , Transfer (z piłki nożnej do literatury i z powrotem)	27
Anna Łazdowska-Elińska , Wiersze [Próżnia, Wspomnienie znad Bałtyku, Nieświadomy anioł, Jutro, Ja i Ty, Zdjęcie]	36
Marcin Radwański , Głos	42
Karol Graczyk , Wiersze [Przełomy, Wieczna biel miasta, Wszystkie dachy Dachau, Mało miejsca, Remisja, Gabinet cieni]	47
Małgorzata Stachowiak-Schreyner , Ślady	53
Beata Patrycja Klary , Wiersze [Anty-geny. Lalki reborn]	56
Czesław Sobkowiak , Zapiski po przerwie	58
Jacek Żeromski , Wiersze [*** Jesteś jak ptak..., *** Niech oczy twe..., *** Jestem poruszany..., *** Idę dalej...]	61
Lech Brywczyński , Skradziony pocałunek	65
Otto Julius Bierbaum , Wiersze [Gebet zwischen blühenden Kastanien (Modlitwa wśród kwitnących kasztanów), Liebe und Tod (Miłość i śmierć)]	71
Dariusz Pawlicki , O pewnych jabłkach i jabłoniach	72
ZBLIŻENIA	
Marika Sobczak , Łemkowie a pamięć – na podstawie wspomnień łemkowskich	76
Jakub Łysakowski , Pieśń o kacie (fragment poematu)	80
PREZENTACJE	
Jarosław Jeschke	90
VARIA	
Anna Makowska-Cieleń , 25 lat temu żegnaliśmy na Cmentarzu Komunalnym w Gorzowie Irenę Dowgielewicz	92
Joanna Kapica-Curzytek , Tysiąc lat wspólnych dziejów (wystawa w Muzeum Martin Gropius Bau w Berlinie <i>Obok: Polska – Niemcy. 1000 lat historii w sztuce</i>)	94
Barbara Krzeszewska-Zmyślony , Centrum Kultury i Języka Niemieckiego Uniwersytetu Zielonogórskiego. 15 lat istnienia (Das 15. Jahre Bestehen des Zentrums für die deutsche Sprache und Kultur an der Universität in Zielona Góra)	98
Alex Sławiński , Londyńskie święto sztuki	104
Joanna Wawryk , Muzyka jako urzeczenie	107
Maciej Lindmajer , <i>Motyle w motelu</i> i braterstwo słów. O debiucie poetyckim Andrieja Kotina	112
Ewa Mielczarek , Święto literatury lubuskiej. Wawrzyny 2011 wręczone	115
Maciej Lindmajer , Bawiąc się w chowanego z Beatą Patrycją Klary	118

RECENZJE I OMÓWIENIA

* Lubuscy literaci	
Małgorzata Mikołajczak, <i>Zbliżenia. Studia i szkice poświęcone literaturze lubuskiej</i> (Kinga Mazur)	120
* Pamięć egzystencji	
Jacek Łukasiewicz, <i>Stojąca na ruinie</i> (Czesław Sobkowiak)	121
* Wszystko jest tu przejściowe	
Eugeniusz Kurzawa, <i>Ćwiczenia z rozpacz</i> (Mirosława Szott)	124
* Odnaleziona czasoprzestrzeń	
Jolanta Pytel, <i>Nad Urwiskiem</i> (Mirosława Szott)	125
* Kameralne mistrzostwo	
Michael Cunningham, <i>Nim zapadnie noc</i> (Jakub Rawski)	127
* Szumy, zlepy, ciągi	
Wystawa malarstwa Magdy Gryski (Artur Pastuszek)	128
* Teatr Lubuski w anegdocie	
Zdzisław Grudzień, <i>W kulisach i na scenie. Część II. Wspomnienia 1980-1992</i> (Marika Sobczak)	133
* Chichot Michała Michajłowicza	
Spektakl <i>Scenki z Zoszczenki</i> (Halina Bohuta-Stapel)	134
KSIĄŻKI NADESŁANE	137
AUTORZY NUMERU	138
III Konkurs „Debiut Poetycki Pro Libris” rozpoczęty!	142

Misia z wesołego domu

Wysiadam z tego autobusu, a nie wiem, gdzie byłam; jak ja tego nie znoszę, złości się Misia.

– Misiu, zaczekaj, podam ci rękę – mówi do niej Halinka, opiekunka w domu spokojnej starości. Albo jakiejś tam starości, bo spokojnie to tu nie jest. A i dobrze, dodaje w myślach Misia.

– Podobało ci się na tej wycieczce? – Halinka podaje jej rękę, a drugą podtrzymuje starszą, ubraną w lekką letnią sukienkę panią, kurczowo trzymającą torebkę, bowiem damy – każdy to wie – nie opuszczają domu bez torebki, niezależnie od tego, dokąd się udają. Tym razem wybrali się na wycieczkę do Ochli. Tam mieszkańcy domu spędzili całe przedpołudnie. Była piękna pogoda, więc wielu weekendowych urlopowiczów zjechało nad zalew.

Stopnie w autobusie są wysokie, a nogi Misi krótkie. Nie urosła na dużą. Takie były wtedy czasy, kiedy się urodziła. Kilka lat po jej urodzeniu rozpętał się światowy kryzys gospodarczy i mimo iż nie pochodziła z biednego domu, rodzina żyła bardzo skromnie, szczególnie po tym, jak ojciec stracił firmę. Jedli prosto, kalorycznie, ale na wzrost już nie wystarczyło. Czasem cieszyli się, że w ogóle było coś do jedzenia.

Potem wojna też nie rozpieszczała kulinarnie. Jedyne, co wtedy rosło, to brzuchy, wypchane kaszą i ziemniakami. Aż cud, że Misi figura na tym nie ucierpiała. Na jakiej wycieczce? Misia pyta się w duchu i tylko potakuje, kiwając głową. Obiecuje sobie spytać o to swoją sąsiadkę i najlepszą przyjaciółkę Lidzie. Jeśli w drodze do pokoju o tym nie zapomni.

– No to chyba nie będę musiała cię namawiać następnym razem, co? – Halinka spogląda na Misię i uśmiecha się życzliwie. Lubi tę starszą dystyngowaną panią, która wciąż jeszcze potrafi śmiać się jak dziecko. I wie, że do następnej wycieczki będzie Misię znów musiała namawiać. Za każdym razem jest tak samo. Ale dla Halinki to dzień powszedni, jej pacjenci mają wszystko oprócz pamięci. Czasem więc ona musi im ją zastąpić, być ich kalendarzem.

Figlarna ta Halinka, taka sympatyczna, a już dyrektorka, myśli Misia. Albo coś takiego. Mówię tak do niej, ale nie jestem pewna. Może jej to pochlebia, może nie. Niech sobie tam myśli, co chce, bo i tak nie pamiętam, skąd i dlaczego ją znam. Misia tupie nogą ze złości, jak zwykle, kiedy znowu uświadamia sobie, że jej pamięć na długo przed nią pożegnała się z tym światem.

– Czy coś się stało? – Halinka jednak zauważyła niezadowolenie Misi.

– Ach nic, coś mi się tam chyba przyklepiło do obcasa – Misia kłamie jak z nut. Ma to opanowane do perfekcji, nawet okiem nie mrugnie.

Misia chwytła pod rękę sąsiadkę ze swojego piętra i powoli idą do swoich pokoi. Zaraz będzie obiad, więc trzeba się przygotować, zabrać sztucce, pociągnąć bladoczerwoną szminką usta. Nic to, że zapadają się trochę, bo zęby Misia już dawno gdzieś schowała i nie może teraz ich znaleźć. Zresztą i tak ich nie lubiła. Nie pasowały, uwierały, wciskały w dziąsła. Zawsze robiło jej się od nich niedobrze i właściwie jest szczęśliwa, że udało się jej o nich zapomnieć. Alina, jej córka wprawdzie powiada, że bez nich Misia wygląda o wiele starszej, ale co tam. Wtedy, jak Alina powiedziała jej to po raz pierwszy, Misię bardzo zabolalo. Nie chciała wyglądać staro. Zawsze dbała o siebie i nikt nie wiedział, ile miała lat, a już wtedy miała ich niemało. Misia zna swoją Alinę i wie, że to taki jej rodzaj terapii wstrząsowej. Alina zawsze lubiła konkrety i skróty myślowe, dlatego jej oceny były takie dosadne, i czasem bolące. Kiedyś robiły na Misi naprawdę duże wrażenie, ale teraz, od kiedy tu mieszka, wszystko jest inne, inaczej ważne.

Misia wchodzi do przedpokoju, a potem puka i nie odczekawszy odpowiedzi, otwiera drzwi do pokoju Lidzi:

– Cześć Lidziu! – woła Misia od drzwi – Pilnowałaś moich milionów?

– A pewnie. Nic innego nie robiłam. Nic innego – zapewnia echem Lidzia i uśmiecha się do siebie.

Misia siada na kanapie i patrzy uśmiechnięta na Lidzię, jakby chciała jej powiedzieć coś wesołego. Ale co? Eh tam, później jej się może przypomni. Starsze panie mają i tak świetny humor. Zawsze go mają, a szczególnie wtedy, kiedy po burzliwej dyskusji o tym, która ma umrzeć jako pierwsza, w końcu zapominają o przedmiocie rozmowy i schodzą na inny, o wiele bardziej pasjonujący temat. Nie, nie ploteczki. Obie jednakowo ich nie znoszą i złością się na sąsiadki wysiadujące całymi dniami na fotelach w kąciu towarzyskim i obgadujące innych. Z nimi ani Misia, ani Lidzia nie chce mieć nic wspólnego. Misia nawet lekko podnosi głowę przechodząc obok nich. Dyskretna manifestacja odrębności robi jej dobrze. A one to widzą.

– Pani mama to nie chce z nami rozmawiać. To jest dama, proszę pani – mówi jedna z nich do odwiedzającej Misię Aliny.

Alina kiwa głową – i dziwi się. Panie wydają się sympatyczne, ale to jej mama tu żyje, więc niech sobie układa współżycie z nimi, jak chce. Aliny zadanie skończyło się, gdy matka tu zamieszkała. Kiedy usłyszała o programie kulturalnym, o ślubach i innych niesamowitych wydarzeniach w tym domu, zrozumiała, że to jest najlepsze miejsce, jakie mogła znaleźć dla niemogącej już żyć bez opieki matki. Nigdy nie wątpiła w słuszność tej decyzji, a życie potwierdziło jej wybór: mama kwitnie.

Misia i Lidzia chętnie opowiadają sobie o dawnych czasach. Może i trochę się w tym gubią i od czasu do czasu powtarzają, ale nikt tego tak naprawdę nie wie. A one nie pamiętają. Zresztą to nieważne, najważniejsze, że są razem i się lubią. I bardzo lubią te swoje rozmowy. Szkoda tylko, że Lidzia nie lubi krzyżówek. Misia tak chętnie je rozwiązuje, szczególnie gdy robi to w towarzystwie. Ale Lidzia nie daje się przekonać. Może boi się, że nie będzie znała odpowiedzi i trochę się wstydzi? Czasem obie siedzą tylko i milczą, każda zatopiona we własnych myślach. Może przeżywają jeszcze raz sceny z ich długiego życia. Kto to wie?

Kolejny dzień, chyba w maju

Misia wstała w świetnym humorze. Dzisiaj idę na spacer, nie ma co, obiecuje sobie. Taka ładna pogoda – siedzieć w domu to grzech. Przejdę się w dół do sklepów.

Trochę stroma ta ulica, szczególnie od wieży, ale pójdę powoli. Do obiadu zdążę. A jeśli nie, to pójdę po obiedzie. Zobaczą, co tam mają. Misia wyciera się ręcznikiem i podśpiewuje cichutko. Myje się bardzo dokładnie, zabiera jej to codziennie dwadzieścia pięć minut, ale czasu teraz ma dużo. Potem odsuwa wielkie drzwi szafy i przegląda garderobę. Na ulicę trzeba się porządnie ubrać. Oho, znowu przytyła.

Kolejna spódnica do poprawki. Ale jak tu nie przytyć, gdy ruchu mało, a dobrze dają jeść. Na przykład dzisiaj na śniadanie... co to tam było, eh... Misia nie pamięta. Ale nie jest głodna, więc chyba dobrze pojadła. Jest ciepło, więc letnia sukienka wystarczy. Buty? Ach, tu są, jej ulubione, bordowe sandały na koturnie. Bardzo wygodne. Trzeba się jeszcze uczesać. Gdzie ten grzebień? Misia rozgląda się bezradnie po pokoju, zagląda dwa razy do szuflady, jednej, drugiej. Jest! Stojąc przed lustrem, wpina spinki w swoje siwe włosy. Należałoby je chyba trochę podciąć. Już dawno miała pójść do fryzjera, ale nigdy o tym nie pamięta. Ach, po co mi ta głowa, kiedy nic nie pamięta? Misia złości się i wyszarpuje spinkę z włosów, by wpiąć ją w nie ponownie. Lepiej. Jeszcze tylko torebka, grzebień, chusteczka do nosa i klucze. Aha, no i szminka. Misia nie ma gotówki, bo nie potrzebuje. A jeśli czegoś potrzebuje, kremu albo gazet, po prostu zamawia. I to z dostawą do pokoju! No więc po co jej gotówka. Jeszcze ją kto okradnie.

– Lidziu! Powiedz, dobrze wyglądam? – Misia puka do drzwi sąsiadki i otwiera je, nie czekając na zaproszenie. Staje w drzwiach i patrzy pytająco na Lidzię. Bez tego rytuału Misia nigdy nie wychodzi, chociaż ostateczny werdykt Lidzi jest zawsze taki sam:

– A pewnie, że dobrze wyglądasz. Panna jak malowanie. Jeszcze cię który porwie – chichocze Lidzia i kiwa głową na pożegnanie.

– No coś ty. Ty lepiej uważaj na te moje miliony – Misia macha ręką i wychodzi.

– Dobrze, już dobrze – odpowiada Lidzia.

Może Lidzi jest wszystko jedno, jak Misia wygląda, a może Misia rzeczywiście dobrze wygląda. Jak dama. Panowie oglądają się za Misią i Misia to czuje. Dobrze jest jej z tym. Na to człowiek nigdy nie jest za stary. O, nie! Misia dumnie kroczy korytarzem i delikatnie przechyla głowę, pozdrawiając mieszkańców domu. Niektórzy kiwają głową, zanim na nich spojrzy. Ach nie, oni zawsze kiwają głowami. Tacy już są. Starość jest okropna, myśli widząc ich Misia, jakby jej to nie dotyczyło. Nagle podchodzi szybkim krokiem do wózka inwalidzkiego i podnosi z ziemi gazetę:

– Proszę, wypadła panu – mówi i poklepuje starszego jegomościa po kościstej, upstrzonej starczymi przebarwieniami dłoni. Potem kładzie mu na kolanach gazetę. Wystraszony podnosi na nią wzrok i widać, że nie rozumie, co się wokół niego dzieje.

– Gazeta panu wypadła – powtarza mu głośno do ucha Misia.

– Niech pani tak nie krzyczy! – oburza się starzec.

Misia wzrusza ramionami i odchodzi. Kilka kroków dalej pozdrawia kogoś, kiwając ręką jak angielska królowa. Ten ktoś to były starosta z pobliskiego miasteczka. Misia nie pamięta, jakiego. Pan Witold lubi ją i chętnie patrzy, jak Misia macha ręką, więc też pomachuje, gdy tylko ją zobaczy. Kiedyś na początku nie darzyła go sympatią, bo wydawał się jej zbyt ofensywny, a dama potrzebuje czasu, by nabrać zaufania do obcego mężczyzny. Ale teraz, po kilku spotkaniach – pierwsze trzy zajęły im przedstawianie się i przypominanie, kto kim jest i skąd – Misia stwierdziła, że starszy pan jest na odpowiednim dla niej poziomie i pozwala mu od czasu do czasu na urozmaicenie jej popołudniowych spacerów rozmowami. Misia widzi wtedy na sobie zawistny wzrok swoich współmieszkanek i to napędza ją nawet lekką dumą. Lidzia mówi, że któraś ją kiedyś pobije za to, że tak paraduje z panem Witoldem. Misia nie wierzy jej, ale jednak trochę się boi. Słyszała już o podobnych ekscesach, tak zupełnie niepasujących do dam.

Dzień wyprawy

Misia wychodzi na ulicę i automatycznie głębiej oddycha. Chociaż przecież źle się tu, w tym domu nie czuje. Przed nią stromo schodząca ulica, po prawej wieża z obserwatorium, po prawej kaplica. Nierówno poukładane płyty chodnika, płasce świadkowie socjalistycznych czasów. Misia ostrożnie stawia kroki i od czasu do czasu szybkuje ramionami w poszukiwaniu równowagi. Jakoś dojdę, tylko powolutku,

powolotku, dodaje sobie otuchy. Dochodzi do skrzyżowania. Pełno tych samochodów, skąd ich się tyle wzięło? – dziwi się i przystaje. Rozgląda się nieco bezradnie i zastanawia, w którą udać się stronę.

– Może pani pomóc? – słyszy zniecierpliwiony głos jakiegoś młodego człowieka. Pewnie to student. Uczelnia tu przecież niedaleko. Sama sobie poradzę, myśli Misia ze złością i spogląda z rezerwą na uśmiechniętą nieznaną twarz. Czego on ode mnie chce – starej kobiety? Lecz po chwili jej twarz rozjaśnia się, a student kiwa pytająco głową i podaje jej ramię. Ach, co tam, niech mnie przeprowadzi przez tę straszną, ruchliwą ulicę, taki przystojny. Niech ludzie patrzą, myśli Misia i chwytając go rezolutnie pod rękę.

– Ale proszę powoli. Ja już taka młoda nie jestem – mówi, czekając na protest. I ten przychodzi:

– Ależ skąd. Przecież jest pani jeszcze młoda – szarmancko odpowiada student i oboje czują się świetnie. On, bo tak łatwo przyszedł mu komplement dla starszej pani, i ona, bo są jeszcze tacy porządnie wychowani młodzi ludzie. No i w ogóle, bo ona wcale nie jest aż taka stara.

– O, bardzo proszę. Miłego dnia – student żegna się z Misią i odchodzi, choć ona tak chętnie przytrzymałaby go jeszcze za ramię. Kiedyż to po raz ostatni trzymała w ten sposób mężczyznę? Tyle to lat – ach, sama już nie wie.

Misią żałował przed ponad dwudziestoma laty. Wtedy ona też chciała umrzeć, ale nie dlatego, że go tak kochała. Wcale nie. Bała się żyć sama. Była rozczarowana, że ją zostawił. Taką samą z tym wszystkim, o czym nie miała pojęcia. Naprawy, remonty, działka, samochód, którym nie potrafiła jeździć, a i prawa jazdy nie miała. Tak, umarł sobie i zostawił ją. Misia wciąż jeszcze denerwuje się i zarzuca mu to w myślach, kiedy siedzi na małej ławeczce na cmentarzu przed jego grobem. On umarł, a ona została. Sama. Nie umarła wtedy, no, a skoro nie umarła, to trzeba było zabrać się za to życie i radzić sobie bez niego.

Misia spogląda na wystawy sklepowe. Ogląda je zdziwiona, co to się teraz porobiło? Tyle dziwnych rzeczy, wszystko ładne, kolorowe. Chciałaby to i owo kupić, ale... Ale przypomina sobie, że nie ma pieniędzy. Dla pewności sprawdza w torebce. Nie, nie ma. Po raz pierwszy od dłuższego czasu czuje się zawiedziona, bezradna. Zatrzymuje się w progu sklepu, po czym wycofuje się. Smutna wraca do domu. Domu? Co to za dom? Ale co ma zrobić? To teraz jej dom. Ach, tylko nie myśleć o tym wszystkim.

Droga powrotna prowadzi dość stromo pod górę. Misi nie starcza sił, więc od czasu do czasu przystaje. Dobrze, że są ławki. Przysiada na jednej na krótko, ale coś ciągnie ją dalej w górę. Nie chce tak siedzieć wzdłuż drogi. Wstaje. Trzeba iść, iść.

Parę dni później, albo jakoś tak

Od czasu tej samodzielnej wycieczki do sklepów Misia czuje się nieswojo. Nie wie dlaczego, ale wie, że nie jest to uczucie, które chciałaby, by trwało zbyt długo. Jakaś pustka, nie do końca rozumiała, jakaś tymczasowość. Ach, nie wiem już sama, co mi jest i dlaczego, Misia potrząsa głową i wychodzi na korytarz. Muszę się przejść, powtarza sobie. Mijając kącik plotkarski, lekko podnosi głowę. W drzwiach windy spotyka Halinkę:

– Misiu, dokąd się wybierasz? – chce wiedzieć. Nie, aby ją kontrolować, lecz aby dowiedzieć się, jak Misia spędza czas. Niewinne pytanie wywołuje jednak u Misi silne podejrzenie. Patrzy więc na Halinkę nieufnie:

– A co, nie mogę trochę pospacerować? – w jej głosie brzmi nawet lekka prowokacja.

– Ależ oczywiście. Dzień jest przecież piękny. A i ty pięknie wyglądasz – Halinka trafiła bez pudła: Misia udobruchała się widać, gdyż uśmiech przemknął po jej twarzy.

– Tak. I dlatego pochodzę sobie trochę po okolicy – mówi Misia i myśli: żeby nie było, że nie powiedziałam. Wyjdę poza ośrodek, zobaczę, co jest po stronie osiedla. Stamtąd niedaleko do cmentarza. Misia wzdryga się na myśl o nim, jeszcze jej się tam nie spieszy. Ale osiedle chce zobaczyć.

W długim korytarzu wzdłuż ścian ustawione są ławeczki i fotele dla mieszkańców, którym brakuje tego, co zawsze mieli w domu – ławeczkę przed domem, by spędzać na niej wolny czas, spoglądając na ulicę, na mijających sąsiadów, z którymi ucinali sobie pogawędkę. Swoje przyzwyczajenie przenieśli do ośrodka i to najwyraźniej funkcjonuje, korytarz jest pełen, co trzy kroki trzeba więc kogoś pozdrawić, komuś się uklonić. Ale tylko lekko. Misia jest damą, więc zaledwie leciutko pochyła na bok głowę w ukłonie i spokojnym głosem pozdrawia.

Nagle zauważyła nowego mieszkańca. Starszy pan na wózku natychmiast wzbudził jej opiekuńczy odruch. A może spodobał się jej jego silny wzrok, którym na nią spojrzął? Podjęła wyzwanie, a nawet poszła za ciosem:

– A pan jest tu nowy? – zadziornie podniosła głowę.

– A jestem, jestem – jego ton zabrzmiał lekko gburowato. Pewnie był tak samo nieszczęśliwy jak ona, kiedy znalazła się w tym domu. Zrozumiała go natychmiast.

– Wiem, znam to uczucie pierwszego dnia pobytu. Nawet mimo sklerozy je pamiętam – dodaje. – Niech się pan nie martwi, to przejdzie. – Skąd we mnie tyle życiowej mądrości?, dziwi się Misia. Zazwyczaj woli jej słuchać lub o niej myśleć, niż ją wygłaszać.

– Jeśli wcześniej nie umrę z nudów – jegomość przywołał ją swoim barytonem do teraźniejszości.

– Ale przecież tu jest biblioteka. I gazety też można poczytać.

– Z krzyżówkami? – zainteresował się natychmiast.

– No pewnie! – wykrzyknęła radośnie Misia na myśl o spotkaniu pokrewnej duszy. – Ja też lubię rozwiązywać krzyżówki.

– Jestem Władysław. Proszę mówić do mnie Władek. A pani? – głos Władka nagle złagodniał. Spojrzął na Misię pogodnym wzrokiem i leciutko skrzywił w uśmiechu usta.

– A ja jestem Misia, panie Krzyżówkowy – Misia nie podała mu ręki. Nigdy nie lubiła dotyku obcych ludzi, skinęła tylko głową.

– Ha, ha, ha! – roześmiał się pan Władek tak głośno, że wszyscy spojrzeli na nich zdziwieni.

– Panie Władku, nie tak głośno – zaniepokoiła się Misia.

– A co? Zazdroszczą, że z kimś porozmawiam? Jak sam siedzę, to nikt do mnie nie podejdzie – obruszył się pan Władek. – A w ogóle to dokąd pani idzie, pani Misiu?

– Ehe... aaa... nie wiem – Misi robi się gorąco. Znowu zapomniała.

– No bo tak pani pięknie ubrana. To chyba ma pani jakieś spotkanie, tak?

– Nie, nie mam – Misia zdecydowanie odrzuca tę myśl, choć nie ma innej, którą mogłaby zatkać dziurę w pamięci. – Chyba już wrócę do siebie. Trzeba się przygotować do obiadu – Misia robi unik i już pomyka pomiędzy stojącymi i siedzącymi w korytarzu mieszkańcami domu. A pan Władek spogląda za nią w zamyśleniu.

Misi podoba się adoracja nowego mieszkańca, zbyt jednak odwykła od takich zachowań i nie wie, jak na nie zareagować. Cieszy się jednak, że będzie miała z kim rozwiązywać krzyżówki. Jest pewna, że pan Władek będzie nadawał się do tego znakomicie. Fakt, że jeździ na wózku, nie ma dla niej żadnego znaczenia.

Pan Władek ma nie tylko silne spojrzenie i takiż głos. Jego srebrna czupryna jest wprawdzie wzorowa podcięta, ale już widać na czole niesforne kosmyki, które wymknęły się grzebieniowi i spadają lekko na oczy. A w oczach, kiedy w zamyśleniu i chmurnie spogląda przed siebie, ma pioruny godne germańskiego Wotana – na emeryturze. Kiedy zaś się uśmiecha, wszystko to ginie i pan Władek wygląda nagle jak sympatyczny dziadek otoczony gromadką wnuków. Tak jakby dwie istoty zamieszkiwały jego słusznej postury ciało – teraz przykute do wózka.

Te dni tak lecą

– Dzień dobry, Misiu – woła pan Władek i wkręca się swoim wózkiem inwalidzkim do przedpokoju Misi. Zaprzyjaźnili się trochę. Dzięki krzyżówkom spędzają teraz razem wiele czasu. Zazwyczaj Misia odwiedza pana Władka. Niestety nie może z nim wyjść na spacer poza teren ośrodka. Boi się, że gdyby coś się stało, nie mogłaby mu pomóc. Pan Witold jest wprawdzie dla niej odpowiednim towarzyszem, ale on nie lubi krzyżówek, jego akcje nie stoją więc tak wysoko, jak akcje pana Władka. A i pan Władek potrafił szybko docenić prawdziwe zalety tej małej damy.

Nie pukając, pan Władek otwiera drzwi pokoju. Misi w nim nie ma. Słyszc tylko szum wody w łazience.

– Och, to pewnie potrwa – mamrocze pan Władek i już chce wycofać wózek, gdy szum wody cichnie i drzwi otwierają się z impetem. Z łazienki wychodzi ubrana zaledwie w halkę Misia. Misia nieruchomieje i nie wie co zrobić, szybko wycofać się do łazienki, czy okryć trzymanym w ręce ręcznikiem. Decyduje się na to drugie, a w jej oczach widać panikę, gdy oburzona woła:

– Panie Władku, no co też pan tu robi o tej porze?!

– Przeszedłem popatrzeć na piękne kobiety – żartuje pan Władek, ale przełykanie śliny przychodzi mu ciężko, gdy tak patrzy na Misię. Misia podoba mu się bardzo. A teraz to nawet jeszcze bardziej.

– Nie dla psa kielbasa – Misia zrozumiała jego spojrzenie i jest mocno poirytowana. Pochlebstwo w tym spojrzeniu nie zrobiło na niej dobrego wrażenia. Stoi raczej zawstydzona i oburzona tym, że pan Władek tak nagle wszedł w jej życie osobiste, a nawet intymne. Takich niespodzianek Misia zdecydowanie nie lubi.

– Niech pan sobie pójdzie. Nie jestem przygotowana na przyjmowanie gości!

– No, ja to chyba już nie jestem gościem?

– A to dlaczego?

– No, przecież tyle czasu spędza pani u mnie, że uznałem, iż jesteśmy przyjaciółmi.

– Tak, to prawda, ale po południu. Przed południem wolę być sama – odpowiada zdecydowanym głosem Misia. I stwierdza po raz kolejny, że nie należy zbyt szybko przechodzić na ty. Pozostanie z nim na pan–pani, potakuje głową do swoich myśli i zamyka panu Władkowi przed nosem drzwi pokoju.

– Kobiety! – melancholijnie stwierdza pan Władek i wycofuje się na z góry upatrzoną pozycję, czyli do o tej porze jeszcze pustego kącika plotkarskiego.

Znowu minął jakiś czas

– O, Misiu, ale pięknie dziś wyglądasz! – mówi przyjaciółka z końca korytarza.

– Bo idę na randkę. – I dodaje – Na cmentarz. – Misi humor nabiera czasem naprawdę czarnego koloru.

– A z kim to? I dlaczego na cmentarz?

– Bo idę na randkę z mężem – wesoło odpowiada Misia i puszcza oczko.

Tą wesołością dodaje sobie otuchy. Nie znosi cmentarzy, nawet tych historycznych. Do wawelskich krypt nie udało się jej wciągnąć nawet Alinie, choć tak chętnie pojechała z nią jeszcze tak niedawno na wycieczkę do Krakowa. Stojący w wejściu do krypty strażnik, mimo że tak pięknie i zachęcająco opowiadał o grobach polskich królów, otrzymał w odpowiedzi tylko małe kłamstwo o Misi złym samopoczuciu i wymijającą obietnicę, że może innym razem tam zejdzie.

Teraz rzeczywiście idzie odwiedzić grób męża, którym zajmie się Alina. A ona posiedzi tylko na ławeczce i pomyśli o swoim życiu, życiu Aliny i o życiu w ogóle. Kiedy wraca z cmentarza, pan Władek czeka na nią przed drzwiami. Ma dziwny wyraz twarzy, którego Misia nie rozumie. Jest zaniepokojona.

– Co się stało. Czy ktoś... – Misia boi się dokończyć zdanie. Zresztą mieszka tu wystarczająco długo, żeby takich zdań nie kończyć, a i tak być zrozumianą.

– Misiu, mamy problem.

– Mów – w międzyczasie przeszli jednak na szalenie ułatwiające życie „ty”.

– Po pierwsze skończyły nam się gazety z krzyżówkami, a po drugie skończyło mi się piwo.

– Piwo?! – wykrzyknęła Misia. – O czym ty mówisz! Tu nie wolno pić piwa. I w ogóle żadnego alkoholu! – Misia rozszerzyła się na dobre. Zapomniała, co sama schowała w szafce.

– No więc tak nie krzycz, bo nawet najbardziej głuchy zrozumie, o co chodzi – spokojnie jak do dziecka przemawia pan Władek.

– No dobrze już, dobrze. Ale w czym problem?

– Jest jeszcze jedna wiadomość, ale nie wiem...

– Władku, albo mi teraz powiesz, o co chodzi, albo natychmiast idę do pokoju – Misia nie ma najwyraźniej ochoty na grę w półstówka. Kawa na ławę albo do widzenia.

– Zenek źle się poczuł – cicho zaczął pan Władek. – Zabrali go do szpitala.

– Ojej, tak mi przykro. Wiadomo, co mu się stało?

– Misiu, czy ty pamiętasz Zenka?

– Eh, to ten... eh... no, pomóż mi – Misia tupie nogą obutą, jak zwykle latem w bordowy sandałek.

– Misiu, nie denerwuj się. Wiesz, że potem jest jeszcze gorzej z twoją pamięcią. Zenek to ten, co czasami u mnie bywa, kiedy ty już idziesz spać.

– Aha – Misia coś zaczyna sobie przypominać, ale nie wie, czy to na pewno to, czy może tylko silna chęć, żeby jej się przypomniało, kim jest pan Zenek.

– Przykro mi. No dobrze, ale co teraz?

– Wiesz... – pan Władek delikatnie wyjawia swoje zamiary.

– Ty chyba nie chcesz, żebym ja ... – oburza się Misia.

– Naturalnie, że nie. Pomyślałem tylko, że może pomożesz mi znaleźć jakieś rozwiązanie – sprytnie zagaja pan Władek. Misia daje się niestety podejść. Chyba nie jest dzisiaj w dobrej formie. A może...

Dzień dni

Misia, jak zwykle stosownie ubrana, z torebką w ręce dyskretnie, spacerowym krokiem zbliża się do bramy wyjazdowej ośrodka. W jej torebce po raz pierwszy od dwóch lat znajdują się pieniądze. Jest bardzo podniecona. Nie pamięta, kiedy ostatnio wychodziła na zakupy. Pan Władek powiedział jej, żeby koniecznie poszła do tego sklepu pod „Biedronką”. Tam już znają jego zwyczaje. Zenek zawsze tam kupował dla niego piwo. Ale już nie kupi.

Misia schodzi ulicą do skrzyżowania i czeka na światłach. Pan Władek powiedział, żeby przeszła na drugą stronę ulicy, ale nie powiedział, na którą. Stoi trochę zdezorientowana i rozgląda się w prawo i w lewo. Nie widać jednak nikogo. Jakoś puste te ulice, dziwi się Misia.

– Może pani w czymś pomóc? – słyszy tuż obok siebie spokojny męski głos. Głos wydobywa się z wielkiego samochodu, który stoi zaparkowany na chodniku. Mężczyzna właśnie chciał zastartować silnik, ale powstrzymał się jeszcze. Co za duży samochód, taki nie miejski, dziwi się Misia.

– Ehe, nie... – zaczyna Misia niepewnie – ale może, może powie mi pan, gdzie jest sklep z piwem?

– Z piwem?! – Młody mężczyzna siedzący za kierownicą roześmiał się krótko. – Ma pani ochotę na piwo?

– Nie ja, ktoś inny – lekko oburza się Misia, choć nagle nie jest już pewna, czy naprawdę nie ma ochoty na piwo. Kiedyś bardzo je lubiła, ale to było bardzo dawno temu. Chyba.

– Niech pani zaczeka. Zawiozę panią. Tak chyba będzie bezpieczniej i szybciej.
– Ale ja to tego samochodu nigdy nie wsiądę. Jest za wysoki.
– Pomogę pani – mężczyzna sprawnie podtrzymuje Misię, która niczym piórko zostaje prawie wniesiona i osadzona na siedzeniu obok kierowcy. Ale heca, myśli Misia. Jeszcze nigdy nie jechałam takim samochodem. Misia kładzie torebkę na kolanach i spogląda na mężczyznę. Jest szczęśliwa i podniecona przygodą.

– Ale pan miły – kokietuje go, choć mógłby być jej wnukiem.
– To żaden problem, zaraz znajdziemy pani sklep z piwem – mówi mężczyzna i zapala silnik. Po dwóch minutach wycieczka niestety się kończy.

– To już jesteśmy na miejscu? – z bezgranicznym rozczarowaniem w oczach Misia patrzy na znajdujący się przed nią sklep. Wstrętny sklep, jest tak blisko, myśli.

– A co? Spodobała się pani wycieczka?

– Tak – uśmiecha się Misia szeroko.

– No dobrze. Mam jeszcze trochę czasu. Kupimy to piwo i potem zawiozę panią do domu. Chyba nie mieszka pani daleko? – pyta mężczyzna i w tym samym momencie widzi zieloną plastikową „bransoletkę” wokół prawego nadgarstka Misi. Natychmiast domyśla się, gdzie Misia mieszka.

– O tak, to znaczy nie, nie daleko – radość Misi nie pozostawia żadnych wątpliwości co do akceptacji tej propozycji.

Kiedy samochód podjeżdża pod dom, Misia dostrzega pana Władka. Ten przygląda się obojętnie, jak samochód parkuje przed samym wejściem i jakiś nieznanany mężczyzna z niego wysiada. Misia siedzi dumna i czeka. Mężczyzna podchodzi do drzwi pasażera i otwiera je.

– A teraz musi pani jeszcze tylko zeskoczyć. Nie jest wysoko – mówi i podtrzymuje Misię wprawnie za rękę. Misia zeskakuje i uśmiecha się promiennie. Czuje się młoda i pełna chęci przygód.

– Bardzo panu dziękuję. Niestety nie mogę pana zaprosić. Może innym razem – plecie podniecona i nie widzi, co się za nią dzieje.

Pan Władek wciąż obserwuje tę scenę. A to ci Misia! Skąd ona... I serce zaczyna mu walić jak młotem. Stwierdza zaskoczony, że jest zazdrosny. On! Zazdrosny! O jakiegoś tam młodego faccika! Chyba zgłupiałem do reszty, myśli podniecony pan Władek. Żeby coś takiego zdarzyło mi się na stare lata! Pan Władek odwraca się zręcznie i odjeżdża na swoim wózku, zanim Misia znów na niego spojrzy. Nie chce, żeby go widziała w takim stanie. W ogóle nie chce, żeby go widziała. On też jej nie chce widzieć.

– Dziękuję pani. Tak, może innym razem, teraz muszę wracać do rodziny – mężczyzna chce się odwalić, ale Misia zatrzymuje go swoją rozbijającą czułością.

– No to jeszcze muszę pana uścisnąć – mówi i obejmuje go, wielkiego faceta, wpół i przyciąga do siebie. Mężczyzna jest oszołomiony, stoi z rozpostartymi ramionami, które opuszcza powoli na ramiona starszej pani i pozwala jej w końcu na ten osobliwy wyraz wdzięczności.

– N–no to dobrze. To do widzenia – jąka się jeszcze i wymyka z objęć Misi.

Pan Władek tymczasem dojechał do rozsuwających się automatycznie drzwi domu i nie wytrzymał – odwraca się raz jeszcze. Spogląda na uśmiechniętą i mamroczącą coś do siebie Misję. Taka klęska, myśli i przyspiesza, kiwając głową.

Ale wycieczka, śmieje się do siebie Misia. Macha ręką na pożegnanie swojemu kierowcy. Kiedy ten znika za zakrętem, Misia spogląda pod nogi. U jej nóg stoi torba wypełniona kilkoma puszkami. Ach, co ja teraz zrobię z tym piwem?

Rozmowa z Tadeuszem Różewiczem

Panie Tadeuszu
przecież mogłeś porozmawiać ze mną o poezji
mogłabym tę rozmowę nagrać na igielne ucho
własnego wiersza
przecież czytając oczami świtu tomik Pana
ujrzałam
że Pan także
zmaga się z pisaniem
i nie ukrywa tego

i nie kłamie

odkryłam prawdę życia
w Pana białych wierszach
i ten strach
ten błady lęk przed łatwym
nazywaniem
rzeczy
i spraw

przecież mogłeś mnie ostrzec Poeto
że
„proces umierania poezji
jest przyspieszony”
nie pisałam wtedy wierszy
ja i tak wiem że jest prędko
jak pociąg do Lourdes
który wlecze się jak mgła
z chorymi pasażerami
do wymyślonych źródeł
świętej wody

a antyrimy udające wiersze
są jak ćmy
ich sensory osmolone
w ciągu trzech czterech (góra) pięciu godzin
ulegają rozkładowi
rozpadają się
co najwyraźniej widać pod mikroskopem
elektronicznym
na lekcjach biologii
w liceach humanistycznych

„umarli poeci
odchodzą szybciej
żywi
wyrzucają ze siebie
w pośpiechu
nowe książki
jakby chcieli zapchać papierem
dziurę”

Różewicz wstał
podał mi rękę
na pożegnanie
mojego
bladego wiersza

wetknęłam papierowy knebel
w usta...

Irena Zielińska

Nie pytaj komu bije dzwon...

Myślę, że Prawdomówna Poezja składa się z pytań
oczekujących
na mądre odpowiedzi

Moje Irenejskie Aforyzmy

Moje pytania straciły dawną okrągłość, poruszam się po liniach innej gramatyki,
innej ortografii, zegar pamięci spóźnia się, czasem przystaje, tymczasem pośpiech,
ten pijany fryzjer nie omija nikogo, tylko obcina łyse głowy,
jestem po chemioterapii myśli na morzu krzywo-falistym
liter i znaków przestankowych,
jak po badaniu eeg
wiersza.

Kiedyś bezpiecznie, do obramowania źrenic moje okręty metafor dopływały,
poznałam wszystkich marynarzy jak sztorm pod własną, różową spódnicą,
w porcie, w tawernie tańczyłam z nimi kankana,
lub rumbę, sambę, nie pamiętam już, zegar się spóźnia, czas siwieje, samo życie
jest jak firanka poszarpana, brudna mgła na niedomkniętej okiennicy, moje pytania
utraciły ostrość.

Nie pytam; skąd i dokąd, nie pytam o wielkie nic i o ogromne coś
nie pytam, nie tańczę, nie podrywam marynarzy
bo przecież krzywe, artretyzmem zżarte
mam kolana,
czas zeskakuje z kolan, łąsi się jak
wyliniały kot, żywcem wycięty z elementarza, bawię się kotem, czas to kot,
ala ma kota, kot ma alę,
ja mam kota,
wysterylizowanego na własny użytek,
głaszczę kota pod włos, iskry z ogona się sypią.

Moje pytania straciły ostrożność
znaków zapytań,
poruszam się po cienkich liniach,
czas na okrętach wierszy uwięziony
nie tańczy, już nie tańczy
i marynarze owinięci w brudne mgły są jak
w klepsydrze morski wiatr
i piasek martwy.

Nie pytaj komu bije dzwon...

Spór o istnienie Marka

A jeżeli nie ma Boga, to co z ciebie za szatan?

Franz Maurer, *Psy 2*

– Nie, nie ma – odpowiedział poważnie Michał i przechylił kufel piwa – dupa, żadnych wyznaczników literackości, rozumiesz?

– Racja, nie ma – odpowiedziałem, sięgając po swój kufel. To tylko zbiór frazesów, zbiór jakichś norm estetycznych, nic więcej. A normy, jak wiadomo, często się zmieniają. Tylko długi zaciągnięte w banku są wieczne.

– No – podchwycił Michał z zapalem, aż piana osiadła mu na wusach. – To znaczy wyznaczniki się zmieniają i nic nie jest stałe.

– No, z wyjątkiem kredytów – powtórzyłem – ale one regulowane są sztucznie. Tak naprawdę to ich też nie ma. Jakiś baran wymyślił, że są, a ty musisz się z tym zgadzać, bo nie masz innego wyjścia. Na szczęście ze sztuką, w ogóle ze wszystkim jest inaczej.

– Chwila – powiedział mój rozmówca, wstając i lekko chwiejnym krokiem zaczął zmierzać w kierunku kibla.

Zamyśliłem się na chwilę, próbując ustalić, co jeszcze dzisiaj muszę zrobić. I wtedy w głowie zaczęła przesuwac mi się plansza szachów, partia, która leżała odłogiem od wczoraj. Przesunąłem w myślach czarnego laufra i zaszachowałem króla, a następnie wysunąłem białego piona, blokując szach, który przed chwilą zadałem.

– Będziesz na moim performance? – zapytał Michał, zapinając rozporek.

– Kiedy? – rzuciłem machinalnie próbując zapamiętać nowy układ na szachownicy

– Jutro o dwudziestej. W galerii.

– Jasne. Czemu nie? Co tam będzie?

– Wiesz. Takie klimaty przeciwko wojnie w Iraku. Parę fotek.

– Masz foty z Iraku? Nie chwaliłeś się – rzekłem, prawie z podziwem szukając fajek po stole.

– Nie, nie mam. Zrobiłem taki mix z gazet, no wiesz.

– Nie wiem, nie widziałem – odpowiedziałem, zastanawiając się, gdzie, do kurwy nędzy, podziłem te papierosy.

Michał zaczął zacierać ręce i skinął na kelnera.

– Jeszcze po jednym piwie – powiedział, a kelner skinął uprzejmie. Chyba skinął uprzejmie, nie wiedziałem, jak skinął, bo byłem już na serio zły, że gdzieś położyłem te jebane fajki i nie wiedziałem gdzie. W każdym razie ostatnio skinął uprzejmie, więc pewnie teraz nie było inaczej.

– To są takie foty, że wiesz... nie lubię się chwalić, ale Renata jak je zobaczyła, to myślałem, że się zmoczy.

– A co u Renaty? – powiedziałem chyba żywy, bo w kieszeni udało mi się wreszcie dopaść wygniecioną paczkę L&M.

– Oglądała moje zdjęcia i aż ją zatkało. Powiedziała, że mam tak pojechany klimat, że nie wie, co powiedzieć.

– No, i masz recenzję. Ciągłe nie nosi stanika? – spytałem, odpalając papierosa.

– Ciągłe – odparł i rozmarzył się przez chwilę. – Nie myślisz, że wojna to plaga współczesności?

– Tak właśnie myślę. Dorzniętam bronka i zamówię następnego. – Ufff, trzeba odreagować – powiedziałem w myśli – ten cały pierdolony pracowity dzień.

– A wracając do tych zdjęć – podjął znowu Michał – to nie jest tak, że mnie chodzi o Irak. Mnie tam chodzi o coś więcej. Nie wiem, może nawet o Boga – zapauzował.

– No weź, tylko z Bożą nie wyjeżdżaj – odparłem i zacząłem pisać esa na komórce.

– Czemu nie? Czemu nie? Ja... jestem wierzący.

– Właściwie to masz rację. Człowiek w coś powinien wierzyć. – Umoczyłem usta w nowo przyniesionym piwie i jednym haustem opróżniłem kufel do połowy.

– Wiem, że mam, ale poszukuję – odparł mój kochany interlokutor i wznosił palec do góry. Był już poważnie spity, nie trzeźwiał zresztą od kilku dni, więc tak naprawdę to nie wiem, czy był pijany.

– Poszukiwać, rzecz ludzka – powiedziałem i wysłałem wiadomość.

– Na mnie już czas – skwitowałem i opróżniłem szklanicę. – Do zobaczenia jutro o osiemnastej.

– O dwudziestej – poprawił mnie.

– O dwudziestej – powtórzyłem i wyszedłem, zostawiając dwie dychy na stole.

Na dworze było ładnie, w każdym razie ciepło. Ładnie o tyle, o ile może być ładnie we Wrocławiu i ciepło na tyle, na ile może być ciepło we wrześniu. Zatem ładnie i ciepło. Było ładnie i ciepło. Znaki na niebie mówiły, że jest jeszcze wcześniej, znaki na zegarku, że robi się późno. Tyle tylko, że zegarek był zepsuty i ja o tym wiedziałem, to znaczy wiedziałem, że zegarek jest zepsuty, nie wiedziałem jednak, czy zepsute jest niebo. Ale jeśli dymią kominy, to pewnie jest zepsute, w każdym razie zanieczyszczone, a zatem nie czyste. Nie miałem pojęcia, bo nie mogłem mieć, która jest godzina. Szedłem Osobowicką, przeskakując z jednej płyty chodnikowej na drugą i rozmyślałem sobie, ku własnej uciechy, w tym duchu słowiańskim, w tym duchu pijackim, w tym duchu, co pochód za dziewczynami robił, a dzieje jego były nieznane nikomu, prócz jednego mądra, co to i tak umarł, a jak wiadomo, z filmu wiadomo, że kto umarł, ten nie żyje, i nic, i nikt do życia przywołać go nie może. Chyba że reżyser Pasikowski, bo on wszystko może, ale czy z Georgiem Wilhelmem, o tym dzieje milczą. Chyba że wciąż są na pochodzie. Pierwszomajowym, rzecz jasna. Mowa o dziejach.

W czasie tych wszystkich moich przemyśleń dwa razy zdążyłem się potknąć i wypadł mi jeden papieros. Jednak wciąż byłem trzeźwy, na tyle trzeźwy, na ile trzeźwy może pozostać ktoś, kto wypił trzy piwa i ma zupełnie dobrą głowę do picia. Byłem więc trzeźwy, kiedy zadzwonił telefon. Gdy na wyświetlaczu zobaczyłem, że to Agata, szedłem dalej, a telefon nadal dzwonił. Dzwonił tak z krótkimi pauzami aż do Placu św. Macieja. Ale na św. Macieja w końcu odebrałem. I to nie dlatego, że miałem słabą baterię, a musiałem jeszcze zadzwonić do siostry, nie. Powód był, rzecz jasna, inny, pomyślałem, że Agata...

– No? – zapytałem, odbierając telefon. – Co jest?

– Mam nieodparte wrażenie, że mnie unikasza – powiedziała dźwięcznie jak Mozart.

– Wrażenia mają to do siebie, że mogą być złudne – odpowiedziałem, ziewając.

– Możesz skończyć z tym swoim cynizmem?

– Cynizm dawno się przeżarł, ale już dobrze, niech będzie. Co tam, maleńka słyhać?

– Jestem we Wrocławiu, chcę się spotkać.

– Nie wiem, muszę jeszcze wejść do czytelni, wiesz, że piszę doktorat.

– Wiem, ale to naprawdę bardzo ważne.

– No, skoro takie ważne, to niech będzie.

– Może jutro w Carskiej o dwudziestej? Czytelnia już wtedy jest zamknięta, więc chyba znajdziesz piętnaście minut?

– O dwudziestej jestem wolny jak ptak. Dawno przyjechałaś?

Skończyła rozmowę? Przerwało czy była poza zasięgiem? Skończyła jej się karta? Ktoś ją napadł i wyrwał telefon? Rozmowa się urwała, więc zadzwoniłem szybko do Magdy i powiedziałem, że niedługo dotrę.

– Wujek! Wujek! – krzyknęła Marysia w samym progu i rzuciła mi się na szyję. Kochałem tę małą. Miała zaledwie cztery lata, a inteligencją przewyższała większość ludzi, którzy byli w moim wieku. Cudowne dziecko – pomyślałem. Gdybym dorwał tego kutasa, co wyjechał do Anglii i zostawił Magdę z brzuchem, za to nie zostawiając nawet adresu, z pewnością obiłbym mu mordę.

– Cześć, siostra – rzuciłem do wychodzącej z pokoju Magdy i, z małą na rękę, z trudem zdejmowałem kurtkę.

– Czemu jeszcze nie śpi? – zapytałem Magdę z dezaprobatą.

– Czekała na ciebie. – odpowiedziała, a mała, która już zdążyła wyslizgnąć mi się z rąk, pokazała własnoręcznie zrobioną w przedszkolu laurkę.

– Śliczna – odparłem. – Masz talent, wiesz?

– A co to jest talent, wujku?

– Napijesz się czegoś? – wtrąciła Magda.

– Kawę poproszę – odpowiedziałem przez ramię i posadziłem Marysię na kolanach.

– To trudne pytanie..

– A mówiłeś, że nie ma trudnych pytań, tylko trudne są odpowiedzi, prawda?

– Prawda – odpowiedziałem. – Bardzo uważna jesteś – dodałem, a Marysia uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona, że dobrze zapamiętała ostatnią rozmowę.

– Talent, to taka wielka zdolność do robienia czegoś. Ty masz talent do rysowania.

– Eeee, to wcale nie jest takie trudna odpowiedź. Nawet dziecko by to zrozumiało.

Roześmiałem się i wypłem tyk kawy. Marysia wtulała się we mnie coraz bardziej, głaszcząc mnie delikatnie po szorstkim podbródku. Czuję, jak jej głowa coraz bardziej bezwolnie spływa na moje ramię. Głaskałem ją przez chwilę, przysuwając do siebie szachownicę. W pokoju było cicho, tylko Marysia oddychała rytmicznie, więc zacząłem kontynuować partię, nie partyjną, ale partię szachów. Laufer. Odwrócenie szachownicy. Pionek. Odwrócenie szachownicy. Tyle wymyśliłem w pubie. Teraz czas na nowy ruch. Bicie pionka. Odwrócenie szachownicy. Łyk kawy. Bicie gońca. Bicie serca Marysi. Bicie pionka. Bicie..

– Możesz ją przenieść do pokoju? – przerwała Magda. – Ona naprawdę powinna już spać.

– Przecież śpi – powiedziałem szeptem.

Położyłem małą do łóżeczka, a Magda przykryła ją kołdrą.

– Jak u Carravagia – powiedziała.

– Co? – spytałem szeptem.

– Światło na nią tak pada, jak na tych obrazach. Ta ciemność i tylko te rysy, widzisz?

– Nie – rzekłem uszczypliwie i uszczypliwie ją uszczypląłem. – Nie widzę tu Carravagia. Zresztą jutro jest wystawa, jak chcesz, to możesz pójść.

– Carravagio jest we Wrocławiu? – zapytała, zamykając drzwi do dziecięcego pokoju.

– Nie, Oręba.

– Kto?

– Nie słyszałaś o Michale Orębie? – zapytałem z najwyższym niedowierzaniem. Magda pokręciła głową zmieszana, jakbym znowu wykazywał jej ignorancję.

– Właśnie piłem z nim piwo.

– Z tym Orębą? I jaki jest?

– Jak pójdziesz, to się przekonasz.

– Warto?

Kiwnąłem głową, jakby nie tylko Carravagio, ale i Bruegel, i Hitler, i Modrzejewska, i Neron, i jeszcze kilku innych eksporterów własnej artystyczności przyznawało mi rację.

– No to na pewno pójde. Gdzie to jest?

– W galerii. Chyba o dziewiętnastej.

– Zabiorę więc Marysię.

– Nie – odpowiedziałem i poszedłem do kuchni, żeby zapalić, a Magda weszła zaraz za mną. – Nie bierz jej.

– Dlaczego? To będzie jakaś pornografia?

– Nie, wojna. Albo i nie wojna, inne gówno. Nie bierz jej tam, ten Oręba to kompletny głąb.

– Przecież mówiłeś...

– Chciałem usłyszeć twoje zdanie – t w o j e w ł a s n e z d a n i e. Twoje zdanie, tej, która tak bardzo kocha Carravagio, którą zawsze wszystko tak zachwyca i wzrusza. Co powiesz o skończonym idiotcie fotografującym nie wiadomo co i nie wiadomo po co, gdy wcześniej dostaniesz ode mnie pozytywną opinię o nim – mówiłem ciurkiem, widząc, jak oczy Magdy robią się coraz węższe i węższe.

– Kurwa... – syknęła przez zaciśnięte zęby – uważasz, że się nie znam i nie odróżniłabym kiczu od sztuki, tak?

– Nie – skwitowałem krótko. – Ty się znasz, tylko ja nie wiem, co to znaczy. Idę do kompa.

Wychodząc z kuchni, oddałem jej do połowy spalonego papierosa. Kątem oka zauważyłem, jak zaciąga się nim, a potem usłyszałem, jak się krztusi.

Sprawdziłem pocztę – miałem cztery nieprzeczytane wiadomości i kilka reklam.

Odpowiedziałem zwięźle i rzeczowo na maile, a i tak zrobiło się późno. Poszedłem spać.

W nocy śniła mi się Agata. Nie śniła mi się Agata, śniła mi się retrospekcja sprzed miesiąca, gdzie między innymi była Agata.

Wróć.

Kiedy spałem, to nie wiedziałem, że śpię. Jeżeli coś było nie w porządku, to znaczy jeżeli coś wskazywało na to, że śpię, to tego nie zauważyłem. Działo się to nad jeziorem.

Wróć.

Miałem sen, że nad jeziorem miesiąc temu spotkałem koleżankę, której nie widziałem od dłuższego czasu i tak wyszło, że w końcu pod namiotem położyliśmy się do łóżka, ale łóżka pod namiotem nie ma.

Wróć.

Złośliwy demon nawiedził mnie snem, w którym była Agata i ja. Nie było żadnego demona. Kurwa mać, źle.

Wróć.

Nic mi się nie śniło, o snach nie można powiedzieć nic. I tak niewiele z tego pamiętam.

Teraz jest dobrze.

Dzień zaczął się od golenia. Dla mnie zaczął się od golenia, ale tylko w pewnym sensie, bo zaczął się od otwarcia oczu. Potem była muszla klozetowa i brunatna struga moczu. Dopiero później się ogoliłem się, umyłem i ubrałem. Już jako człowiek w pełni ucywilizowany usiadłem przed klawiaturę. Net, login, poczta. Trzy nowe wiadomości, w tym jedna reklama. Reklama do kosza, na wiadomości odpowiedziałem. Za tydzień mam referat z Ingardena, a nie napisałem jeszcze ani jednej linijki tekstu. Najchętniej napisałbym tak:

„Roman Ingarden był filozofem o niebagatelnym poczuciu humoru. Do tego stopnia był odrealniony, że spierał się z samym sobą i z sobie podobnymi o istnienie świata, gdy kilka kilometrów od niego dymił obóz skoncentrowany na problemie gazu. Dramat, że bezczelni Niemcy skonfiskowali mu biblioteczkę był tak wielki, że biedny Romek miał zajebisty problem z przypisami, więc mógł popadać w deprechę. Swoją drogą, obok tego poczucia humoru był fenomenalnym filozofem. Uczeń Husserla, esteta. Być może asceta. Koniec i bomba, kto nie słuchał, tego w trąbę”.

My tu gadu, gadu, a tam wódka stygnie – pomyślałem, podchodząc do szachownicy i wykonując nowy ruch. W pokoju było pobojojowsko, jak zawsze kiedy Magda szykowała Marysię do przedszkola. Posprzątałem ten cały bałagan, składając sukienki do sukienek, bluzeczki do bluzeczek, a wszystko potem do szuflad. Równiutko, śliczniutko. Zrobiłem kawę, wypiliśmy kawę, zrobiłem śniadanie, zjadłem śniadanie, pozmywałem naczynia, zapaliłem papierosa, wypaliłem papierosa, zgasilem papierosa, wyrzuciłem papierosa, umyłem popielniczkę. Położyłem popielniczkę na suszarkę. Usiadłem na kanapie, włączyłem telewizor, obejrzałem wiadomości, wiadomości obejrzały mnie. – Patrząc w telewizor, pamiętaj, Marku – pomyślałem – pamiętaj, pamiętaj, żeby telewizor nie popatrzył w ciebie. Czekałem, aż dzwony zabiją metafizycznie w mojej głowie, ale nie miałem jointa i nic nie zabiło ani mnie, ani w mojej głowie.

Przerzuciłem ostatnio czytane książki, tomik Tadka i jego *Ucznia czarnoksiężnika*, z którego pomagałem napisać komuś interpretację, wczorajszą „Wybiórczą”, tę o rzeczach pospolitych i codziennych, mówiąc wprost i coś o polityce. Tyle. Więcej gazet nie pamiętam, za wszystkie nieprzeczytane serdecznie dziękuję.

Rozdzwonił się telefon. Adrian poinformował mnie, że mają spotkanie o prawach zwierząt. Za spotkanie podziękowałem, bo zwierzęta zgodnie z prawem nadanym są po to, by je zjadać, ale rzecz jasna, powiedziałem – bardzo lubiłem Adriana – co zrobić, żeby i posłuch był, i w sali gwarno, a i efekt jakowys się pojawił, czyli co uczynić należy. W fotelu się rozparczyłem, a on, niczym skryba, notował te rady moje, za które notabene, dziękczynność swą w czasie późniejszym wyraził, przednią okowitą goszcząc. Podbudowawszy przeto erudycję swą w tym względzie okazaną, rozmowę zakończyłem rad wielce. I jam to, nie chwając się, sprawił, że zwierzęta i łowne, i hodowlane w godziwszych warunkach po łąkach i domostwach polskich hasać będą, póki na stoły nie trafią.

Było prawie południe. Za oknem świeciło słońce, więc jednak się kręci. Życie się kręci.

Wziąłem kurtkę z wieszaka i wyszedłem do pracy – o czternastej zaczynałem lekcje w szkole. Trzy godziny z tymi licealnymi kretynami niejednego mogłyby wyprowadzić z równowagi, mnie nie wyprowadzały, a nawet bawiły. To, że się nie uczą, nie oznaczało, że się nie uczą zupełnie, po prostu uczą się innych rzeczy. Odkąd tak zacząłem to sobie przedstawiać, uczniowie mnie polubili, zwłaszcza uczennice. Jednej wprawdzie nie mogłem pytać w ogóle, bo jej się ojciec powiesił i dostałem prikaz od durekacji, drugiej też nie mogłem pytać, bo została zgwałcona i miała nerwicę, ale z pozostałą częścią klasy „pracowało” mi się dobrze. Nie szedłem na te lekcje posępny, kiedy grały mi dzwony ze wszystkich korytarzy bijące i łśniły wieżycy pobliskiego kościoła, nie. Wręcz przeciwnie. Miałem bardzo dobry humor. Zwłaszcza, że za cały ten czas płacili, a ja miałem gdzie pogadać.

W końcu lekcje dobiegły końca, powiedziałem ze sto razy „do widzenia” i poszedłem do czytelni. Bez ekscesów i większych sukcesów przesiadłem tam do jej zamknięcia. Roman Ingarden zapytałby zapewne, czy Niemcy zamknęli, ale nie, zamknęła pani Jadzia. Jutro otworzy ją znowu i ja znowu jutro się tam pojawię. O ile słońce nie zgaśnie, a niebo nie zawali się nam na głowy.

Poszedłem coś zjeść do chinoli, wypilem piwo, kupilem po drodze w markecie wyjątkowo drogie kredki dla mojego krasnala. Chyba jak na wujka za bardzo ją rozpieszczałem, ale, jak mawiał mój serdeczny przyjaciel: kobiety trzeba rozpieszczać. W tydzień później odeszła od niego żona, a on wyjechał do Gdyni, bo chyba dalej już się nie dało.

W doskonałej formie i pełen poczucia honoru, poszedłem na spotkanie z Agatką do Carskiej.

Miałem jeszcze trochę czasu do wyznaczonej dwudziestej, ale ona już tam była. Śliczne kasztanowe włosy spięte do tyłu, srebrny łańcuszek pomiędzy piersiami... Mniem. Przysiadłem się bez słowa, widząc jej minę, która nie wróżyła niczego dobrego. – No, i będą pretensje – pomyślałem.

– Co u ciebie? – zapytała nerwowo i upiła łyk soku o barwie pomarańczy.

– Właśnie się zastanawiam, czy ten sok rzeczywiście jest pomarańczowy, czy tylko ma taką barwę – odpowiedziałem lub właściwie nie odpowiedziałem.

– Kochasz mnie jeszcze? – zapytała, tak jak pyta dowódca plutonu egzekucyjnego tuż przed rozstrzelaniem: Jesteś winny? Łatwiej mi będzie cię zabić.

– Hm... – przeciągnąłem długo. Za długo. W jej oczach już świecił lont odpalanej bomby.

– Marek, do cholery! – próbowała uciszyć wybuch, przykryć go poduszką ręki, tak jakby ten gest mógł powstrzymać eksplozję.

– A co to jest miłość? – spytałem na poły poważnie, na poły dramatycznie ze szczyptą oczekiwania, z odrobiną ciekawości, z niewielkim dodatkiem subtelnej drwiny.

– Wiesz, o czym mówię – powiedziała, a ręce zaczęły jej się trząść.

– Tak, wiem – powiedziała z rezygnacją, ale nie miałem za bardzo pojęcia, o czym mówi.

– Kochasz mnie? – zapytała ponownie.

– Nie. Nie wiem, to było miesiąc temu, pod namiotem, były wakacje. To za krótko, żeby...

– Żeby zaciągnąć kogoś do łóżka?

– Nie – przerwałem ostro. Jesteś pełnoletnia. Nigdzie cię nie zaciągałem. Może było kilka czulszych słówek, ale...

– Ale to normalne, prawda? Mówiłeś coś, że róża jest różą, tak?

– To było tam i miało kontekst. Dzisiaj nie ma kontekstu. Nic nas dzisiaj nie wiąże.

– Nie...

– Tylko mi nie mów, że ty mnie kochasz. A co to niby jest ta twoja miłość? Ja czuję, ja czuję. Chcesz mnie wzruszyć? Twoje „czuję”, to twoje „czuję”, nie moje „czuję”. Czujesz to? – Chryste Panie, ale ona była banalna.

– Ja nie czuję, ja jestem.

No pięknie. Dziewczyno, mówisz o rzeczach, o których masz mgliste pojęcie. Gdzie jesteś? Kim jesteś? Wiązką przypadków jesteś, społeczną wypadkową jesteś. Jesteś zbiorem genów, czy boską iskierką? Jesteś taka, jak widzą cię inni, czy taka, jak widzisz się sama? Jesteś. Jakaś jesteś, może i tak. Ale jaka jesteś? Głupia?

– Jestem w ciąży.

– Słucham?

– Jestem w ciąży. Jesteśmy w ciąży. Będziemy mieli dziecko.

– Moment. – Zamówiłem wódkę przy barze, żeby zebrać myśli. Wypiłem. Boże w Trójcy Jedynej, to przecież nie może być prawda... Nie z nią, nie teraz. Boże, proszę. Zamówiłem jeszcze jedną wódkę i przyglądałem się Agacie z odległości tych kilku metrów, które nas dzieliły, tych kilku metrów, które nas łączyły. Tych kilkunastu minut, które nas połączyły. Tego czasu, który nas połączył w wieczność. Czasu przeszłego, czasu teraźniejszego, czasu przyszłego. Wypiłem wódkę i patrzyłem na dalej. Wyciągnąłem papierosa i zapaliłem, zaciągając się chciwie. Trzeba rozładować napięcie – pomyślałem, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Jestem TU i jestem TERAZ, TU i TERAZ. I nie potrafiłem stanąć z boku. Nie mogłem

wyduś z siebie niczego, nie mogłem przyjemnie przeczytać się w tej pojebanej sytuacji. Nie potrafiłem być tekstem, nie potrafiłem odróżnić banału od nie-banału. Ona – ciąża – ja. Linia. Punkty. Linia. Z boku pomachał do mnie znajomy, z którym niejedno przeszliśmy. Odprawiłem go ruchem ręki. Jego tu nie było. Dla niego nie było mnie, bo nie było dla niego sytuacji. Ja – ciąża – ona. Linia. Trzeba to jakoś przeciąć – pomyślałem gorączkowo. Wymyśl coś. Obróć to w żart.

– Usuniesz – powiedziałem, siadając naprzeciwko niej.

– Nie – odpowiedziała bardzo mocno. Nieważne jak odpowiedziała, może słabo, może z radością, ze smutkiem. Nieważne. Powiedziała.

– Nie – powtórzyła – rozumiesz?

Może nie powtórzyła, może to było drugie, inne, niczym nie powiązane „nie”, które odnosiło się do innej ciąży. Nie tej, nie tej naszej. Nie, nie naszej. Do tej j e j ciąży. Ja nie byłem w ciąży. We mnie nie było ciąży.

– Nie ożenię się z tobą – powiedziałem – nigdy się z tobą nie ożenię, rozumiesz? – Wyciągnąłem wszystko, co wiedziałem o aborcji, to jeszcze nie było przecież dziecko. Jest wiele definicji. To nie było jeszcze dziecko. Rzymianie nazywali człowiekiem kogoś, kto osiągał wiek męski i przyodziewał togę męską. To JESZCZE nie jest dziecko.

– Nie

– Jak to nie? Nie kochamy się, nie kochaliśmy się, to będzie nieszczęście dla tego – w przyszłości dziecka – więc lepiej, jeśli go nie będzie. To błąd, żeby ono było, jego jeszcze nie ma.

– Nie.

– Ale ty jesteś uparta. Nie masz żadnych argumentów, nie możesz tego wiedzieć, to może być tylko przecucie, przecucia zawodzą, są złudne, są uzależnione od zdrowia, od okoliczności, od wielu czynników, od wielu...

– Nie.

– No to, kurwa, nie!

Szedłem przez Plac Grunwaldzki. Chciałem jak najszybciej znaleźć się w domu. Chyba napierdałał deszcz. A może przyszedłem przemoczony od własnego potu.

– Wujek, wujek! – krzyknęła Marysia, gdy tylko znalazłem się w korytarzu. Deja vu, gdzieś już to kiedyś było, ta dziewczynka, te drzwi. Dałem jej odruchowo kredki i wszedłem do pokoju, nie ściągając butów. Magda robiła kolację.

– Coś się stało? – zapytała, gdy mnie zobaczyła. Musiałem być bardzo błądy.

– Nie, później, nie teraz – odpowiedziałem bezładnie i przysnąłem do siebie szachownicę, próbując skupić się, czyj teraz ruch. Pion dwa w przód. Odwrócenie szachownicy. Koń bije pionka. Odwrócenie szachownicy. Hetman szachuje króla.

– Wujku... – powiedziała Marysia ze smutną miną i usiadła naprzeciwko mnie. – Nauczysz mnie grać w szachy? Moglibyśmy wtedy grać razem. Wolę grać z tobą, niż rysować samej...

– Nie – odpowiedziałem na odczepne – po raz pierwszy w życiu powiedziałem do niej na odczepne, ale po chwili spojrzałem w jej oczy koloru majowego nieba.

– Nie, Marysiu, nie nauczę cię grać w szachy. Może sama się kiedyś nauczysz.

– Ale wujku, jesteś niemądry. Nie można grać w szachy samemu.

– W szachy zawsze się gra samemu, krasnalu.

Przesunąłem szachowanego króla w bok. Stojący z tyłu koń skoczył do ataku, omijając linię obrony.

– Mat – powiedziałem cicho i zamknąłem oczy. Kiedy je otworzyłem, zamatowany król znajdował się na środku planszy w delikatnych palcach małego krasnala, bezpieczny od każdego ataku.

– Może i masz rację, wujku. Ty zawsze przecież masz rację. Uśmiechnęła się niepewnie.

– Ale wujku, po co ty właściwie grasz w szachy?

My, marnotrawcy cierpienia

„Denn nah am Tod sieht man den Tod nicht mehr
und starrt *hinaus* vielleicht mit grossem Tierblick.“

Reiner Maria Rilke

(Bo nikt w pobliżu śmierci nie widzi śmierci;
patrzy w osłupieniu jak gdyby wielkim spojrzeniem zwierzęcia.)

Mieczysław Jastrun

(Bo w obliczu śmierci oblicza nie widać,
i porażeni patrzymy, może wielkim spojrzeniem zwierzęcia.)

Bernard Antochewicz

mam przed sobą
tom starych wierszy,
takich sprzed stu lat,
wtedy nazywano je
„poezją –
matką świętą myśli”

dziś nawet ja
nie potrafię
spojrzeć na nie
bez starogreckiej ironii,
że już nikt tak
nie czyta,
czuje,
pisze

co umarło?

czy ja,
razem z wszystkimi,
których śmieszą stare wiersze –
niestety,
większość z nich
jest o tym,
że podleje
ludzka dusza
w objęciach chciwości

ale kilka
jest o samotności
i górach
w których wędrowcy
spotykają Boga,
jeden z nich
wrył w szarej skale:

„O co proszę Boga?
O nic.
Wystarczy, że pozwala mi prosić”.

inny dopisał:

„Nie ma we mnie nienawiści.
Wcale to nie znaczy, że jestem miłością”.

„Ja jestem śmierć” – mówi do mnie życie.

niedziela, jak smutny pies,
wlecze się do kąta wieczności,
już jej nikt stamtąd nie wypuści
(chyba że czas zacznie wymiotować)

zjadła byle jakie śniadanie,
przeczytała w gazecie
rozmowę o sumieniu
z profesorem Tischnerem Józefem
(sumienie to chyba jednak jest coś
czego nie ma?)

Henryk Urbanek

zagrała z chłopakami w nogę
(strasznie się zmęczyła!),
wypiła szybko dwa zimne piwa,
wzięła kąpiel
połknęła dwa talerze ostrego rosółu,
zadumała się nad smutną rozmową
Jacka Kuronia z Adamem Michnikiem
(nawet oni się pogubili!)

na chwilę zamknęła oczy

wypowiedziała do żony
kilka niezbędnych frazesów
(nauczyła się tego od świętego spokoju),
włączyła płytę z motetami Brucknera,
miło byłoby tak płynąć, płynąć
pod prąd wszystkich czasów

ale musiała pozmywać naczynia

obejrzała finał Mistrzostw Europy
w piłce nożnej (w dogrywce Francja
wygrała z Włochami – trochę nieludzki
to pomysł, by kończyła wszystko
„bramka śmierci” – czas jest jednak
rozwiązaniem bardziej humanitarnym)
obejrzała kilkanaście minut
jakiegoś niemieckiego filmu
(a mówią, że nie ma już NRD)
zdegustowana wyłączyła telewizor,
by usiąść przy biurku

i jak samotny pies
powlec się do kąta wieczności...

Transfer

(Z piłki nożnej do literatury i z powrotem)

Lista pisarzy, dla których piłka nożna była wielką fascynacją, jest długa – od Alberta Camusa poczynając, który trenował na poziomie czwartoligowym. Autor *Obcego*, któremu tylko zaawansowana głuchota uniemożliwiła zawodową karierę, stwierdził, że wszystko, co wie o moralności, wie dzięki piłce nożnej. Kolejny był Nabokov. Z polskich pisarzy futbol fascynował Kazimierza Wykę, następnie Jerzego Pilcha, a ostatnio Wojtkę Kuczoka, który grał w nią co prawda amatorsko, ale przyplącił tę przygodę zerwaniem więzadeł podkolanowych. Ja także zaczynałem jako piłkarz, skończyłem jako pisarz.

W mojej rodzinnej wsi nie było klubu piłkarskiego – za to bez przerwy graliśmy na leśnej polanie. Była strasznie pochyła – różnica poziomu pomiędzy obiema bramkami wynosiła co najmniej metr. Do bramki na dole piłka sama wpadała, pod górkę grało się zdecydowanie trudniej. Zbierały się dwie wioski, Piórków i Wszachów, dość wrogo do siebie usposobione i toczyliśmy zaciekle mecze. Było w tym coś z plemiennych potyczek. Nie było to jednak tylko takie „dzikie” granie – wiele żonglowaliśmy, urządzaliśmy slalom z piłką między pachołkami, ćwiczyliśmy przyjęcie futbolówki nogami, kłatką piersiową i głową. Od początku najbardziej imponował mi Diego Maradona.

Potrafił strzelić gola z niczego. Niestety, nie przypominałem go stylem gry – bardziej już Filippo Inzaghię oraz nieco zapomnianego czeskiego napastnika Pavla Kuke. Nie byłem bardzo szybki, nie miałem bajecznego dryblingu ani atomowego uderzenia. Decydowała umiejętność odnalezienia się na boisku, odpowiedniego ustawienia. Zwykle kręciłem się gdzieś w okolicy pola karnego i czyhałem na okazję do zdobycia bramki. Zawsze na granicy spalonego, tak trudnej do uchwycenia dla sędziów.

Gdy kończyłem ósmą klasę szkoły podstawowej, pojechaliśmy z reprezentacją szkoły Baćkowej na turniej piłkarski zorganizowany przez OKS Opatów. Trenował nas wtedy Kazimierz Barański, który miał duże sukcesy w szkoleniu młodzieży i bardzo we mnie wierzył. Mój zespół przegrał 5:1 z Wojciechowicami, ale ja zdobyłem jedyne goła i zaproponowano mi, żebym poszedł do ogólniaka w Opatowie i uczęszczał na treningi. OKS Opatów był kiedyś klubem liczącym się na Kielecczyźnie. Gdy tam trafiłem, po trzeciej lidze, w której kiedyś zespół występował, zostały jednak tylko wspomnienia. Wszystko w klubie się sypało. Szatnie pamiętały znacznie lepsze czasy. O ławkach dla kibiców nawet nie wspomnę, bo nie zostały po nich nawet wspomnienia. Z tego klubu wybiło się

tak naprawdę dwóch piłkarzy – Tomasz Żelazowski, zwany przez wszystkich Żelazkiem, który trafił stąd do KSZO Ostrowiec i awansował z nim do Ekstraklasy, był długo najlepszym napastnikiem hutniczej drużyny, strzelał gole potężnemu w tym czasie Widzewowi Łódź. Drugim piłkarzem, który zrobił karierę na miarę Ekstraklasy, był Artur Szymczyk, pomocnik i obrońca, grał m.in. w GKS Katowice i Widzewie Łódź.

W okolicy Opatowa grały takie kluby jak Alit Ożarów czy Cukrownik Włostów. Z tych klubów wywodzili się tacy piłkarze, jak Dariusz Pietrasiak z Cukrownika, który zrobił dużą karierę ligową, zagrał nawet w reprezentacji Polski u Franciszka Smudy, czy Paweł Strąk, który z Alitu trafił m.in. do silnej Wisły Kraków, był reprezentantem polskiej młodzieżówki. Zatem karierę można było zrobić, ale powiodło się to naprawdę niewiele. Zwykle kończyły się na zawiedzionych nadziejach i nędznych żywotach podrzędnych kopaczy lig regionalnych. Do końca przekonanych, mimo dawno przekroczonej trzydziestki, że jeszcze szczęście się do nich uśmiechnie i zrobią zawrotną karierę, na miarę KSZO lub Korony Kielce. Przeważnie pracowali potem w straży pożarnej lub miejskiej, niekiedy policji, najczęściej w miejskim przedsiębiorstwie oczyszczania miasta. Ci ostatni swoją pracę wykonywali z pogardą, przytapani – odrzucali miotłę albo łopatę, gdy przechodził dawny kolega z klubu.

Grę w OKS-ie wspominam o tyle dobrze, że to z nią wiążą się moje literackie początki. Dziennikarka regionalnej gazety „Słowo Ludu” poprosiła mnie kiedyś, żebym pisał krótkie notki z meczów, „Ty w tych meczach grasz, to o nich pisz!”. I tak się zaczęło. Z czasem oprócz opisów meczów postanowiłem rozszerzyć tematykę. Pierwszy artykuł był o tym, jak w mojej wsi podłączyli wodę i zamarzyły rury. „Dobra woda była, ale zamarzyła”. Od tej pory moje zapisy się wydłużały, z czasem przerodziły się w krótkie opowiadania. Jednak postępy robiłem nie tylko w pisaniu, ale i na boisku. Pod koniec trzeciej klasy liceum, po jednym z meczów towarzyskich zainteresowała się mną Korona Kielce, która grała wówczas w III lidze.

Przez cały rok jeździłem na treningi do Kielc (44 km), często prosto z Opatowa, zaraz po szkole, a to było 64 km. I wracałem tego samego dnia, o 23. Nieźle mi szło, ale byłem przemęczony. Do tego przyplątały się kontuzje – naderwałem ścięgna podkolanowe. Korona miała wówczas kłopoty finansowe – to było nad długo przed zjawieniem się w klubie Krzysztofa Klickiego i KOLPORTERA. Grałem za bułkę z szynką. To był intensywny czas. Zdawałem w tym czasie maturę, jeździłem na olimpiady z historii i WOS-u, biegałem przełaje, wydałem tomik poezji, do którego się teraz nie przyznaję, przygotowywałem się do egzaminów na studia prawnicze. I przez to zaniedbałem treningi. Obiecałem sobie, że jak dostanę się na studia do Lublina na UMCS, to będę grał w Motorze Lublin, a jak do Krakowa – to pójdę kopać w Cracovii. Dostałem się do Lublina. Ale wtedy w Lublinie z piłką nożną było słabo – Motor się praktycznie rozpadł z powodu kłopotów finansowych – zamiast niego istniał Lubelski Klub Piłkarski (LKP), który przechodził całą drogę od bodajże C-klasy. Wtedy był chyba w okręgówce – dla mnie poniżej ambicji. W mieście liczyła się wówczas Lublinianka, ale także ledwie przęda finansowo. Poza tym – bałem się, że odnowi mi się kontuzja ścięgien podkolanowych. Stwierdziłem, że będę trenował biegi w lekkoatletycznej sekcji AZS UMCS Lublin. Przez półtora roku były to bardzo intensywne treningi – czasem tygodniowo wychodziło mi 100 km wybiegania. Sukces odniosłem już po roku – zdobyliśmy z kolegami drużynowo brązowy medal akademickich mistrzostw Polski w przełajach, które się odbywały nad Zalewem Zemborzyckim w Lublinie. Niestety, częściej to były drobne sukcesy w biegach ulicznych – na przykład III miejsce w kraśnickim „Biegu Abstynenta”. W wieku 22 lat wiedziałem już, że najważniejsza jest dla mnie literatura – debiutowałem opowiadaniem w „Twórczości”.

Bieganie mnie w końcu znudziło. Poszedłem na trening do Motoru-LKP Lublin. Tam przez pół roku trenowałem z drugim składem. Jako student zagrałem w meczu Polska – Laos. Zdobyłem 2 bramki. Zaliczyłem jeszcze mistrzostwo Lublina

studentów w piłce nożnej. Rok wcześniej było to 3 miejsce. Kiedy już zaczynałem odzyskiwać formę – dzięki bieganiu byłem w znakomitej dyspozycji fizycznej – wylali mnie z wydziału prawa. Na dziewięć miesięcy wyjechałem do Lwowa. Tutaj przez pewien czas kopałem w FK Lwów. I handlowałem ikonami. Kiedy ziemia zaczęła mi się palić na Ukrainie pod nogami, szukała mnie mafia i policja, wróciłem do Polski. Żeby nie iść do wojska i dalej rozwijać się literacko – zacząłem studia polonistyczne we Wrocławiu. Graliśmy z kolegami za akademikiem. Za akademik przychodziło grać mnóstwo dzieciaków z okolicznych blokowisk. Kilku z nich dzięki piłce udało mi się odciągnąć od wachania kleju. To ważniejsze od medali.

Pamiętam mecze Polska – Kazachstan, Polska – Białoruś, Polska – Czeczenia. Szczególnie zaciekle był mecz z Czeczenami. Nie lubiłem tej ich kaukaskiej zarozumiałości i przeświadczenia, że są najlepsi na świecie. Po tym meczu mnie docenili i odtąd wielu z nich mogłem uważać za swoich przyjaciół. Kiedy miałem kłopoty z prawem, wszyscy stanęli po mojej stronie. W odróżnieniu od Polaków.

Jeden z moich kolegów, który grał kiedyś w III-ligowej Stali Sanok, namówił mnie na treningi w Ślęzie Wrocław. Znow klub z tradycjami, ale wtedy w okręgówce. Pograłem tu przez pół roku. Jednak zająłem się interesami i kręceniem filmu *Stacja Mirsk*. I tak to znow na piłkę nożną nie starczyło czasu. Z Wrocławia przyjeżdżałem w rodzinne strony – graliśmy z kolegami w rozgrywkach o Puchar Wójta Gminy Baćkowice – moja wioska wygrywała te zawody rok w rok. Ludzie z gminy po raz pierwszy zobaczyli, jak dobrze gram. Na mecz Opatowem (prawie sami zawodnicy OKS-u Opatów) zeszła się cała gmina, przyjechał wójt. Wygraliśmy 5:2, był to nokaut dla OKS-u. Zjednoczyła się cała gmina, wrogię wioski, jak Nieskórzów, Wszachów, Piórków. Przyjaźń przysła miesiąc później, w finale mistrzostw gminy. Graliśmy w nim z Nieskórzowem, wioską wójta. Sędzia z Wszachowa, sługus wójta, podyktował dwa rzuty karne z kapelusza, ale i tak wygraliśmy 4:2, po moim dobrym meczu.

Potem były zawody o Puchar Starosty. Finałowa rywalizacja toczyła się w Ożarowie na boisku miejscowego Alitu – zespołu wówczas trzecioligowego. Moja gmina zajęła 3 miejsce. Zdobyłem tylko jednego gola, bo przez całą noc nie spałem, jadąc pociągami z Wrocławia. Prezes Alitu tak się mną zachwycił, że kazał mi



przyjeżdżać na treningi. Ale mi się nie chciało przenosić z Wrocławia – ciągle wtedy studiowałem. A miałem już 27 lat. Rok później zakończyłem edukację we Wrocławiu (znow mnie wylali). Byłem wtedy już po swojej pierwszej książce – *Księstwo. Księga druga* i filmie *Stacja Mirsk*. Nie odniosły spodziewanego sukcesu, więc wyjechałem szukać pracy we Francji. W Paryżu zaliczyłem kilka treningów w 3-ligowym Paris FC. Znam francuski – poszedłem na trening i zapytałem trenera, czy mogę potrenować z jego zawodnikami. Powiedziałem, że jestem polskim piłkarzem na wakacjach – chcę grać, żeby nie wyjść z formy. Zgodził się. Grali tutaj sami Murzyni. Nawet nieźle sobie radziłem, ale nie znalazłem pracy w Paryżu – zjechałem całą Francję, w końcu wróciłem do Polski – niespodziewanie podpisałem umowę z wydawnictwem Zysk i S-ka na dwie książki, a mój film *Stacja Mirsk* zdobył Grand Prix na IX krakowskim festiwalu filmowym „KRAKFA”. To była końcówka 2005 roku.

Na okładce mojej książki *Niech żyje wolność* widniały buty piłkarskie zawieszona na ławce. W 2006 roku udzieliłem dużego wywiadu do „Przeglądu Sportowego” – *Diego Armando literature*. Żałowałem, że nie jako piłkarz, a pisarz.

Zastanawiałem się, czy to nie za wcześnie na całkowite odwieszenie kołków.

Na początku 2006 roku prawa do sfilmowania trzech moich książek kupił znany producent filmowy – Paweł Rakowski. W wakacje 2006 roku wzięłem ślub z Renią. Rok później urodził mi się syn Wiktor. W tym czasie nie trenowałem, bo przypływały mi się strasznie bolesne zwapnienia ścięgien podeszwowych. Ale piłki nożnej ciągle mi było żal. Tyle miałem szans, żeby zostać zawodowym piłkarzem, a żadnej nie potraktowałem poważnie. Nawet już po zamieszkaniu w Puławach, kiedy miałem 29 lat i chodziłem pokopać w piłkę z kuzynami mojej żony na „orliku”, przychodzili tam pograć zawodnicy Wisły Puławy. Namawiali mnie na grę w Wiśle. Jakbym wtedy poszedł, grałbym teraz pewnie w II lidze. Kuzyni żony są w wieku 12–14 lat. Żadne tam ułomki. Jeden gra w piłkę nożną w Wiśle Puławy. Drugi – w siatkówkę. Trzeci trenuje piłkę ręczną. Graliśmy 3 na 1, żeby były równe szanse. Zawsze wygrywałem – czasem było trudniej, czasem łatwiej. Żartowałem, że kiedy przegram z nimi po raz pierwszy, będzie to świadczyło, że się starzeję.

Cały czas chciałem być przy piłce nożnej. Choćby – pisząc o niej. W połowie 2007 roku nosiłem się z zamierzeniem napisania książki o Radosławie Matusiaku, który właśnie był po transferze z Bełchatowa do Palermo. Niestety, to była równia pochyła i zanim zdążyłem się zabrać do książki, nie było już o czym pisać. Bo o swoim upadku Matusiak nie zgodził się opowiedzieć. Nieobecność w kadrze narodowej piłkarzy z małych miasteczek i wsi jest jedną z przyczyn słabości polskiej piłki. Tylko tacy mają tak naprawdę motywację do gry, bo sport to dla nich często jedyna szansa na poprawę własnego życia. W święcącej sukcesy kadrze Kazimierza Górskiego takich biednych chłopaków znikąd było wielu. Ostatnio wyróżniał się tylko jeden – Jacek Krzyżówek, chłopak z Chrzanowic. Niestety, w ostatnim okresie prym wiedli chłopcy z bogatych domów – tacy jak Radosław Matusiak. Mimo talentu nie rzucili wszystkiego na jedną kartę i ich kariery nie rozwinęły się tak, jak mogły. Nie mieli motywacji.

W 2008 roku zacząłem pisać scenariusz filmu o tematyce piłkarskiej – *Transfer*. Żeby sobie przypomnieć realia boiskowe, wznowiłem treningi w drużynie z lubelskiej A-klasy – KS Drzewce. Początki nie były zbyt udane – trener nie stawiał na mnie – jesienią 2008 roku zagrałem raptem 11 minut w końcówce meczu. Mogłem zdobyć ładnego gola lobem, ale przestrzeliłem. Przeszłem trenować. Do gry wróciłem dopiero w połowie maja 2009 roku – zagrałem w 5 meczach w podstawowym składzie, zdobyłem 2 gole i miałem 3 asysty. Dobrą grę w Drzewcach zakończyły moje przenosiny do Krakowa, do pracy w Korporacji Hałart. Chciał mnie klub KS Zwierzyniecki Kraków, ale niestety trener Janusz Dziekanowski, zawistny dupiek, nie wydał mi mojej karty zawodniczej. Jak pół roku później wróciłem do Puław, do Drzewc już nie poszedłem. I mimo, że w swoim składzie widziała mnie KS Góra Puławska, która właśnie awansowała do ligi okręgowej, na sezon 2010–2011 zostałem wytransferowany do Puławiaka Puławy – za 5 piłek. W okresie przygotowawczym zrobiłem błyskawiczne postępy – w meczu z KS Zaborze, wygranym 12:5, zdobyłem 5 goli! Niestety, moja rosnąca dyspozycja strzelca wzbudziła zazdrość kolegów z drużyny. Przed pierwszym meczem w oficjalnym sezonie poszarpałem się z jednym z nich. Ptaku myślał, że jak pisarz, to w mordę nie da. Miał 45 lat, a ciągle nie mógł dorosnąć. Żona prowadzi kwaciarnię, interes idzie dobrze, bo żona ma talent do układania bukietów. Dzięki temu Ptaku może grać w piłkę, pić piwo z kolegami. Kiedy przyszedłem do klubu, trafił go szlag. Chciał mnie ośmieszyć, sprowadzić do zera. On zaczął, ja skończyłem. Powiedziałem w szatni: „Jeszcze raz coś do mnie powiesz, skomentujesz, kopnę cię w łeb, aż się potoczy po boisku”. Zdębiał. Tego się po mnie nie spodziewał. O tym, co o mnie gadał, powiedział mi jeden z młodszych kolegów. Trener Bojek posadził mnie na ławce rezerwowych. Wszedłem na ostatni kwadrans. I od razu zdobyłem gola na 3:1, potwierdzając nasze zwycięstwo. Pokazałem Ptakowi gest Kozakiewicza. Trener jakoś nas pogodził, ale straciłem miejsce w podstawowym składzie.

Niedługo później miałem zagrać piłkarza w filmie *Księżstwo*. Sceny piłkarskie były kręcone 25 września na stadionie IV-ligowej Łysicy Bodzentyn. Pojechaliliśmy tam z hotelu Paradiso w Suchedniowie razem z Rafałem Zawieruchą, który grał „mnie” w filmie. Dostaliśmy stroje od klubu Łysica Bodzentyn, którego zawodnicy także niedługo później się zjawili. Zostaliśmy podzieleni na dwie ekipy – zielono-białych i niebiesko-czerwonych. Początkowo Rafał Zawierucha średnio sobie radził – uczyłem go wszystkiego po kolei. Ale czego można nauczyć w tak krótkim czasie? Dryblingu? Panowania nad piłką? Strzału nożycami? Czegoś można – Rafał ma wrodzony dryg do piłki, bo szybko się uczył podstaw. Mieliliśmy czas do zachodu słońca. Operator Jacek Petrycki konsultował ze mną wszystkie sceny – na przykład finałowy faul na głównym bohaterze. Przygotowujemy pieczętowanie sceny. Piłkarze Łysicy przykładają się – widać, że występ w filmie to dla nich duże przeżycie. Reżyser krzyczy: „Akcja!”. Bramkarz podaje mi piłkę dalekim wyrzutem. Przyjmuję gałę na klatę i biegnę wzdłuż linii bocznej. Mijam jednego z bocznych pomocników, chcę kiwnąć redaktora Piotra Mareckiego, komentatora twórczości Barańskiego, i wyłożyć piłkę sam na sam Zawierusze. Zanim pędzi Gacek i obrońcy przeciwnej drużyny. A wtedy jak spod ziemi wyrasta defensor Marecki. I wybija mi piłkę. Musimy zacząć wszystko od nowa. I co? Marecki znowu wybija mi piłkę. Chłopaki z Łysicy zaczynają się denerwować. Jeden podchodzi do mnie i mówi: „Powiedz temu swojemu koledze, żeby tak bardzo się nie wczuwał, bo kariery i tak już nie zrobi!”. Względem mnie chłopaki z Łysicy zachowywali się bardzo w porządku. Faktem jest, że paru kojarzyłem z czasów, gdy grałem w OKS-ie Opatów albo w Koronie. Mamy wielu wspólnych znajomych. Traktowali mnie z szacunkiem nie tyle dlatego, że to moją biografię filmowali – po prostu na rozgrzewce parę razy huknąłem pod poprzeczkę nożycami. Zapłaciłem za to odnowieniem kontuzji – musiałem założyć opaskę stabilizującą na lewe kolano. Masażysta z Łysicy wtarł mi silną maść przeciwbólową. Z trudem dotrwałem do

końca zdjęć, a przecież było jeszcze wiele innych scen. Na przykład Zawierucha musiał zdobyć kilka ładnych bramek – pokazywałem mu, jak to się robi. A noga cały czas bolała. Rafał padał na ziemię – a to ze szczęścia po zdobytym голу, a to z bólu z powodu odniesionej kontuzji. Było tak, jakbym się cofnął w czasie o 14 lat. Przypomniało



mi się, jak kiedyś grałem mecz przeciwko Łysicy w barwach OKS-u Opatów. Przegraliśmy 4:1, zdobyłem jedyną bramkę. Podczas zdjęć podszedł do mnie prezes Łysicy. Facet około 50. Pamiętał mnie z tamtego meczu – był wtedy u schyłku kariery, ja dopiero zaczynałem. Myślał, iż pisarz to taki starszy gość, a tutaj taki młody facet. Wypytywał, czy nie chciałbym grać dla Łysicy. Obiecałem rozważyć propozycję.

Zdjęcia się przeciągały – czasem biegaliśmy bez piłki, jak frajerzy, bo nagrywany był dźwięk i byłyby zakłócenia. Czasem musieliśmy krzyczeć jak opętani – słowa i frazy z meczów. A to znowu nadleciało stado wron i przerwaliśmy ujęcie, bo strasznie hałasowały. Słońce powoli zachodziło nad pobliskim szczytem Łysicy, od której klub wzięł swoją nazwę. Piłkarze zaczęli narzekać, że są głodni. I że producenci filmu będą im musieli dopłacić za dodatkowy czas. Albo postawić kratę piwa. Bardziej od tego filmu interesował ich *Transfer* – jak opowiadałem im o burdelach, kasy-nach, korupcji, to aż im się oczy zaświeciły. W takim filmie to za darmo by zagrali. Swoją drogą – piłka prowincjonalna bardzo się zmieniła. Ja grałem w czwartej lidze za butkę z szynką, oni mają pensje po 2–3 tysie na miesiąc. Niektórzy

więcej. W czwartej lidze, czyli dawnej (przed reorganizacją) piątej! I są znacznie mądrzejsi od moich kolegów sprzed lat, od tych Suchych, Baców, Skobli, Flisków. Inna sprawa, że niewielu z nich pochodzi z Bodzentyna – zostali sprowadzeni z Korony Kielce, Hetmana Włoszczowa, Granatu Skarżysko-Kamienna, KSZO Ostrowiec, Pogoni Staszów. Mieli w tym roku zrobić awans. Pytają mnie, gdzie można kupić moje książki, bo chcieliby poczytać. Dla wielu jestem kimś w rodzaju idola – mimo że nie zrobiłem wielkiej piłkarskiej kariery, to przeżyłem fajną przygodę. Robią o tym film. Komu to jeszcze jest dane. Deynie? Chłopaki z Łysicy podziwiają przede wszystkim moją żonę. „Musiałeś być dobrym piłkarzem – mówi jeden z nich. – Takie piękne żony mają tylko dobrzy piłkarze”.

Mareckiemu mówię podczas obiadu w stołówce, że zmarnował szansę na karierę piłkarską – zamiast kopać ludzi po kostkach zajął się wydawaniem książek. A mógł zostać powszechnie szanowanym człowiekiem. Strasznie rozbawiło to Barańskiego. Marecki sporo nauczył się od chłopaków z Łysicy – odgraża się, że jeszcze nie koniec zdjęć i sprzeda mi kosę. W końcu przypomniałem sobie, z kim mi się kojarzył – z Ricardo Carvalho, świetnym portugalskim defensorem.

Niespodziewanie wysoką formę złapałem po zimowej przerwie. W czterech meczach z rzędu zdobyłem 8 goli, w tym hattrick: w pojedynkę wygrałem mecz z Legionem Tomaszowice (3:1). Pierwszy gol był szczególnie piękny, z okolic narożnika pola karnego. Spotykam trenera pod marketem w Puławach. Mówi, „A widzisz, ile to czasem trzeba przekonywać kogoś do siebie”. Ma na myśli Ptaka, który wreszcie we mnie uwierzył. Jednak przed rozpoczęciem sezonu Ptaku wyczytała na mojej stronie internetowej, co o nim napisałem we wrześniu. Wściekł się. Kupił do klubu dwóch napastników – młodszych i szybszych ode mnie. I tak znowu trafiłem na ławkę rezerwowych. Jednak mimo tego, że wchodziłem na końcowe 15 minut, w 29 meczach zdobyłem 21 goli, przyczyniłem się do awansu mojej drużyny do wyższej ligi.

Koledzy z drużyny wołali na mnie Redaktor, bo dla nich ktoś, kto pisze, musi być dziennikarzem.

Podczas meczu nie było dla mnie taryfy ulgowej – krzyczeli: „Zap...dalaj, Redaktor!” Jeszcze gorzej traktowali mnie kibice, gdy coś zawałem, robiło się wulgarnie. Ktoś może zapytać, po co mi ta piłka, użeranie się z Kropą (układacz asfaltu), Ciuciasem (budowlanka) czy Dzidolem (sprowadza używane samochody)? Otóż to mi świetnie robi na psychikę. W niedzielę gram mecz z Piekiełkiem Przykwa albo Gigantem Przytoczno, a w poniedziałek rano dyskutuję z Krzysztofem Zanussim o konstrukcji scenariusza filmu o Polakach pracujących we Francji, który dla niego piszę. Zostanę zbluzgany przez kibiców lub kolegów, to czuję jakbym wrócił tam, gdzie kiedyś zaczynałem. I mało brakło, gdzie mogłem skończyć.

Zupełnie niespodziewanie zamieniłem piłkę na normalnej nawierzchni na piłkę błotną. Pojechałem w połowie czerwca na spotkanie autorskie do Krasnobrodu. Od Tomka Pakuły, który był moderatorem wieczoru, dowiedziałem się, że powstaje tam klub grający w piłkę błoną. Błotny Klub Sportowy „Roztocze” Krasnobród – taka nazwa się ustaliła. Szybko wyraziłem chęć gry – dość miałem utarczek z Ptakiem o miejsce w składzie. Piłka błotna jest nowym sportem, a jej początki sięgają roku 1998, kiedy to w Finlandii biegacze narciarscy, przygotowujący się do sezonu, rozegrali pierwszy mecz na błocie. W przypadku tej odmiany piłki zasady odbiegają nieco od tych z trawiastej nawierzchni. Mecz toczy się w wymiarze czasowym dwa razy dwanaście minut, a na boisku przebywa sześciu zawodników (pięciu plus bramkarz). Rzuty karne, wolne, różne czy auty wykonywane są poprzez podrzucenie piłki i wybicie jej z nogi. Jeżeli podczas trwania zawodów piłkarz zgubi buta automatycznie musi opuścić plac gry, a jego miejsce zajmuje jeden z graczy rezerwowych. Za boisko posłużyła nam zaozana łąka nad rzeką Wieprz, nieopodal kaplicy na wodzie. Bramki zmontowane zostały z kilku patyków. Trzeba dodać, że krasnobrodzki obiekt spełnia oficjalne wymiary, które wynoszą dokładnie 60 na 35 metrów. Przed rozpoczęciem meczu boisko nie przypominało specjalnie błotnej areny. Tuż po pierwszym

gwizdku sędziego sytuacja uległa zmianie, ponieważ miejscowa straż wylała hektolitry wody na plac gry, dzięki czemu z minuty na minutę konstruowanie jakichkolwiek akcji dla obu ekip było bardzo trudne i graniczyło jedynie z cudem.

W pierwszym meczu, z Arsenalem Lublin, nie mogłem się odnaleźć, tak jak chciałbym – nogi grzęzły w błocie, nie dało się właściwie ustawić stopy, wyjść w tempo na pozycję. Parę okazji, które na zwykłej murawie wykorzystałbym z zamkniętymi oczami, tutaj zmarnowałem. W drugim meczu, mimo że rozegranym z dziewczynami, czułem się już znacznie lepiej i zdobyłem 3 gole. Nagle zacząłem lepiej uderzać z przewrotki, co jest moim znakiem rozpoznawczym, dobrze ustawiałem się do piątek wyrzucanych przez bramkarza, dogrywanych przez kolegów.

Gry w piłkę błotną nie da się nauczyć, bo zbyt wiele tutaj przypadku. I to w tym najpiękniejsze. Ta gra niweluje różnice w wyszkoleniu technicznym poszczególnych zawodników i szansę, żeby się wykazać, mają nawet ci teoretycznie słabsi. Z kolei wirtuozi z normalnej płyty wcale nie muszą tutaj potwierdzić klasy. Podczas meczu panowała wspaniała atmosfera wszyscy świetnie się bawili, i zawodnicy, i licznie zgromadzeni kibice. Gra trwała 24 minuty, a mnie się wydawało, że to pełny wymiar meczu, tyle się podczas niego działo. Było potem jeszcze parę ważnych meczów, które na długo zapamiętam. Na przykład ten z Los Brokeros 9:0 Lublin. Była to trzecia gra kontrolna naszej błotnej drużyny. Po remisie z Arsenalem Lublin spisaliśmy się o niebo lepiej, aplikując gościom aż sześć bramek, nie tracąc żadnej. Mieliśmy już nowe koszulki. Pomarańczowe, z naszym herbem, którego najważniejszym symbolem był mały silny konik, tarpan. Zmaganiom BKS Roztocze i Los Brokeros towarzyszyło mnóstwo walki i ostrych zagrań. Udało nam się szybko wyjść na prowadzenie – pewnym strzałem pomiędzy nogami jako pierwszy zmusiłem bramkarza gości do kapitulacji. „Grający na co dzień w barwach Puławiaka Puławy zawodnik w przekroju całego meczu dołożył jeszcze trzy trafienia i bez dwóch zdań należał do wyróżniających się zawodników

na boisku” – napisał w relacji z tego meczu dziennikarz portalu lubelskapiłka.net i byłem dumny z tej „recenzji”, bardziej, niż z niejednej recenzji moich książek. Wygraliśmy 6:0, a Los Brokeros po tym meczu się rozpadli. Kibice łatwo mogli sprawdzić, kto najbardziej się starał, a kto włożył w spotkanie najmniej wysiłku. Wyznacznikiem



zaangażowania była ilość błota na koszulkach, getrach, butach i twarzy zawodników. Każdy jednak obowiązkowo rzucił się jeszcze raz w błoto po ostatnim gwizdku sędziego, aby w taki właśnie sposób zakończyć udane zawody, bez względu na to, czy były one wygrane, czy też przegrane. Wszyscy się dobrze bawili i o to w głównej mierze chodzi. Bo piłka, zarówno ta nożna na normalnej, zielonej trawie, jak i ta na błocie, powinna jednoczyć i sprawiać satysfakcję. Ten mecz był dla mnie ważny z jeszcze jednego powodu – trafiłem na plakat reklamujący ten mecz. Dość już miałem plakatów reklamujących moje spotkania autorskie. Miałem wrażenie, jakby czas się cofnął o 14 lat, gdy grałem w OKS-ie Opatów.

Drugi mecz, który pamiętam, to sparing z Niemcami. W niedzielę 31 lipca 2011 roku na 4Fiter Arenie w Krasnobrodzie, a w zamyśle 3 lipca 1974 roku na Waldstadion we Frankfurcie zmierzyły się reprezentacje Polski i Niemiec. Wszystko to odbyło się w związku z kręceniem materiału reklamowego na Euro 2012, promującego futbol w Polsce, nagrywanego przez Studio Filmowe K z Puław. W rolę Kazimierza Deyny, Jana Domarskiego, Roberta Gadochy, czy też Gerda Muellera, Juergena Grabowskiego i Franza Beckenbauera wcielił się piłkarze BKS Rostocze. Nie zabrakło niczego, były stroje narodowe, hymny, dopisali również kibice. Już w pierwszych minutach spotkania Die Nationalelf wyszli na prowadzenie za sprawą Dawida Kuczmazewskiego, który precyzyjnym strzałem głową pokonał zaskoczonego i chcącego zastąpić w bramce Jana Tomaszewskiego – Przemysława Czubata. Kolejne minuty należały już do Biało-Czerwonych – wyrównaliśmy po moim uderzeniu z rzutu karnego. W całym spotkaniu dołożyłem jeszcze cztery bramki, tym jedna przepiękna z przewrotki, potwierdzając, że bez względu na nawierzchnię na jakiej przychodzi mu rywalizować, umiem niejednokrotnie zaskoczyć rywala. Pozostałe trzy trafienia dla Polski zaliczył Tomek Pakuła. Niemców stać było tylko na 3 gole. Tak że był to srogi rewanz za rok 1974. Powstał z tego film, który potem trafił na YouTube i jest doskonałą reklamą piłki błotnej. Obejrzało go już z pół Europy, dzięki linkowaniu przez holenderski portal FutbolCulture, zajmujący się ekstremalnymi odmianami piłki nożnej.

Punktem kulminacyjnym naszych przygotowań były rozegrane 21 sierpnia, w Krasnobrodzie, I Mistrzostwa Polski w Piłce Błotnej. Wygraliśmy tę imprezę, a ja zdobyłem 4 gole i zostałem królem strzelców. Nie było łatwo, bo dwa tygodnie wcześniej, podczas jednego z meczów towarzyskich, złamałem żebro i grałem na środkach przeciwbólowych. Był to dla mnie największy sukces sportowy, od brązowego medalu w przełajach w 1998 roku. Minęło 14 lat, a ja nadal biegałem w krótkich spodenkach. Dzięki temu zwycięstwu

zdobyliśmy prawo, by za rok reprezentować Polskę w Mistrzostwach Świata w Piłce Błotnej, które zostaną rozegrane w szkockim Inverness.

Pod koniec sierpnia 2011 udzieliłem wywiadu dla „Gazety Wyborczej”, w którym oprócz literatury i filmu wiele mówiłem o piłce nożnej. Niedługo później skontaktowali się ze mną pisarze z Ukrainy, z propozycją, żebym stworzył Reprezentację Polskich Pisarzy w piłce nożnej. Na przełom kwietnia i maja 2012 przygotowują dużą imprezę piłkarską w Krakowie i Charkowie, coś w rodzaju Mistrzostw Europy Pisarzy. Zabrałem się ochoczo do tworzenia drużyny – sam miałem taki pomysł w 2007 roku, ale go zarzuciłem, bo przerosło mnie to organizacyjnie. Warunkiem gry w naszej drużynie jest wydanie przynajmniej jednej książki. Wydawało się, że to nic prostszego znaleźć 14–15 osób chętnych do gry. Dość szybko zadeklarowało się 16 prozaików i poetów. Pierwszy sparing naszej reprezentacji zaplanowałem na 14 stycznia. Od znanego menadżera piłkarskiego, Andrzeja Grajewskiego (reprezentuje m.in. Sławomira Peszkę) dostaliśmy dla całej drużyny kompletne stroje marki Puma, z orzełkiem na piersi. Nic tylko grać. Na pierwszego sparingpartnera wybrałem bardzo trudnego przeciwnika – Reprezentację Polskich Dziennikarzy. Sparing został rozegrany w hali piłkarskiej przy ulicy Księcia Bolesława w Warszawie (Bemowo). Już na papierze było widać, jak trudny to rywal – występuje tutaj wielu byłych piłkarzy. W dodatku jest to drużyna, która trenuje z sobą od 7 lat dwa–trzy razy w tygodniu, gromi wysoko wszystkich przeciwników. Na 16 pisarzy, którzy wyrazili chęć gry, zjawili się... dwóch. Ja i Jan Grzegorzczak, najstarszy w całym towarzystwie. Argumenty były rozmaite – brak czasu, bo chrzciny córki, pogrzeb ojca, egzaminy i zajęcia w szkole. A najczęściej – brak kasy na bilet do Warszawy, na nocleg. Dobrze, że zjawili się zaprzyjaźnieni warszawscy aktorzy, animatorzy kultury, jakiś piłkarz, i nie musieliśmy odwoływać meczu. Przynajmniej ładnie na zdjęciach wyglądaliśmy. Pierwsza połowa trwającego 80 minut meczu, rozgrywanego na igielicie, była zaskakująco wyrównana, „pisarze” prowadzili równorzędną grę.

Z upływem czasu słabliśmy, przegrywając ostatecznie pierwszą połowę 3:0, chociaż było kilka okazji do zdobycia bramki. W drugiej połowie dał o sobie brak sił, wynikający przede wszystkim z krótkiej ławki rezerwowych. Dziennikarze dysponowali znacznie liczniejszym składem, dokonywali zmian co kilka minut, ich poczynaniami kierował znany kiedyś piłkarz, a obecnie komentator sportowy Wojciech Jagoda. Ostatecznie pisarze przegrali wysoko, bo 13:1. Jedyne goła zdobył Marek Masternak po moim podaniu. Ale była bardzo fajna atmosfera, szkoda, że zabrakło 3–4 ludzi na zmiany. No i ja mogłem zagrać lepiej, ale grałem z rotawirusem, na stoperanie. Zamiast na „stoperze”... Pierwsza była zaskakująco dobra, goście się wkurzali, bo walili głową w mur. Graliśmy ze sobą pierwszy raz w życiu, niektórzy pierwszy raz w życiu widzieli się na oczy. Dopiero w drugiej połowie pękliśmy kondycyjnie, za bardzo wszyscy poszliśmy do przodu, dziennikarze grali z kontry. Mimo tego mogliśmy zdobyć 3–4 gole, bramkarz przeciwnika bronił znakomicie. Ale przegrać z tak dobrym rywalem to żaden wstyd.

Dziennikarze mówili, że jak 7 lat temu tworzyli swoją kadrę, też tak ich wszyscy toili. A teraz to oni leją wszystkich. Trzeba jednak systematycznie i długo trenować, żeby uzyskać takie zgranie, zwłaszcza na mniejszej przestrzeni. Żałuję, że nie byłem w swojej normalnej dyspozycji, którą osiągnąłem w drugiej połowie 2011 roku. Na dzień przed meczem złapałem jakieś fatalne zatrucie pokarmowe i drogę do Warszawy spędziłem z reklamówką w rękach, na wypadek wymiotów. Nie wspomnę już o lęku przed sraczką. W takiej formie niewiele można zrobić, a szkoda, bo była okazja, żeby sprawić niespodziankę. To drugi ważny turniej, w którym byłem niedysponowany – we wrześniu graliśmy mecz charytatywny w Lublinie – tam z kolei byłem w trakcie grypy, grałem na gripexie. Na następny sparing w Poznaniu wybierzemy sobie znacznie mniej renomowanego przeciwnika.

Chyba każdy młody chłopak, który zaczyna kopać piłkę, marzy o tym, żeby zostać mistrzem kraju i zagrać w jego reprezentacji. Mnie udało się to ostatecznie osiągnąć, ale zupełnie inaczej, niż to sobie kiedyś wyobrażałem.



Próżnia

Kolorowe balony stykające się w powietrzu ciekawi mnie ich los.
Roztapiająca się połać śniegowa.
Pierzaste chmury i my wklejeni w przestrzeń.
Piórka białe, szarzeją od brudów atmosfery.
Dziwadła myśli, których przecież nie widać a jednak są.
Nicość pełna tajemnic.
Ziemia już prawie wyczerpana.
Każdy byt ma swój koniec.
Wiem już stajemy się próżnią, ale walczymy jeszcze o....
uloćność, marzenia, jedność przeciwko totalnej eksploatacji.



Wspomnienie znad Bałtyku

Było faliście i burzowo, momentami banalnie i spokojnie.
Królowały nostalgii, myśli zanurzone w zieleni wiatru.
Wraz z ogromem piasku przyływały zadumy, nateżone ciepłem wzruszenia.
Było błękitne zatrzymanie chmur.
Nie było pustki i skostnienia, słońca promienie rozpuściły niepokój.
W rytmie wschodu i zachodu panowała błoga cisza nie było wrednie rozwrzeszczanych
emocji.

Pioruny rozpały iskry szczęśliwości.
Było cudnie.



Nieświadomy anioł

Masz skrzydła a nawet nie śniesz jak powabna ich lekkość czasem ciebie unosi.
Niebo i szeroko barwny horyzont do zdobycia.
Masz wybór, w którą stronę przemierzać świat.
Nie zachowuj się jak kura, która wyskubuje ziarna i nigdy nie widziała gwiazd.
Rozprostuj skrzydła uniosą cię wysoko.
Nieboskłon uchyli ci przestworzy i zobaczysz czekające bogactwo
w końcu przestaniesz się trwożyć o niepewny los.



Jutro

Jutro już nie będzie mnie takiej.

Jutro nastrój zmieni odcień.

Jutro za chwilę stanie się dziś.

Dziś już nie ma.

Wdech,wydech zamyślenie.

Ja płacze się po dniach do siebie podobnych.

Przebudzenie – trzeba kochać mocno i upajać się każdym dziś.

Jutra już nie ma.



Ja i Ty

Ja zaczęta gdzieś w początku końca.

Ja skończona tu u bramy wyobrażonej wieczności.

ty tam na ziemi.

Ja u nieboskłonu płynącego w przeplecionej więzi do ciebie.

Ja obdarzona promieniami słomkowej nadziei na koniec warty mego początku.

Ja zmyślona ty prawdziwy.

Ja uwita w śnie krętych imaginacji.

Ja wtopiona w zaczątek teraźniejszości umykającej w nieistnienie.

Ja rozmazana ty wyrazisty.

mnie nie ma ty jesteś.

Ja chciałabym być dla ciebie.



Zdjęcie

Przez okienko fotografii świata widzi:
zamglone drzewa, rozmodlone twarze starców
uśpione czarnością nocy marzenia
dumające wśród cieni milczenia umysły
spustoszone cichą obojętnością myśli
pływające po kieliszkach nadzieje
zabłąkane istoty czekające na miłość.
Autor wizji nieznany aparat ma od dawna zepsuty.
Potrzebuję kolorowych klisz na wywołanie.



Głos

Była gorąca, letnia noc. Powietrze stało w miejscu, dając dużo pracy mojemu, pamiętającemu dziecinne czasy wentylatorowi. Leżałem na wznak w mokrej od potu pościeli. Wsłuchiwałem się w odgłosy, dochodzące zza uchylonego okna. Myśli przeskakiwały mi w szalonym tempie, mieszając się w szaloną, niezrozumiałą mozaikę. Znowu byłem naćpany.

Obiecałem sobie kilka godzin wcześniej, że dziś tego nie zrobię. Nie mogę. Uległem jednak i po zachodzie słońca rozsypałem dwie równe ścieżki białego proszku. Wciągnąłem je szybko przez zwinięty dziesięciotłotowy banknot i poczułem w gardle znajomy, gorzki smak „białej damy”, wymieszany z zapachem drewnianego blatu biurka. Spędzałem bezsenną i samotną noc w swoim pokoju. Zwykle, nie mogąc się skupić, oglądałem telewizor, przerzucając w kółko czterdzieści kanałów dostępnych w lokalnej kablówce, ale dziś działo się ze mną coś dziwnego. Byłem niespokojny. Nie było, tak jak zawsze. Czułem, że coś się stanie i czekałem na to przestraszony. Po kilku godzinach przyszedł. Głos.

- Jest nas teraz dwóch – odezwał się.
- Jakich dwóch? Kim ty jesteś? – zapytałem.
- Jestem Tobą – stwierdził.

Rzuciłem się niespokojnie na łóżku. On siedział w moim umyśle i mówił do mnie. To nie może dziać się naprawdę – powtarzałem sobie, patrząc bezmyślnie w ekran telewizora. Głowę zaczął rozrywać mi przerażający, rozsadzający od środka ból. Objąłem ją rękoma i mocno ścisnąłem w skroniach. To nie była zwykła amfetaminowa jazda. To było czyste szaleństwo. Nie wiedząc co zrobić, wybiegłem do łazienki. Namoczyłem ręcznik zimną wodą i zawiązałem go sobie wokół głowy. Stałem i spojrzałem na siebie w lustrze. Wyglądałem jak Rambo – zaśmiałem się szaleńczo do swojego odbicia. Po kilku sekundach ulgi, ból znowu zaczął pulsować. Był straszny, rozrywał mnie niczym mechaniczna piła, na milion małych, kwadratowych kawałków. Spanikowałem i naprawdę się przestraszyłem. Poszedłem do kuchni i nerwowo wyjąłem z szafki kilka tabletek paracetamolu. Łyknąłem je wszystkie naraz, popijając zimną wodą z kranu i wróciłem z powrotem do pokoju. Po chwili ból odrobinę zelżał, a ja się trochę uspokoiłem. W telewizji zaczął się akurat pokaz damskiej bielizny, więc swoje lekko ukojone tabletkami zmysły skierowałem ku szczupłym modelkom, w butach na wysokim obcasie i czarnych, seksownych pończochach. Po godzinie spokojnego, narkotycznego haju, pomyślałem, że to koniec. Przymknąłem oczy i oddałem się we władanie swym erotycznym wizjom. On jednak nie dawał za wygraną.

– Jesteś pedałem! – usłyszałem Go ponownie wytrącony z jednego, ze swoich najlepszych, chemicznych snów.

– Nie jestem żadnym pedałem – sprzeciwiłem się stanowczo.

– Jesteś pedałem, jesteś słaby i boisz się! – atakował mnie.

Czułem przerażenie i wszechogarniający lęk. Był naprawdę silny i pożerał dokładnie każdą myśl, doprowadzając mnie do omdlenia. Nie mogłem mu uciec, nie miałem gdzie. Czułem się słaby i bezbronny. Skuliłem się na łóżku jak dziecko. Nie wiedziałem, co się dzieje i co mam z tym wszystkim zrobić. Chciałem już obudzić się z tego koszmaru. Zażyłem niewielką dawkę i niedługo powinienem zacząć się już po narkotyczny zjazd. Jutro przecież muszę załatwić kilka ważnych spraw – tłumaczyłem sobie spokojnie.

– Jakich spraw? Będę Ci towarzyszył! – wykrzykiwał.

Szedłem energicznym krokiem przez deptak. Miejscami wydawało mi się nawet, że biegnę, a ludzie się na mnie dziwnie patrzą. Ubranie kleiło mi się skóry, a na twarzy pojawiły się czerwone wypieki. Zupełnie nie zwracałem na to uwagi. Miałem umówioną wizytę na komisji lekarskiej, odnośnie odszkodowania za wypadek. Tydzień wcześniej, w pracy rozciąłem sobie rękę i dziś miała zapaść decyzja odnośnie odszkodowania. Wydawało mi się że gdzieś Go zgubiłem. Dotarłem spocony i zasapany. Usiadłem na drewnianym, niewygodnym krześle, a pani doktor spojrzała na mnie przesywającym wzrokiem.

– Proszę pokazać rękę – odezwała się szorstko.

Grzecznie, unikając jej wzroku, podałem rękę.

– No tak – zamruczała i zaczęła coś pisać. Wyprostowałem się na krześle, chowając okaleczoną rękę. Czułem się wycieńczony i chciałem jak najszybciej wrócić do domu. Po chwili kobieta przestała pisać i spojrzała prosto w moje oczy.

– Bierze pan narkotyki? – zapytała.

Co za wścibska baba – pomyślałem i grzecznie odparłem, że nie biorę, tylko jestem niewyspany. Spojrzała na mnie jeszcze raz, a na jej twarzy pojawił się grymas niedowierzania.

– Dobrze, to wszystko – odparła w końcu, gdy skończyła pisać.

Wyleciałem stamtąd jak oparzony. Gnałem do domu. Chciałem się położyć i spróbować zasnąć, bo noc mnie wykończyła.

Znów leżałem na łóżku. Zażyłem dwie, ziołowe, uspokajające tabletki. Przymknąłem oczy i próbowałem odpocząć. Spokój jednak nie nadchodził. Wciąż czułem zmęczenie, ale nie miałem jeszcze szans na zwykły sen. On ciągle był ze mną.

– Jesteś pedałem!

– Jakim pedałem? Przecież nie lubię chłopców!

– Jesteś pedałem, wszyscy Cię nienawidzą!

Złapałem się za głowę i zacząłem ją ścisnąć, ale On mówił do mnie dalej.

– Musisz stąd wyjechać! Musisz jechać!

– Nie, nie mogę – krzyczałem i przewracałem się na łóżku.

Po kilku godzinach uległem. Pojechałem.

Śmiertelna droga

Obudził się wczesnym rankiem, z wielkim bólem głowy. Sny nie dawały mu spokoju. W sumie nie wiedział, czy to sny, czy koszmar dnia poprzedniego. Na razie nic, oprócz bólu głowy nie wskazywało na

coś poważniejszego. Nie był głodny, jednak chciał zjeść choć lekkie śniadanie. Usmażył więc sobie jajecznicę i zaparzył gorącą herbatę. Po jedzeniu połknął dwie tabletki paracetamolu i poszedł do łazienki. Puścił wodę do wanny i zapalił papierosa. Zgubiłem Go – pomyślał.

Od kilku minut leżał wygodnie w wannie, słuchał szumu leżącej wody i przyglądał się swoim stopom. Na paznokciu dużego palca prawej stopy zauważył czarny ślad. Skąd ja to mam? Nic mi przecież nie upadło na stopę. Dotknął ręką śladu zaskoczony. I wtedy znów się odezwał.

- Jestem razem z Tobą. Jestem Tobą.
- Kim lub czym jesteś? Odczep się ode mnie! – krzyczał odpowiedzi w myślach.
- Jestem Tobą. Jesteś pedałem! Nikt cię nie lubi, wszyscy cię nienawidzą!
- Nie jestem żadnym pedałem, odejdz! – krzyczał, trzymając się za czarny paznokieć.

Powrócił koszmara z dnia wczorajszego. Ten Głos usłyszał po zażyciu ostatniej dawki. Miał nadzieję, że po przespanej nocy wszystko wróci do normalności. Ale skąd jest ten Głos? Co się ze mną dzieje? Skąd on do mnie mówi? Zna wszystkie moje myśli? Co za pieprzony nadajnik mi zamontowali? Znów spojrzął na swoją stopę.

- Musisz uciekać! Musisz jechać! – kołatało mu w głowie.
- Dokąd? Po co?
- Nach Szczecin! Uciekaj!

Własne myśli mieszały mu się z Głosem wydobywającym się nie wiadomo skąd. Złapał się za głowę w rozpacz. Co się ze mną dzieje? Nach Szczecin? O co kurwa chodzi? – pomyślał. Szybko wyszedł z wanny i zaczął wycierać się ręcznikiem. Z kuchni zawołała go matka.

- Pójdź po mąkę do warzywniaka – poprosiła i wręczyła mu pięć złotych.
- Ścisnęła monetę w rękę, a wychodząc z mieszkania, włożył do kieszeni swoje dokumenty.
- Zaraz wrócę! – krzyknął wybiegając.

Biegł schodami w dół wieżowca. W głowie miał zupełny chaos. Nie wiedział co z tym wszystkim zrobić. – Nach Szczecin! Nach Szczecin! Musisz uciekać!

Gdy po chwili znalazł się przy ladzie w pobliskim zieleniaku, zapomniał o mące. Poprosił o dwa mocne piwa. Wypił je szybko, ale dużej ulgi nie poczuł. Głosy przytępiły się, ale nadal tkwiły w środku jego głowy. Szedł po chodniku oszołomiony piwami, aż znalazł się przed oddziałem swojego banku. Wybrał niewielkie oszczędności i włożył do kieszeni.

- Co teraz? – pytał się w myślach.

Kupił w pobliskim sklepie kolejne butelki piwa i skierował się na dworzec kolejowy. Był już pijany i nie bardzo wiedział dlaczego i co robi. Po krótkim spojrzeniu na rozkład jazdy, znalazł peron i brudny pociąg do Szczecina. Przedziały były w większości puste, więc wybrał jeden z nich. Zamknął drzwi, zasłonił firanki i położył się na siedzeniach.

- Jezu, co ja robię? Po co jadę do Szczecina?
- Nach Szczecin! Uciekaj! Musisz jechać! – w myślach wciąż się wszystko mieszało.

Po kilku godzinach usypiającej jazdy na dworze zrobiło się ciemno. Przez całą podróż do przedziału nikt nie wchodził, oprócz konduktora sprawdzającego bilet. Tym razem musiał wypisać mandat.

Pociąg w końcu zakończył bieg. Dochodziła północ, a szczeciński dworzec był opustoszały. Kręciło się kilku bezdomnych i podejrzone, młode dziewczyny z podkrążonymi oczami i tłustymi włosami. Sam też nie wyglądał najlepiej, ale nie martwiło go to zupełnie.

Nigdy nie był w tym mieście i wychodząc z dworca, poczuł się niepewnie. Nie wiedział, co ze sobą zrobić i gdzie się skierować. Chętnie wypiłby kolejne piwo, ale nie mógł znaleźć otwartego o tej porze sklepu. Błąkał się po ulicach, aż w końcu postanowił wsiąść do taksówki. Miał jeszcze trochę pieniędzy i postanowił znaleźć miejsce, gdzie będzie mógł je wydać.

Taksówkarz zawiózł go do całonocnego klubu, przy okazji odkupił też telefon komórkowy. Klub znajdował się chyba gdzieś na obrzeżach miasta, bo jechali dość długo. Na miejscu było głośno, duszno i ciemno. Znów wypił kilka piw. Próbował też z kimś porozmawiać, ale ludzie ignorowali go. Chyba szaleństwo miał w oczach. Na pewno zrobił też swoje pity od rana alkohol. Ledwo odczytywał otaczającą go rzeczywistość.

Po kilku godzinach znów znalazł się w przedziale pociągu. Za oknem świtało. Przemknęło mu w pamięci, że odwiedził przez noc kilka klubów, wypił kilka piw i drinków, i że w tej chwili jedzie do Świnoujścia.

Podróż nie była długa, ale miejsce zupełnie go zaskoczyło. Znów nie wiedział, gdzie ma pójść, a zmysły orientacji zawodziły go zupełnie. Wyszedł z pociągu i poszedł do pobliskiej knajpy. Nawet nie pomyślał o morzu. Zjadł niedobrą zapiekankę i kupił kilka piw. Chciał się stąd wydostać. Cafe to miejsce śmierdziało. Śmierdział dworzec, śmierdziała ulica, śmierdział peron. Śmierdział on sam.

Chciał wracać. Znów siedział, ale dla odmiany w przepelnionym przedziale. Był tłok, ale jakoś udało mu się znaleźć wolne miejsce. W większości młode osoby, zakochane pary. Wciąż posyłali mu pogardliwe spojrzenia. Podróż się dłużyła, bo pociąg nie był pospieszny. Na szczęście z biegiem czasu przedział się opróżniał. Gdy na dworze się już ściemniło, został sam. Wtedy nastąpił kolejny atak.

- Umrzesz! Będziesz martwy! Już na ciebie czekają!
- Wiesz przecież, że cię ścigają? Już po Tobie!
- Kto? Za co? Przecież nic nie zrobiłem?
- Dobrze wiesz za co! Będziesz martwy! – Głosy mówiły do niego.

Wstał z siedzenia i oparł się o ścianę pustego przedziału. Na twarzy wystąpiły krople obfitego potu. Otworzył okno i spojrzał przez nie.

- Tędy nie ucieknę. Chyba już po mnie – pomyślał.
- Po chwili poczuł, że pociąg zwalnia i zbliża się do jakiejś stacji.
- Nie wytrzymam. Tak mocno się boję. Chyba mnie dopadną.

Gdy pociąg się zatrzymał, wybiegł z przedziału i pociągu. Znalazł obskurną ubikację na poboczu dworca i zesrał się ze strachu. Wychodząc, zauważył, że pociąg mu odjechał. Został sam, w środku nocy na odległej, małej stacji.

- Dopadniemy cię, będziesz nasz! Turlaj się po torach! Masz się turlać!

Upadł na tory i zaczął się turlać. Nie czuł żadnego bólu. Słyszał w oddali szczekanie owczarków niemieckich i wyobrażał sobie, jak Oni idą po niego. Po chwili usłyszał nadjeżdżający pociąg i zobaczył jego światła.

– Czy mam teraz umrzeć? Czy mogę żyć? Dla kogo mam żyć? Dla niej, czy dla siebie? Nie chcę umierać!

Pociąg był coraz bliżej, a on wciąż leżał na torach.

– Nie chcę umierać! Będę żył dla siebie! – krzyknął i zatoczył się w stronę pobocza. Pociąg przejechał kilka metrów dalej, omijając go. Leżał w trawie oszołomiony, słysząc nadal Ich i Ich owczarki.

Po chwili z lasu wyłoniła się jakaś spowita mrokiem postać. Stała i popatrzyła na niego.

– Spierdalaj stąd – odezwała się niskim głosem i przeszła obok.

Leżał jeszcze kilka minut w trawie, dochodząc do siebie. Oni zrobili się coraz słabsi. Wstał, otrząpiał ubranie i powoli zaczął iść z powrotem w stronę stacji. Obszedł wszystkie budynki stacji i znalazł automat telefoniczny. Chciał zadzwonić do rodziców lub brata, ale telefon był na kartę. Nie miał pojęcia, jak się dostać do miasta. Na peronie stał pociąg, ale jego wszystkie wagony były pozamykane tańcuchami. Szedł wzdłuż niego, aż znalazł się przed lokomotywą. Drzwi były otwarte, a ze środka wydostawał się dym papierosowy. Wahał się chwilę, ale w końcu złapał za uchwyt i wdrapał na górę.

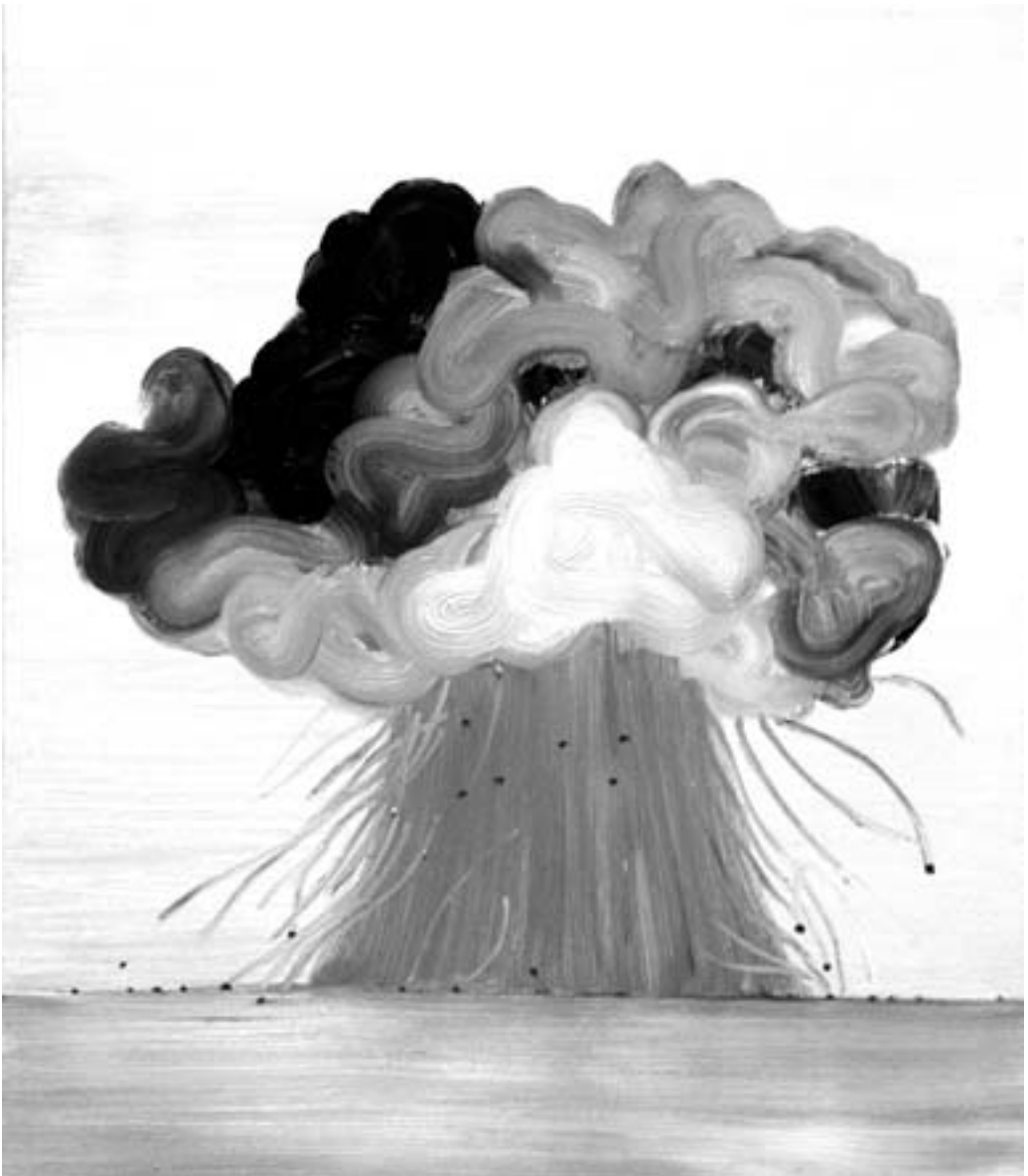
– Podwiezie mnie pan? – spytał niepewnie maszynistę. Ten spojrział na niego z papierosem w ustach.

– Wsiadaj – odpowiedział i machnął zachęcająco ręką.

Ruszyli w milczeniu. Palili papierosa za papierosem i patrzyli przed siebie, nie odzywając się do siebie. Droga tej nocy mijała szybko. Po pół godzinie byli na miejscu. Podziękował i wyszedł na peron. Ich już nie było. W końcu poczuł zmęczenie i uświadomił sobie, co się stało. To był koszmar. Usiadł na pobliskiej ławce i złapał się za głowę.

– Jezu, co się ze mną dzieje? Co się stało? – pytał sam siebie. – Muszę coś z tym zrobić. Muszę iść na leczenie.

Wstał z ławki i poszedł w stronę domu.



Przełomy

Od kiedy z tobą mieszkam, rzadziej piszę wiersze,
to pewnie dlatego, że życie stało się piękniejsze,
ale ciągle wyszukuję tego, przez co nieco chrzęści,
bo skoro jest pies, to i zdechnąć musi.

Dym ciągle wpada mi do płuc dość zwawo
noc wylewa światła z przydrożnych latarni
prosto w nasze okna. Może to i dobrze,
że skoro jest pies, to i zdechnąć musi.

Tej zimy nie widziałem nawet płatka śniegu,
Zawsze można zatęsknić za czymś mniej doniosłym,
choćby tylko na moment, żeby złapać nastrój,
a skoro jest pies, to i zdechnąć musi.

Nie myśl, że to o tobie, tak tylko wspominam
twoje białe stringi. Bardziej je niż ciebie,
ale było pięknie. Przyznaj, było pięknie,
a skoro jest pies, to i zdechnąć musi.

Kupa grzechów i błędów już się nazbierała,
drobnostki. Teraz na jaw wychodzi prawda
i pryszcz na prawym pośladku. Ciągle piszę.
Na szczęście czasem muszę wypowiadać wszystko

dzięki czemu żyję, a skoro żyję, to i umrzeć przyjdzie.

Wieczna biel miasta

Zapaliłbym z tobą w łóżku, ale ty nie istniejesz
i może nigdy nie będziesz istniała. Zrobiłbym to
w tym mieście, bo ono jest szczere. Rozrasta się

w cztery strony świata, najmocniej na cmentarz
słuchając niemego protestu owiec idących na rzeź.
Tam, na rogatkach kończy się wieczność, zaczyna

bruk. On wszystko rozumie, a jego nieliczni:

Wiewiórka wie najlepiej, jak orzech rozbija ziemię.
Ja wiem tylko, że miasto dzisiaj sprawdza naszą siłę,
jutro sprawdzi słabość. Ty nie możesz wiedzieć,

że zapaliłbym z tobą w łóżku, bo ty nie istniejesz.



Wszystkie dachy Dachau

Ściany nowego domu są mi nieco obce,
jak uschnięte kwiaty w szklarni na prowincji.
Chwilowe jak filmy, te reportażowe,
niczym nieważny błysk, chociaż w tym kolorze

jest sporo prawdy, ale jakiejś obcej.
Zastanawiam się, gdy nikt nie patrzy
w moją stronę. Pamiętam, jestem,
próbuję przewidzieć. Z tym ostatnim

mam największy problem, więc wspominam
cudze matki palące w piecach starymi butami
i zepsute skrzynki na listy, które wciąż są puste.
Jakie by nie były i w jakim mieście rosły,

przyszłe domy dzisiaj nie mieszczą się w głowach.



Małe miejsca

W tych małych miejscach historie są małe:
powietrze godzi się na ptaki, a ziemia na drzewa,
wyżej chmurzy się na burzę, niżej ogień milczy
o swoich przyczynach. Miękki upalny asfalt.

W tych małych miejscach historie są małe:
ściana jest sufitem, a sufit jest ścianą, polecieć
nie zdołasz. Za oknem nikt nie prowadzi wojen
ani psów na smyczy, więc psy srają pod furtką.

W tych małych miejscach historie są małe,
nie muszą się rozwijać, ważne żeby trwały,
więc ubieramy spokojnie czoła w zmarszczki
i latamy wciąż niżej na coraz cięższych skrzydłach.

W tych małych miejscach historie są małe,
a ostatnie słowa są cięższe niż pierwsze.

Remisja

Cień ciepłego powietrza na tarczy do darta,
typowy barowy hałas, bez dymu – jak dawniej.
Za to tanie piwo, jak w każdej osiedlowej knajpie.
Kilka celnych rzutów nad stołem, nad ludźmi,

z których jeden wstaje, chwieje się, potrąca,
ale nie przeprasza chmielowym akcentem.
Ostrzy siekierę dla zabicia czasu, patrzy,
wlewa szklankę wody do zimnego morza.

Rzuca propozycję wyjścia przed bar, tam,
gdzie dym nadal jest obecny. Odmawiam
i rzucam swoją propozycję przyjętą odmownie.
Nie dzieje się więc nic, depesze wracają

do nadawców, pod niczym wzrokiem
nie pękają lustra. Żaden z nas nie wygrywa
tego pojedynku, jesteśmy więc przegrani.
Dowodem istnienia walki zawsze są wygrani.

Gabinet cieni

Domy nie podróżują, zmieniają się w miejscu
jak ich właściciele. Jak tutejsze szczury
żywiące się nędzą, nerwami kruchych liści
od kiedy światło nie mrozi się w lodówce.

Koniec świata nie znaczy, że mamy umrzeć
z głodu. A gdyby dom napętniał się słońcem
jak ciepłem – powoli? Gdyby korzenie nie były
w ziemi, ale rosły w dół? Zmieniłby się język.

Wszystko co może się zdarzyć, w końcu się stanie,
więc w trakcie ekspansji miasto pochłania górę,
coraz starsze kobiety wpadają mi w oko, a starzy znajomi
naszych nowych kobiet bywają niebezpieczni.

Zostawiają ślady jak byli mieszkańcy w zimnych gabinetach.

Ślady

Nie rozmawiam z aniołami. Nigdy nie miałam takiej potrzeby. Zresztą są one w S równie rzadkie jak dziewice. Nie wiem, co mnie tu przyniosło, chyba nic. Dryfowałam swobodnie w lepkiej duchocie sierpniowego powietrza, w zapachu gnijących na klombach przy Alei Niepodległości mirabelek. W rudym kurzu lewitującym w bezwietrznej przestrzeni poruszanej tylko niespiesznymi krokami przechodniów, z których każdy jest znajomym, krewnym, krewnym znajomych, znajomym krewnych, aż znalazłam się tutaj.

Na wyłożonej rozgrzanym od upału, burym granitem podmurówce rozsychającego się misyjnego krzyża śpi chudy, czarny kot. Nie obchodzi go czarno-biała zakonnica prowadząca do zakrystii klekoczący błotnikami, wiekowy, męski rower, ale moje przyjście sprawia, że nieco uchyla jedno żółte oko i przeciąga się, demonstrując finezyjnie gibkość kociego ciała.

– Cześć przyjacielu – wyciągam dłoń, jako zdeklarowana, nałogowa kotoholiczka, ale dzikus zręcznie uchyla się przed pieszczołą i nagle rozbudzony, znika szybko w szczelinie uchylonych, masywnych drzwi starego kościoła. Przymierzam dłoń do metalowej klamki pokrytej ni to patyną, ni to wypolerowaną rdzą i w akompaniamencie piekielnego wycia starych zawiasów wchodzę do środka.

Chłodniej. Półtorametrowe gotyckie mury działają jak najlepsza klimatyzacja. W powietrzu unosi się wielobarwny od światła sączącego się przez witraże kurz. Rozedrgane tęcze prosto z błękitnych, zielonych, czerwonych powłóczystych szat szklanych archaniołów i świętych, w barwnych plamach drżą na drewnianej, brudnej podłodze. Jako dzieciak uwielbiałam zatrzymywać się w tych miejscach, bo można było pobyć przez chwilę księżniczką elfów albo zaklętą królową. Zielone owale tańczą po moich pantoflach. Panie i panowie – Barbie i sekret wrózek u progu klimakterium!

Siadam na brzegu przedostatniej ławki. Z lewej kłocowata chrzcielnica. Mało oryginalny produkt z lastriko jakiegoś kamieniarza z czasów peerelu. Pewnej zamierzchłej wiosny mnie też do niej przynieśli. Obok żółty jak oczy mojego przewodnika (swoją drogą, gdzie on przepadł?) paschał z czerwonymi gruzłami ran Chrystusa. Przy nim, trochę w głębi wciąż ten sam psychodeliczny ołtarzyk świętej Tereski z Różą. W podstawówce baliśmy się śmiertelnie siadać w pobliżu, bo zdawało się, że obraz zmienia wyraz twarzy – raz uśmiecha się szeroko, raz nieznacznie i z niezadowolaniem. A zawsze wpatruje się świdrującymi, błękitno-fioletowymi oczami dokładnie prosto w nasze. Po prawej w drugiej bocznej nawie, w bliźniaczo podobnej, machniętej na olejno byle czym i nieodzownym złotolem, drewnianej klęczce

Matka Boska Częstochowska. Zabrali jej wiszące obok obrazu jeszcze dziesięć lat temu na pluszowych poduchach wota. Szkoda – była tam w końcu i mała złocona ikonka, takie ci kuriozum na rzecz dialogu z prawosławiem, a wszystkie te łańcuszki, koraliki, blaszki były dowodem, że zdarzyły się komuś cuda prawdziwe czy przypadkowe. Ktoś został wysłuchany..

Tam siedziałam, obok tych poduszek – ławki te same, co w siermiężnych czasach mojej Pierwszej Komunii. To była chyba jedna z pierwszych w życiu porażek. Welurowa sukienka pożyczona od sąsiadki, ciepła i drapiąca pod szyją falbankami naszytymi z za gęsto poprzymarszczonego firanowego tiulu, loki, te cholerne loki poskręcane przez noc na gazetowe papiloty, a rano rozczesane w rozczapierzone na wszystkie strony siano. Byłam tak potwornie nieszczęśliwa, że wyglądałam okropnie i nikogo to nie obchodziło. Tak jak wtedy, kiedy wysyłali mnie do tego kościoła w paskudnym beżowym, sztucznym misiu po starszej siostrze, a ja siedziałam za filarem od ambony w nadziei, że nikt mnie nie widzi i nikt się nie śmieje. Jakie głupiotki są te nieszczęścia sprzed trzydziestu pięciu lat, a jednak przecież moje własne.

Główny ołtarz w kształcie trzywieżowego, strzelistego kościoła też, gdzie się dało potraktowany złotem, jak to na prowincji. Z boku zamiast skrzydeł dwie figury już polskich świętych, ale nie mam pojęcia kogo. Jeden w biskupiej tiarze, drugi w uniformie zwykłego księdza, obaj ponurzy, obaj z dziwnego żółtobeżowego kamienia przypominającego sól. W głównym ołtarzu Chrystus ukrzyżowany ścieka w mrok ciemniejszego werniksu, bo przecież za katolików nikt go nie konserwował. Za katolików, bo obraz jest przechrzczony z ewangelickiego w czterdziestym piątym, tak jak i cały kościół, i całe miasteczko, gdzie co się nie dało nową nazwą i kropidłem, to się przechrzciło ciężkim sprzętem, tak jak niemiecki cmentarz w centrum i żydowski za miastem, z którego macewy służyły jeszcze latami do zatykania studzienek kanalizacyjnych i szamb. Śmierć wszystkich równa. Jakiś średniowieczny, średnio zdolny, nieznanymi Niemiec nie przewidział, że jego Chrystus będzie jeszcze wisił sześćset lat później, spływając w ogarniającą go coraz szczelniej ciemność. Dwa dni temu widziałam żalosne powykręcane truchło rozdeptanego winniczka, a dzisiaj właściwie ledwo ślad został. Wsiąknął, zmienił się w ziemię, a Chrystus zmienił się w bezszelestny mrok, czający się w bocznych nieoświetlonych nawach. Jest w tym coś z symbolizmu i smutku, jakby wszystko było na próżno.

U jego stóp można jeszcze dostrzec twarze Marii i Jana właściwie jednakowe. Długowłose, jakby za kobiety Jan i Maria, jakby zbyt męska. Zapatrzeni w próżnię w jakiejś przerysowanej pozie pół krzyku, pół cierpienia, hermafrodyty o sklonowanej twarzy jednego modela połączeni pępownią czerni. Niemiecka oszczędność.

Pamiętne to były czasy, kiedy za nawiedzonego proboszcza Catkiewicza odbywały się przed tym ołtarzem wyłącznie zbiorowe śluby, choć nikt wtedy jeszcze nie słyszał o sekcje Moona. Dwanaście lat temu ja też składałam przed nimi swoją jedyną przysięgę małżeńską. Bez egzaltacji, raczej wierząc, że robię coś bardzo właściwego i potrzebnego. Nie pamiętam z niej ani słowa. Pięć minut po pewnie też nie pamiętałam. Pięć dni później powód ślubu wyszłiznęła się ze mnie lepka strużką ciepłej krwi, ale było po. On powiedział, że nic się nie stało. Lubiliśmy się. Mało namiętnie, raczej jak brat i siostra. Nie ingerowaliśmy w swoje życiorysy i nie stawialiśmy wymagań. Po dwunastu latach nie wiem, kto jest bardziej mężczyzną, kto kobietą – wedle potrzeb. Nie wchodzimy sobie w drogę i w jednym mieszkaniu udaje nam się poruszać po zupełnie oddzielnych, niestwarzających konfliktu orbitach. Jednocześnie staliśmy się przerażająco do siebie podobni, nieruchomi, jak Maria i Jan, z ołtarza otoczeni zastygłą, a jednocześnie podpełzającą ze wszystkich stron ciemnością, przez którą ciepłą, lepka strużką wycieka z boku Chrystusa ich ostatnia nadzieja. Nic się nie stało.

Drzwi z drugiej strony rozdarły doskonałość prawie dotykanej ciszy upiornym jękiem. Do kościoła wdreptała klockowata, spłowiata blondynka po sześćdziesiątce. Przeszła obok, przykłąkając pobożnie na środku. Został po niej ten pudrowo-ziółowy zapach perfum, jakich używają chyba wszystkie emerytki.

Usiadła z przodu. Modli się, ale ciekawość nie do opanowania każe jej zerkać ukradkiem w moją stronę. Znowu drzwi – tym razem dwie – wysoka, siwa z kokiem i tłusta w swetrze i berecie, choć na dworze chyba ze czterdzieści stopni. Następne, następne na przemian przez główne, lewe i prawe drzwi, szleszczą, stukają, moszczą się na swoich grzędach – dwadzieścia jeden starych kur. Któraś intonuje niezidentyfikowaną Jezusową litanie, która odbija się jakimś pradawnym echem we wnętrzu mojego mózgu. Echo pachnie jasnymi, ciepłymi dłońmi mojej babci, żółtymi wiankami z rozchodnika, ziół i pączków dzikiej róży, które po poświęceniu zbierała w poszewkę od jaśka na trumienną poduszkę. Monotonne, śpiewne, kolejne strofki litanii zatrzymują się na chwilę w powietrzu i rozpływają w wiszącym pod chórami półmroku. To jak hipnoza. Powieki zaczynają ciężać i żeby nie zasnąć, zaczynam wyobrażać sobie, czy starsze panie tak samo gorliwie mantrowałyby, gdyby w głównym ołtarzu były powiedzmy *Narodziny Wenus Botticellego*. Z lewej zamiast biskupa z soli, lubieżnie spleceni ze sobą, półnady Zefir i Chloris. Tacy demoniczni, bezwstydni o wielkich czarnych skrzydłach posłańców Szatana. Ale za to w deszczu damasceńskich róż – jakby zeszła go sama Upiorna Tereska rezydująca obok. Po prawej posągowa biała Eirene – ukwiecona i niewinna, podająca czerwony płaszcz zmartwychwstania lewitującej na ni to falach, ni to podmuchach wiatru Wenus. Tej centralnej golizny pewnie by panie nie zniosły. Nawet, gdyby im wmówić, że to narodziny najświętszej Marii Panny. Chociaż, przecież w nagości Wenus nie ma nic bezwstydnego. To taka niezawiniona nagość narodzin bez wyuzdania, za to nawet wstydliva. Albo Magdalena – de la Tour'a – czarnowłosa, ciężarna żydówka-ladacznicą. Choć każda ze świętobliwie rozmodlonych przede mną wie, że Matka Boska jest żydówką, jednak jest to dla nich jednocześnie straszliwe bluźnierstwo. Nic nadzwyczajnego, zwykłe polskie rozdwojenie katolickiej jaźni.

Magdalena wpatrzona w płomień. Obłożona kolekcją symbolicznych rekwizytów, piekłem i niebem, życiem i śmiercią, wiedzą i pustką, wiarą i przekleństwem, czystością i wyuzdaniem, z których wszystkie doskonale jej nie obchodzą. W mroku pokoju obojętna i odwrócona ku jednemu jasnemu punktowi patrzy gdzieś poza. Patrzy we własną ciemność. Włosy opadają na ramię, głowa jakby z trudem opiera się nadludzkiemu zmęczeniu. Święta grzesznica sama jest rekwizytem w martwej naturze świata. Widzę jej obciążony krwistą czerwienią brzemienny brzuch, zamiast którego dotyka delikatnie ludzkiej czaszki, jak łba ulubionego psa – życie i śmierć. Życie i śmierć, śmierć i śmierć, czuję to samo obezwładniające znużenie.

Gdybym nagle zniknęła? Moje bycie i niebycie jest bez znaczenia. On powie: nic się nie stało i wyjdzie do pracy, a za pięć lat nikt nie będzie pamiętał mojej twarzy i imienia, i naprawdę nic się nie stanie. I tak samo z milionami innych. Całe to smrodzenie o bezcenności życia to tylko niesmaczny, medialny show. Dzwony biją. Nie lubię dzwonów. Naruszają spokój. Zaraz kohorta albo i legion staruszek zacznie szturmować wejścia. Nie mam ochoty wyrwać się z przytulnego odrętwienia, ale wychodzę. W ciemnym przedśionku czuję na tyłce miękką przyjazny dotyk kociego futra, ale nie mogę dostrzec właściciela. Przewodnik pożegnał się i zniknął?

Popycham masywne drzwi i nagle chłodne powietrze uderza mnie w twarz. Kocie łby przed kościołem połyskują lśniąca politurą niedawnego deszczu. Popołudniowe słońce odbija się na nich jęczyczkami ognistych refleksów. Miedziane pascze rynien rzygają z impetem spienioną szaro-niebieską wodą. Ostatnie krople wbijają się w oczy, policzki, ramiona jak chłodne szpilki. Osusza je zbudzony nagle nie wiadomo skąd wiatr. Zanurzam się w nim i oddycham pełną piersią, nasycam się zapachem ozonu i wszechobecnym, migotliwym światłem. Tuż przede mną na bruku siedzi kot. Obojętny na wszystko, pochłonięty wyłącznie kocią toaletą, z gracją przesuwając łapę po zupełnie suchym futrze. Nieskazitelnie białym.

fragment cyklu

ANTY-GENY. LALKI REBORN.

Musimy nauczyć się żyć w innych ludziach, jakkolwiek nieprzyjemne byłyby ich zimne, pokawałkowane sprawozdania z nas: one nas stwarzają.

John Ashbery

1. Lalka płci żeńskiej, wykonana ręcznie z delikatnego materiału. Jej stwórcą jest tylko kobieta. Była policjantka, która teraz powołuje do życia plastikowe dzieci i oddaje je do adopcji. Proces stworzenia trwa nawet kilka tygodni. Wszystko wymaga precyzji i czasu.

Do złudzenia przypomina niemowlę. Rysy dziadka, z pochodzenia Włocha, i babki, rasowej Niemki. Wygląd zawsze dziedziczy się w trzecim pokoleniu. Ma włosy, przebarwienia na skórze, żyłki. Rozkoszne wałeczki. Oczy niebieskie jak na ostatniej fotografii.

Oddycha, płacze po nocach, gdy jakiś cień zatańczy na ścianie. Nawet ślini się, bo nie lubi smoczka. Pampersy ma pełne moczu, równo co sześć godzin. To wcale dużo rodziców nie kosztuje. Nie trzeba przewijać na zapas. *Wmontowany specjalny mechanizm.*

2. Możliwe zachowanie wady genetycznej. Szczegóły zamówienia do ustalenia. Gramatura zależna od dni płodowych. W dwudziestym tygodniu zazwyczaj 500 gramów. Wielkość odpowiednia. Wykonam wszystkie mankamenty urody według zdjęcia, również braki ciała.

Na aukcjach internetowych lale schodzą niczym świeże bułeczki. Licytacje są popularne, jak o drogocenne kamienie czy inne błyskotki. Zamawiają singielki. Kobiety biznesu, które nie mają czasu na dzieci. Matki oplakujące poronienia lub tęskniące za wnukami babki.

Do sprzedania mam swoje maleńkie, przedwcześnie urodzone bliźnięta. Jeśli jesteś zainteresowany kupnem tych dzieci, proszę o kontakt. Cena za dwójkę wynosi 600 funtów plus opłata pocztowa.

3. Przyszła na świat jedenastego lutego. Ciało ma z wybarwionego jasnego winylu. Włosy z delikatnej mohery. Szklane oczy bardzo dobrze udają prawdziwe. Jest niemowlęciem, które pojawiło się na świecie dzięki swojej pierwszej matce – artystce.

Adopcja przebiegła szybko. Przelew na konto. Prawie trzy moje pensje, ale czego nie robi się dla dziecka. Ma otwory w buzi i kiedy przyciskam jej klatkę, to przez nos wydobywa się powietrze jak przy oddychaniu. Jest ciepła, a jej serce bije rytmicznie. Pachnie mlekiem. W cenie wyprawka: pieluchy, koc, opaska z datą urodzenia i certyfikat ważności.

Pępowina gratis.

4. Numer zamówienia: 654/2011. Nigdy nie urośnie, nie odejdzie na własnych nogach. Ma urządzony wygodny pokój, ubranka z sieci handlowej. Na spacer zawsze wyprowadzam ją po powrocie z pracy. Wózek jest duży i bardzo bezpieczny. Fotelik samochodowy również.

Lubię dumnie paradować po ulicach jak matka. Gdy ktoś zagłąda do dziecka, to zaraz gratuluje mi jego urody. Mówi, że jest śliczne i spokojne. Odpowiadam, że to istny aniołek. Owszem, w nocy trochę płacze, ale zawsze o tej samej godzinie i zdążyłam się już przyzwycząić.

Głowa musi być podtrzymywana jak u żywego niemowlęcia trzymanego na rękę. Rozpoznanie: *Zaspokoić instynkt macierzyński nie jest łatwo.*

5. Lalki bywają nieudane z różnych powodów. Czasem za mało przypominają zleceniodawców. Najczęściej są zbyt sztuczne i zimne. Można je reklamować. Gwarantowany zwrot pieniędzy lub poprawki. Wszystko po to, by klientka mogła zawsze czuć się jak młoda matka.

Jeszcze żywa dziewczynka leży w żelaznej nerce w oczekiwaniu na ostatni oddech. Nie chcą pokazać jej rodzanej. Nie dają przytulić. Położna mówi o tym: *wyskrobiny*. Dziwi się, że po wszystkim rodzice chcą zabrać *materiał* do domu. Zwariowali chyba. Przecież to nic. *Wcześniaki przed 26 tygodniem życia nie są ratowane. Nie udały się.*

Zapiski po przerwie

Bzy

Dzisiaj zauważyłem bzy, a wieczorem poczułem, że kwitną lawinowo, a więc i lawinowo pachną. Nareszcie coś innego niż otaczający świat, wypełniony kłamstwami, przekleństwami, syczeniem, jazgotem i katastrofami. Chwilowo mogą do tych fioletowych i białych bzów przykładać jakąś uwagę. Jeszcze jest ich sezon, ale bzy i inne efektowności przyrodnicze jednak zgasną za moment. Zostaną katastrofy i nieszczęścia. A co po nich nastanie? Na razie tylko tyle.

Telefon

Zadzwoił telefon. Byłem na schodach i słyszałem jego dźwięk. Taki nagły. Jak zawsze. Podbiegłem więc i znowu odezwało się dzwoniennie. Podniosłem słuchawkę. Ktoś się wyłączył w tej samej chwili. Cisza.

Kościół w Zawadzie

Z roku na rok robi się jego wnętrze coraz bardziej piękne. Przekształcane ze starego na nowe. Choć może trochę inaczej wyobrażałem sobie ten architektoniczny kształt po remoncie i przebudowie, to muszę przyznać, że w tej przestrzeni coś jednak jest wartego uwagi. Witraż,

unikatowe organy, żyrandole, jakiś zaułek, blask świetlnej smugi na ławce lub posadzce. Nawet dla kogoś, kto od wyznawania wiary jest daleko. Trzeba byłoby szczegół po szczególe detalicznie opisywać, żeby sprostać mowie wszystkich miejsc. Poszedłem w przerwie między pracami domowymi, ogrodowymi i literackimi zobaczyć jak teraz ścianom nadawane są kolory, które mają uwypuklać sacrum. Delikatny, ledwo zaznaczony żółty wyzwała w patrzącym spokój, ciszę, łagodność. Może i usposabia do modlitwy. Malarz stoi na wysokim rusztowaniu i pracuje. Szkoda, że nie zastosowano tutaj także błękitu czy bladej czerwienu. Szkoda. Chciałoby się te barwy widzieć. Tak mi ich brak w sakralnym wnętrzu. A może brak mi ich raczej w moim wnętrzu? Tak nam wszystkim czegoś brak w swoich wnętrzach. Te kolory, a raczej takie światło, zobaczyła siostra Faustyna w widzeniu postaci Jezusa, wychodzące z Jego serca. No, ale taki jest projekt i już. Kiedyś, kiedy cały zamiar się zrealizuje, ale nie tak szybko, tego piękna przybędzie jeszcze więcej.

Myśli

Ptaki są najbliższe idei uosabiających istotę myśli. Bóg wiedział co robi, stwarzając je. Tak mi wpadło. Nie ryby, owady, robaki, gady ani płazy. Żadne inne stworzenia. „Ptaki dla myśli”, to na

przykład wiersze, albo i te zapiski, które mnie od czasu do czasu podtrzymują. Są próbą oddechu. Dawania miary ziemi. Czasami dodają skrzydeł. Ptasia skrzydlatość, lotność, szybkość, zmienność i zdolność osiągnięcia jakichś wysokości przestrzeni i miejsc obrazuje najdoskonalej mobilność i wolność, możliwości myśli. Dzięki myślom człowiek pozbywa się ciężaru ciała lub ziemi. Ptaki będą więc do końca świata patronować człowiekowi.

W tym życiu

W tym życiu chodzi o codzienny oddech i rytm krwi. Aż do ostatniego oddechu i drgnienia pulsu. Przez wszystkie olśnienia i utrudzenia. O nic więcej. Wszystko inne jest skutkiem. Dodatkiem i stratami, z których składają się dni, lata, etapy, koleje, przygody, upadki i wzloty całego życia. Nic bez oddechu. I bez łóżka, w którym można się dobrze wyspać. Sprawdzam właśnie zasób chleba i czegoś do chleba w lodówce, by ten oddech mógł być jeszcze możliwy

Ptak

Wiosennie ptak gdzieś wśród drzew mocno, dźwięcznie pogwizduje. Gdzieś wśród liści ogłasza swoją sprawę. Swojsko i tajemniczo. Skryty i ocieniony. Gdzieś. Trzyma się gałązki. Radośnie się trzyma. Schowany w gęstwinie. W otoczeniu rozsypanych się muru po starej stodole. Widzi tam prześwietloną promieniami zieloność. Przywraca światu znamiona zwyczajności i normalności. Więc się w ten głos wsłuchuję. Zachwycający śpiew. Może z niego coś uda mi się wziąć. Zaczęły się ciepły maj. Wielkie odetchnięcie całej przyrody po zimie. Mnie też to dotyczy. Okna mam pełne świeżutkiej zieleni. Oceany liści. Seledynu. Kołyszą się. Lubię taki czas. Kto by zresztą nie lubił. Wyjątkowy, a przecież powtarza się corocznie. Corocznie gospodarze wychodzą w pola z uprawami. „Gospodarze”, tak mi się napisało, a przecież ich już prawie nie ma. Jestem w takim momencie życia, że żadne wyszukane cele nie robią na mnie większego wrażenia. Wydaje mi się,

że teraz widzę więcej niż kiedyś. W swoim życiu i w cudzym. Więcej prawdy. Nietrwałości. Czy właśnie dlatego, że wiele zostało mi już odebrane? I widzę dokładniej świat niewarty wszystkich zabiegów lub pragnień. Dziwią mnie ludzie, którzy gorliwie zaznaczają, bo chcą zaznaczać, ciągle swoją pozycję i władczą moc. Ja nie wiem kiedy nauczyłem się już niczego nikomu nie zazdrościć. Chodzi mi tylko o spokojne trwanie. Byleby się powtarzało nieobrócone w ruinę. A w tym trwaniu o respektowanie powagi istnienia. O podjęcie jakiejś sensownej refleksji. Nie o żądę posiadania, stanowisk, zdobywania rzeczy. Nawet nie o wyszukane jedzenie. Poza jednym wyjątkiem, który jest. A stanowi go poezja. Tak bezużyteczna, że aż niezbędna. Tej nie wykreślę, gdy wykreślają inni. Cały świat Tu przekraczanie granic, wyrażenie doświadczeń, budowanie wizji i obrazów ciągle (i nadal) sprawia, że czuję ten delikatny, fascynujący powiew istnienia. Znak jej obecności. Choć to tylko powiew. To przekraczanie jednak najczęściej jest dramatyczne. Więc gdzie ten spokój. Poezja go nie gwarantuje. Raczej z nią gwałtowność, iskrzenie, niepokój. Ale tu rodzi się wyzwolenie, w którym umysł otwiera się na nieskończoność. Więc wszystko dla niej. Nic więcej.

Żyjemy

Żyjemy coraz szybciej, w pogoni, w pędzie, w krótkim oddechu, ale takie życie nie ma już smaku. A uciec w coś innego też nie ma jak. Cokolwiek zobaczone, usłyszane, zaznane, pomyślane, dotknięte, już niemal natychmiast jest odebrane. Taki to czegoś koniec. Czegoś początek.

Pisanie poezji

Różne były powody, że brałem do ręki pióro, ołówkę, długopis lub wkręcałem papier w maszynę do pisania. Czasami rozpacz. Męki osobiste wieku dojrzewania. Siedziałem nad kartką albo klawiaturą ciężkiego, czarnego Continentala godzinami. Rodzicom nigdy nie mówiłem w czym rzecz, kiedy tak układałem. Prawdę mówiąc, ukrywałem przed

nimi swoje zajęcie. Wstydzilem się, że robię coś tak niepraktycznego i treściowo zarazem zagmatwanego. Ale zdawali sobie sprawę, że nad czymś siedzę godzinami. Nie wtrącali się, nie przeszkadzali. Dziękuję im za ten takt. Nie zdawali sobie sprawy, że pisanie nie da mi chleba w życiu. I ja też o tym nie myślałem. Tylko szedłem dalej i dalej. Zaciszne miejsce znajdowałem w kawiarniach, w godzinach przedpołudniowych. Najpierw szkolny kolega Mietek był ich pierwszym czytelnikiem, później Andrzej i Jacek. I inni. W ciągu lat życia przyduszały się bardzo wielorakie motywacje twórcze. Dokąd mnie zawiodyły? Najczęściej były to impulsy, które nie pozwalały mi pozostawać biernym wobec myśli, skojarzeń, faktów i przeżyć. Poezja wiele razy wybroniła mnie z beznadziejnej sytuacji. Była tą granicą, linią, której ktoś nie odważył się przekroczyć, a czasami ktoś z jej powodu podawał mi rękę. I chyba mnie samego też potrafiła ustrzec przed błędami. Uruchamiały się mechanizmy tworzenia, kontemplacji, trwania w samotności, pokonywania upokorzenia, że tak to najwięcej nazwę. Tworzenie ma tajemniczy charakter mimo tkwiącej w nim sfery logiki i racjonalności. Tak, jak tajemniczy choć i racjonalny jest sam człowiek. W każdym przypadku jest to świat jedyny w swoim rodzaju. Bliski sfer sakralnych. I ten jednostkowy świat okazuje się być na tyle różnorodny i skomplikowany, że sam dla siebie może stanowić inspirację. To najważniejsze. Gdyby tak było, że słowo w poezji jest podyktowane tylko zewnętrznym impulsem, to oznaczałoby, że bez doznań zmysłowych niczego się nie napisze. Nie zbuduje się swego świata. Jednak tak ta rzecz nie wygląda, bo jedno słowo, jedno zdanie, powołuje do życia drugie słowo i drugie zdanie. Słowo rodzi słowo. I powstaje tekst, który potem niekiedy okazuje się być dziełem. Ale to już inne zagadnienie.

Deszcz

Wczoraj był gorący, suchy dzień. Serce pracowało o dziwo dość wydolnie. Chwilami jednak

kryłem się w cieniu. Gorące lipcowe lato w pierwszych dniach maja. Kwitnąca czereśnia. To coś niebywałego jakby nie powiedzieć. Przyglądałem się w ogrodzie obficie kwitnącym w tym roku truskawkom i kwiatom, które kiedyś posadziłem. Nawiedzała mnie obawa, że bez deszczu to wszystko uschnie. Ale niepotrzebnie. Dzisiaj od samego rana też mocne słońce, a w południe przypiekający upał. W półcieniu poustawiałem doniczki z gloksyniami, niech pooddychają ciepłem dnia. Że też chce mi się zajmować kwiatami. Tyle czasu dla nich. Poszedłem do domu. Nie minęło pół godziny i słyszę za oknem deszcz. No i przyszedł. Już jest. Południowy deszcz. Pięknie, łagodnie szumi. Sieje gospodarzom pod ich uprawy. Wspaniały, rozległy, niezbyt intensywny. Napłynęła chmura. Burza nie trwała długo, kilka błyskawic, zagrzmiało, gdzieś szła nad Odrę, w stronę Miłska, Przytoku, Jan, ciemna, jeszcze raz zagrzmiało i odeszła. Ucichła. Ziemia paruje i pachnie. Powietrze oczyściło się. I mnie wzmacnia. A ptaki wzmogły swoje śpiewne nawoływania wśród drzew.

Wiersze

Wysłałem do pewnej redakcji kilka wierszy. I jeszcze tego samego dnia, ku mojemu zaskoczeniu, po południu dostałem wiadomość, że będą drukowane. To jednak coś bardzo miłego i porządnego w tych czasach powszechnej ignorancji dobrych obyczajów.

Do Maksia

Śpisz Maksiu. Chwilami pomrujesz przez sen. Do twojego świata nie dociera nic z ludzkiej cywilizacji. Bo gdyby docierało cokolwiek, to musiałbyś być pewnie więcej niż przerażony i zakłopotany. W twoim świecie nie ma miejsca na przebiegłość i przewrotność. Nie ma premedytacji niszczenia, pychy i innego rodzaju ohydy, jak u człowieka.

Jesteś jak ptak
co wleciał nad drzewa złociste
Dusza wibruje pod obłokiem
ślady stóp w trawach
w wieczory głębokie
znaczą linie gwiazd
gdzie stąpałeś śniąc
po innej stronie świata
W głębokim spokoju
przenikasz światło dnia
by spocząć w ramionach Matki
świętych wód
Wspomnij na świat zakryty przed Twoimi oczami
gdy byłeś dzieckiem blasku słońca
szepnij Pani od proroków
i wesel się tym co odkryte
Proszę, nie zapomnij
a będziesz szczęśliwy

Niech oczy twe
zanosą smutek szarych dni
nad plaże o świetle zbudzone
wodami ze źródeł najczystszych
gdzie ślady stóp Twoich na piasku
nikną w falach nad brzegiem morza
Idź na spotkanie światła
gdzie ból zamienia się w ukojenie
a blask kołysze w ramionach twe ciało
Woda przypomina delikatny stan ducha
gdy życie było u początku
i drzewa śpiewały cichą kołysankę
Wspomnij czas tamtych dni
by być na głos przyrody gotowym
w geście jasnych plaż
dostrzec sens wędrówki
śląd stopy na piasku niech będzie wskazówką
trwałości i przemiany życia w Świetle

Jestem poruszany przez podmuch Snu Wielkiego
Idę szerokimi schodami
więźniem czasu
ku drzwiom szarym
przykrytym białym bluszczem
to zwieńczenie mojej modlitwy
o zespolenie z Wiecznym Duchem
Dalej jest tylko uniesienie
w przestrzeń Ogrodów Światła,
gdzie kwiaty pachną nieziemsko,
a słowa wypowiedane przeze mnie
same składają się w dziękczynienie
– Dzięki Ci Panie,
za piękne Twe Zmartwychwstanie

Idę dalej,
nie oglądam się za siebie
oto ptak złocisty wleciał w przestrzeń
Już nie pamiętam, który to dzień minął
Czoło znaczą krople wilgotne
To wysiłek, by Wieczność ogarnąć
Prędzej stanę się przejrzysty i płynny
Głowa zaświeci mi blaskiem świętym
I dołączę do Aniołów
co wznoszą hymny w chwale

Pamięć uświęcona
Idę dalej,
– dzięki Ci, Panie...

Lech Brywczyński

Skradziony pocałunek

Dramat w jednym akcie

Kto zdobywszy pocałunek nie sięgnął po nic więcej, jest niegodny i tego, co otrzymał.

Owidiusz

Osoby

KRYSTYNA

JOANNA

LISTONOSZ

SCENA PIERWSZA

Krystyna siedzi na taboreciku, na środku pokoju. Jest zamyślona, rozmarzona, uśmiecha się sama do siebie. Joanna chodzi wolnym krokiem wokół niej, co jakiś czas przystając i nerwowo gestykulując.

JOANNA Co ty wygadujesz, kobieto? To śmieszne i żałosne! Opamiętaj się! Gdyby nie ja, zrobiłabyś z siebie pośmiewisko! Jak to dobrze, że mnie się poradziłaś, jak to dobrze... (*półglosem*) Ciekawe, jak by cię nazywali w dzielnicy? Może „Całusna Krycha”? Albo wzięliby cię za... no, za osobę, która proponuje facetom seks. (*po chwili*) To wstyd, tak nie można!

KRYSTYNA (*potakując, nieobecny tonem*) Nie można. Masz rację, nie powinni tak o mnie mówić...

JOANNA I nie mówią, bo jeszcze nie zdążyłaś się ośmieszyć, desperatko ty jedna! Kto to widział, żeby kobieta w twoim... to znaczy w naszym wieku, zaczęła mężczyzn i pytała: „przepraszam, czy to pan mnie pocałował, kiedy siedziałam na ławce?”. Też miałaś pomysł!

KRYSTYNA A co? Co innego mogłabym zrobić, żeby go odnaleźć? Może mam czekać, aż ten mityczny facet sam zadzwoni do moich drzwi?

JOANNA Mityczny! Nareszcie sama przyznajesz, że on nie istnieje! To już jakiś postępek..

KRYSTYNA Nie! Przecież wiem, że istnieje. To jest ten jedyny, stworzony dla mnie... Druga połówka jabłka, moja bratnia dusza... Nie wiem tylko, gdzie go szukać... (*w rozmarzeniu*) Siadłam sobie na ławce, na podwórku. Było chłodno, ale słonecznie. Dziwna rzecz: nie było deszczu, ale mimo to na niebie pojawiła się przepiękna, kolorowa tęcza. Zamknęłam oczy, trochę się zamyśliłam. I właśnie wtedy to się zdarzyło: ktoś mnie pocałował. Pocałowałam taką chemię... Tego się nie da wyrazić słowami... Niby to tylko pocałunek, a byłam taka szczęśliwa...

JOANNA Kto to był? Nie chciałaś zobaczyć?

KRYSTYNA Nie otwierałam oczu, bo myślałam, że to tylko sen. Nie chciałam się obudzić. Kiedyś już mi się śniło coś podobnego, ale po przebudzeniu okazało się, że całuję poduszkę... Tym razem było inaczej – w miarę upływu czasu coraz bardziej docierało do mnie, że to się dzieje naprawdę.

JOANNA To ile ten pocałunek trwał? Godzinę?

KRYSTYNA Nie mam pojęcia. Podobno każdy sen trwa tylko dziesięć sekund, ale po przebudzeniu i tak wydaje się, że zajmował całą noc... (*wzdycha*) Otworzyłam oczy, zerwałam się na nogi, rozglądałam się na wszystkie strony, zjrzęłam we wszystkie zakamarki naszego podwórka... Nikogo nie znalazłam.

JOANNA Bo to było tylko złudzenie...

KRYSTYNA Żadne złudzenie! To zdarzyło się naprawdę!

JOANNA Dobrze, przypuśćmy na moment, że się zdarzyło. I co dalej? Co w końcu zamierzasz zrobić?

KRYSTYNA No, chcę odszukać tego faceta... Chcę poznać prawdę!

JOANNA (*z ironią*) Ciekawe, jak to zrobisz. Dasz ogłoszenie?

KRYSTYNA (*ożywiona*) A wiesz, że to całkiem dobry pomysł?

JOANNA To wcale nie był pomysł! To był żart...

KRYSTYNA Tylko ten, żaden inny! Muszę go odnaleźć!

JOANNA (*śmieje się*) W takim razie zrób tak, jak planowałaś: poświęć resztę życia na wypytywanie i całowanie wszystkich facetów po kolei! Pocałunek prawdę ci powie, dzięki niemu odnajdziesz tego jedynego... (*obejmuje Krystynę, całuje ją w policzek*) A teraz już na poważnie, Kysiu! Kiedy spotkasz faceta, który – jak sądzisz! – mógłby ewentualnie być tym, o kim mi mówiłaś, to w trakcie rozmowy dyskretnie, niby tak mimochodem, pół żartem pół serio, opowiedz mu o tym, co ci się przydarzyło. Ale nie mów o sobie – powiedz, że to się zdarzyło twojej przyjaciółce. Wtedy zobaczysz, jak on zareaguje, jak się zachowa, co na to powie. I od razu będziesz wiedziała, czy to ten. Nawet bez całowania.

KRYSTYNA A jeśli znajdę tego jedyne, a on będzie brzydki, stary i biedny? Co wtedy?

JOANNA No, nie wiem... *(po chwili zastanowienia)* Uważasz, że mogłabyś poczuć tę chemię do kogoś brzydkiego, starego i biednego?

KRYSTYNA Raczej nie...

JOANNA Sama widzisz... Zresztą ideałów na świecie nie ma, istnieją tylko zwykli ludzie, którzy nie są doskonali i mają wady. Tak naprawdę to nie kocha się za zalety, kocha się pomimo wad.

KRYSTYNA Pewnie masz rację...

JOANNA Wiesz co? Musisz w końcu wyjść z tej depresji, odprężyć się trochę. Co powiesz na małą wyprawę do centrum handlowego?

KRYSTYNA Kiedy?

JOANNA Teraz!

KRYSTYNA Dobrze. Ale wiesz, nie mam za dużo pieniędzy do wydania...

JOANNA Ja też nie mam, ale się nie martwię: czego nie kupimy, na to przynajmniej popatrzymy. Nic tak nie koi nerwów, jak zakupy!

KRYSTYNA Zgoda. *(wstaje)* Musimy też pójść na kawę.

JOANNA Nareszcie zaczynasz gadać do rzeczy. Chodź, tylko załóż coś na siebie, bo jest chłodno.

KRYSTYNA Czego bym nie ubrała i tak nie będę wyglądać jak Bożena. Tej to dobrze...

JOANNA Chciałabym być taka, jak ona. Nie tylko po to, żeby mieć jej urodę, ale wiesz... Żeby mieć w sobie to coś, co sprawia, że wszyscy cię uwielbiają. Tego się chyba nie da wszczepić...

KRYSTYNA Niestety...

Wychodzą z pokoju. Przez chwilę słychać ich krzątanie w przedpokoju, a potem kroki i zgrzyt klucza w zamku.

SCENA DRUGA

Krystyna stoi przed lustrem, czesząc i układając włosy. Potem odkłada grzebień i dokładnie przygląda się swojej twarzy, szukając ewentualnych defektów urody. Dzwoni telefon. Krystyna podchodzi do sofy, sięga po torebkę i wyciąga z niej komórkę. Przykłada telefon do ucha.

KRYSTYNA Aśka? Dobrze, że dzwoniysz! (*z radością*) Słuchaj... Ja już... Już znalazłam! Jak to kogo? No tego... Tego, który mnie wtedy pocałował... (*siada na sofie*) Nie, nie znałam go wcześniej. On jest akwizytorem czy przedstawicielem handlowym, nie wiem, jak to się nazywa... Robi pokazy sprzętu w mieszkaniach klientów, dlatego często bywa u nas w dzielnicy... Jakieś odkurzacze, maty, lampy czy coś takiego... (*z przejęciem*) Żebyś wiedziała, jaki jest wygadany! Spotkałam go, jak wychodził akurat z pokazu u sąsiadów. Przywitał się szarmancko i zapytał, czy może ja też bym chciała taki pokaz. Coś mnie tknęło, że może to jest ten, który mnie wtedy pocałował, więc zaprosiłam go do domu; niby po to, żeby uzgodnić datę pokazu. Na pokaz się rzeczywiście umówiłam, ale przedtem opowiedziałam mu tak mimochodem całą historię. Nie, nie, oczywiście, że nie mówiłam o sobie, tylko o przyjaciółce... Tak, tak, pewnie, że byłam dyskretna i zdystansowana. Chociaż tak naprawdę to serce podchodziło mi do gardła z emocji... Wtedy taktownie dał mi do zrozumienia, że to był właśnie on. I wprost mi powiedział, że to ja byłam tą przyjaciółką, o której opowiadałam... (*wzdycha*) Żebyś ty wiedziała, jaka jestem szczęśliwa... Zgadzaś, zaczęliśmy się spotykać... Czy się całowaliśmy? Pewnie... (*filuternie*) Nie, nie było tak jak wtedy na ławce. No wiesz, wtedy to było coś jednorazowego i niepowtarzalnego! Ale nie mogę narzekać, teraz też jest wspaniale. On jest naprawdę dobry w tych sprawach... Coś ty, na pewno nie będę o tym mówić przez telefon! Chyba sama rozumiesz... Czy jest romantykiem? Raczej tak, chociaż czasem mi mówi, że miłość jest przereklamowana, że zawsze daje mniej, niż od niej oczekujemy. A poza tym, ma na imię Roman... (*śmieje się*) Jak on wygląda? Sama zobaczysz. Dał mi swoje zdjęcie, pokażę ci... Nie, nie jest ani brzydki, ani stary, ani biedny... Jesteś teraz w domu? Super! To czekaj, przyjdę zaraz do ciebie i wszystko ci opowiem... Na razie!

Krystyna chowa komórkę do torebki, a później lekkim, radosnym krokiem wychodzi z pokoju. Przez chwilę słychać jej krzątanie w przedpokoju, a potem kroki i zgrzyt klucza w zamku.

SCENA TRZECIA

Krystyna stoi przed lustrem, czesząc i układając włosy. Potem odkłada grzebień i dokładnie przygląda się swojej twarzy, szukając ewentualnych defektów urody. Słychać dzwonek do drzwi.

KRYSTYNA Chwileczkę! (*wychodzi z pokoju, żeby otworzyć drzwi*) Kto tam?

LISTONOSZ Poczta!

KRYSTYNA Już otwieram! (*słychać, jak otwiera drzwi*) Ma pan coś dla mnie?

LISTONOSZ Oczywiście. Zaraz poszukam...

KRYSTYNA To zapraszam do pokoju.

Oboje wchodzi do pokoju. Listonosz sięga do torby, przegląda plik listów.

LISTONOSZ Polecony jest jeden, a zwykłe listy są dwa. Proszę bardzo! (*wręcza listy Krystynie*) Tylko trzeba tu podpisać...

Listonosz kładzie pokwitowanie na stoliku, wskazuje miejsce na podpis i daje Krystynie długopis.

KRYSTYNA (*podpisuje, a potem oddaje Listonoszowi pokwitowanie i długopis*) Proszę bardzo.. (*ogląda koperty swoich listów*) Rachunki, jak zwykle rachunki.. Mój ojciec zawsze mawiał, że rachunki to najpewniejsza rzecz na tym świecie: życie na ziemi przestanie istnieć, a one nadal będą przychodzić.

LISTONOSZ (*z uśmiechem*) Chyba coś w tym jest. (*zamyka swoją torbę*) Drugą tak pewną rzeczą jest miłość.

KRYSTYNA Miłość? (*po namyśle*) Jest przereklamowana, zawsze daje mniej, niż od niej oczekujemy.

LISTONOSZ Dawać nic nie musi, wystarczy, że jest... (*z wahaniem*) A skoro już o tym mowa, to ja jeszcze chciałbym...

KRYSTYNA Tak, słucham. O co chodzi?

LISTONOSZ Ja z góry panią przepraszam, bo... (*speszony*) Proszę mi obiecać, że pani się na mnie nie obrazi.

KRYSTYNA (*zaskoczona*) Dobrze, nie obrażę się.. Ale zupełnie nie wiem, o co chodzi.

LISTONOSZ Bo ja... Ja pocałowałem panią, kiedy pani siedziała któregoś dnia na podwórku.

KRYSTYNA Co? Co takiego?

LISTONOSZ Pamiętam, że było wtedy chłodno, ale słonecznie. Nie padało, ale mimo to na niebie pojawiła się tęcza. Gdybym miał czas, to siadłbym sobie wtedy, żeby odpocząć, ale zostało mi jeszcze sporo listów.. Zobaczyłem, że pani siedzi na ławce, taka zamyślona, rozmarzona, piękna... Nie mogłem się oprzeć: odszedłem, pocałowałem panią i ulotniłem się.

KRYSTYNA (*z oburzeniem*) Po co pan mi to opowiada? Co to za insynuacje? Co pan sobie w ogóle myśli?

LISTONOSZ Szybko odszedłem, żeby pani mnie nie zauważyła. Ale poczułem wtedy – proszę wybaczyć śmiałość! – że właśnie pani jest moją bratnią duszą, drugą połówką jabłka... Poczułem taką bliskość... Tego się nie da wyrazić słowami.

KRYSTYNA Jak pan może! Że niby ja nie zauważyłam, jak ktoś mnie pocałował? Uważa pan, że to w ogóle byłoby możliwe? Co za pomysł! To jakiś absurd!

LISTONOSZ Nie, no... Ja tylko...

KRYSTYNA To dopiero bezczelność! Nie spodziewałam się tego po panu! To jest pańska metoda na podrywanie samotnych kobiet?

LISTONOSZ Nie, kiedy ja naprawdę... Jeśli tak, to bardzo przepraszam.

KRYSTYNA Niech pan zachowa swoje urojenia dla siebie. Jeśli pan jeszcze raz kiedykolwiek będzie plótł takie bzdury, to zadzwonię do pańskich zwierchników. Powiem im, że pan mnie dręczy swoimi obcesowymi zalotami i zażądam, żeby zmienili listonosza w naszym rejonie.

LISTONOSZ (*zrezygnowany*) Proszę się nie martwić. Może to wszystko naprawdę mi się tylko przywidziało. Obiecuję, że ani z panią, ani z nikim innym nie będę już na ten temat rozmawiał. Sprawa jest zamknięta... (*zarzuca torbę na ramię*) Do widzenia. I raz jeszcze przepraszam.

KRYSTYNA Żegnam...

Listonosz wychodzi z pokoju, po chwili słychać, jak zamyka za sobą drzwi wejściowe.

KRYSTYNA (*sama do siebie, półgłosem*) Coś takiego!

Przez chwilę oddycha głęboko, ale potem uspokaja się. Gładzi dłońią włosy, robi parę kroków. Wyciąga z torebki zdjęcie Romana, trzymając je w dłoni siada na taboreciku, na środku pokoju. Uśmiecha się sama do siebie. Ogląda z czułością zdjęcie, a potem je całuje.



Gebet zwischen blühenden Kastanien

Fruehling, o du suesser Junge!
Deine Beine sind so zaertlich
Schlank und deine schmalen Lippen
Feucht.

Wie du schreitest! Wie die Locken fliegen
Und das blaue Band im blonden Haare!
Wie es duftet, wo dein Mantel wehte!
Fruehling, suesser, saftgebenedeiter
Siegerknabe mit Maedchenbruesten,
Hauch mich an mit deinem Blumenatmen,
Der ich dich jetzt tiefer kenn und liebe,
Deiner Bruenste voller bin als ehemals.

Neig dich mir, o suesser Knabe, suessres
Maedchen! Ich vergehe sonst vor Sehnsucht,
Dich zu fuehlen.

Modlitwa wśród kwitnących kasztanów

Wiosno, ty słodka chłopczyco!
Twe nogi są tak strzeliste!
Jakże wilgotne są usta
Twe.

A jak ty stąpasz! Falujesz blondem
Włosów związanych błękitną wstążką!
Jakiż aromat sięją twe szaty!
Wiosno, ty jędrna, słodka chłopczyco
Z biustem soczystej, młodej dziewczyny.
Tchnijże ty we mnie swój kwietny oddech,
Który dziś mocniej czuję i wielbię,
Dyszając namiętnie jak nigdy dotąd.

Pochyl się ku mnie, słodka chłopczyco!
Spójrz, ja z tęsknoty prawie uschnąłem,
Chcę poczuć ciebie.

Tłumaczenie Halina Bohuta-Stąpel

Liebe und Tod

Zwischen Rosenranken steht der kleine Gott,
Nackt im Fleische seiner suessen Lust
Vor den Haus, dem er sein Glueck beschert.

Kommt die Todesgottin, gruendlich weiss
Ueberschleiert, lakeneingehuellt,
Hebt den Arm zum Tor und will herein.

„Ach, in meine Rosen schreite nicht!”
Wehr der Gott, „ich ranke sie ums Haus,
Denn es heimt jungheisse Liebe drin”.

Doch die Gottin mit gesenkten Haupt
Hebt den starken Arm... Die Tuere kreisch
Und die Rosen, eben aufgeblueht,
Fallen ab vom Stamm.
Die Stille klagt.
In die nackten Rosenranken weint der Gott.

Miłość i Śmierć

Pomiędzy róż szpalerami stał młody nagi bóg
O ciele jędrnym i pełnym słodkiej żądz
Przed domem tym, co skrywa jego szczęście.

Bogini Śmierci, zielono-biała dama
Swą dłoń kostyczną do klamki wyciągnęła
Chcąc wejść do wnętrza przez zamkniętą bramę.

„Ach, nie depcz mi, ja błagam, moich róż!”
Zakrzyknął bóg: „chcę wynieść je za dom,
Gdyż płonie w nim miłości młodej ogień”.

Ale bogini, swą głowę przechyliwszy
Mocarne ramię wzniosła... Runęły drzwi
A główki róż, te w pełni kras kwitnienia
Opadły martwe.
Cisza skargą załkała,
I nagie róż łodygi łą swoją zrosił bóg.

Tłumaczenie Halina Bohuta-Stąpel

O pewnych jabłkach i jabłoniach

Jedynie to, co lokalne, jest uniwersalne,
na nim budowana jest wszelka sztuka

John Dewey

Na parapecie kuchennym stoi zielony czajniczek, w którym parzy się herbata Darjeeling. Obok niego leży jabłko odmiany szara reneta. Ten gatunek herbaty to, według mnie, numer 1 wśród herbat czarnych (tylko takie piję). Natomiast owa reneta, obok złotej renety, jest najbardziej cenionym przeze mnie jabłkiem. Ten ranking w przypadku Darjeelingu, tak wygląda od 12 lat. A jeśli chodzi o renety, rok od kiedy zajmują one pierwsze miejsce, choćby przybliżony, ginie w mrokach mojej pamięci.

Mimo że jak wskazuje tytuł, szkic ten jest poświęcony jabłkom i jabłoniom, wspominałem jednak o herbacie, bo coś musi być początkiem. Lecz nie może nim być wzmianka o jabłkach. Dlaczego? Bo jabłka za sprawą swego kształtu symbolizują m.in. wieczność niemającą początku ani końca.

* * *

Maria Ziółkowska w *Gawędach o drzewach*, mając na uwadze ziemię polskie, wspomina:

„Jeszcze pod koniec XIX wieku jadano winniczki vel windyczki, apory lub dapory, [...], bursztynówki, szczecinki, balsamki, jestonki, cyganki, wanatki, wierzbówki, maryjki, pierzgnięta, kalwile, pepingi, papierówki, ananasówki, renety”. Spośród nich, do naszych czasów, w sadach ostały się jedynie trzy ostatnie odmiany. Pozostałe przeszły do pomologicznej przeszłości, powiększając listę odmian jabłoni, których nazwy występują jedynie na stronach fachowych książek, a do przyjrzenia się żywym egzemplarzom najczęściej brakuje już okazji.

Wykaz odmian uprawianych w Polsce we wspomnianym okresie, jest więc niezwykle skromny (wpływ na to miał przede wszystkim klimat). Tym bardziej prezentuje się on niepokojnie, gdy uwzględni się, że w połowie XVII w. uprawiano na świecie około 200 odmian jabłoni. Natomiast w 1831 r. odnotowano ich już ok. 1 400. W II połowie XIX w. nastąpiło zdecydowane zintensyfikowanie prac sadowniczych mających na celu uzyskanie kolejnych odmian. W ich rezultacie liczba ta wzrosła obecnie do mniej więcej 10 000 (przy ok. 20 szlachetnych gatunkach jabłoni).

Do obecności jabłoni, wszelkich odmian, w Polsce czy też w całej Europie jesteśmy przyzwyczajeni. Traktujemy je jako najzupełniej

normalny składnik krajobrazu; jak również stały składnik diety. Mieliśmy na to, jako społeczeństwa, setki lat. Ale już np. w USA pojawienie się jabłoni, to sprawa stosunkowo nagła i oczywiście niedawna. Związana przy tym, w znacznym stopniu, z jednym człowiekiem – Johnem Chapmanem (1774-1845). Bo to on, będąc pionierem szkółkarstwa amerykańskiego, wprowadził uprawę jabłoni na rozległy Środkowy Zachód Stanów Zjednoczonych. Znalazło to wyraz w przydomku, jaki nadali mu jego rodacy, i pod jakim był i jest znany – Johnny Appleseed*. Pod tym charakterystycznym mianem, jako ten, który rozpowszechnił uprawę jabłoni w swojej ojczyźnie, funkcjonuje jako ważna postać amerykańskiego folkloru. Niewątpliwie więc jego dokonania zostały docenione i, w swoisty sposób, także nagrodzone.

* * *

Renety lubię za ich smak: jeśli chodzi o szarą – winno-kwaskowatą, w przypadku złotej w grę wchodzi też nieco słodczy. Zwracają one uwagę także swym wyglądem: ich okrągłość jest bardzo nieregularna, zróżnicowane pod względem wielkości i kształtu. Pewnie klienci bardziej by się nimi interesowali, gdyby stały się, jak za dotknięciem różdżki pomologicznej, słodkie. A przynajmniej słodko-winne. Ale na szczęście są takie, jakie były od początku. Trudno jednak stwierdzić, kiedy zaczęła się ich historia. Pewne jednak jest to, że renety znane były w połowie XVI wieku, i że wyhodowano je we Francji. Mam do nich słabość także dlatego, że są to odmiany stare.

Wspomnianym wyglądem różnią się zdecydowanie od sprzedawanych w wielkich sklepach samoobsługowych jabłek takich np. odmian jak: Golden Delicious, Royal Gala. Te bowiem zawsze wyglądają jakby wyszły spod sztancy, tak są do siebie podobne. Bardzo długo pozostają twarde i równie długo nie pojawiają się na nich ślady będące wynikiem przechowywania czy trans-



Reneta szara

portowania. A jabłka tych odmian mogą być przewożone na znaczne odległości. Z renetami jest zupełnie inaczej. Do transportu po prostu nie nadają się. Sprzedawane są więc wyłącznie na rynku lokalnym. Hodowane zaś – na niewielką skalę. Odwiedzając hale targowe bądź targowiska, na których sprzedaje się owoce i warzywa, można przekonać się, że renety (szare i złote) są rzadkością. To że dla zdecydowanej większości ludzi nie są atrakcyjne, sprawiło, iż nie wyhodowano nisko-piennych jabłoni tych odmian. Dlatego renety pozostały okazalymi drzewami; okazalymi jak na jabłonie. Ich wysokość dochodzi bowiem do 12 metrów. Do tego są wyjątkowo odporne. I to zarówno na choroby, jak i szkodniki. A w przypad-

* *Ang. apple – jabłko, seed – nasiono.*

ku jabłoni jest ich bardzo wiele. To dlatego renety dożywają 200 lat (maksymalny wiek dla jabłoni). Gdy tymczasem większość odmian – jedynie 50.

Renety, z racji swego wspomnianego wieku i wysokości, są często drzewami pochyłymi, rosocchatymi, z licznymi śladami jakie pozostawiły gwałtowne wiatry. Ich pnie pokrywają też porosty nadające im wygląd bardziej sędziwych, niż są w rzeczywistości.

* * *

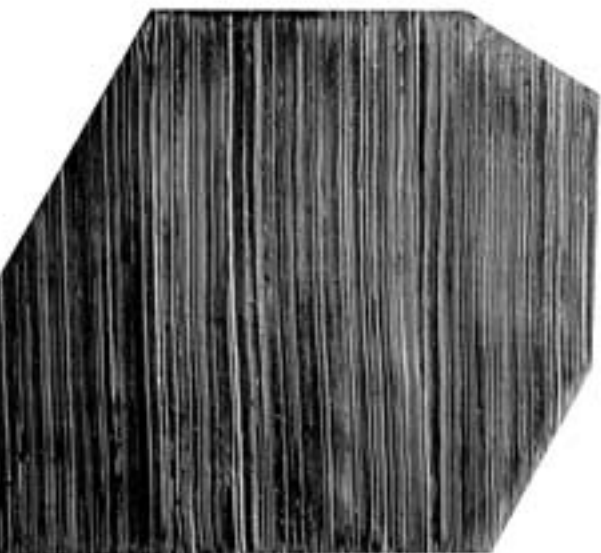
Ze *Słownika symboli* Władysława Kopalińskiego, na temat jabłka można m.in. dowiedzieć się, że jest ono „symbolem wieczności; całości; Ziemi; gwiazdy; życia, zdrowia, odmłodzenia, wiecznej młodości, nieśmiertelności; dziecka, wiosny; jesieni, śmierci; wieszczby, mądrości, wiedzy, wta-jemniczenia; obecności boskiej; odkupienia; grzechu; władzy królewskiej; miłości, pokusy, uciech seksualnych, radości doczesnych, płodności; niebezpieczeństwa, niezgody, oszukaństwa; jedno-ści; grawitacji”.

Wymienione powyżej nieocenione źródło podaje również, że „w Biblii, z wyjątkiem kilku miejsc, w których nie wiadomo, o jakich jabłkach mowa, wspomina się tylko o jabłkach granatu [greckie *melon* i łacińskie *malum* oznaczają nie tylko 'jabłko', ale wszelki większy owoc, co można było jeszcze uściślić przez dodanie nazwy własnej, np. *malum citreum* – cytryna]. Natomiast w historii kuszenia Ewy przez węża (*Gen. 3, 1-6*) nie ma w ogóle mowy o jabłku, lecz tylko o 'owocu drze-wa, które jest w środku raju' [...]. Jabłko w roli owocu zakazanego zaczęło występować sto-

sunkowo późno; wtedy stało się symbolem wiadomości złego i dobrego, całokształtu wy-obrażeń o tym, co dobre i złe, czyli systemu ocen i norm moralnych, dzięki któremu, zdaniem Jahwe (w relacji węża), ludzie staną się jako bogowie. Jabłko jest emblematem wiedzy i wta-jemniczenia”, jednym z insygniów władzy królew-skiej. Stanowi również przedmiot symbolizujący Ziemię „i (zaspokojenie) pragnień ziemskich (doczesnych), a jego kolor, zapach i słodycz – pokusy tego świata”. W tradycji celtyckiej jabłko było owocem magii, objawienia i wiedzy, trak-towano je też jako samoodradzające się, czaro-dziejskie pożywienie. Dla Celtów galijskich jabłko była drzewem świętym, na równi z dębem.

* * *

Jedzenie szarej czy złotej renety, każdorazowo jest dla mnie przyjemnością. Wpływ na to, z jednej strony, ma ów kwaśno-winny smak (w przypadku złotej wzbogacony o odrobinę słodkości); z drugiej zaś, dająca o sobie znać, suma przyjemnych myśli związanych ze spożywaniem tych konkretnych jabłek na przestrzeni bardzo wielu lat. Ta suma zresztą powiększa się; przypomina przysłowiową kulę śnieżną sunącą po zboczcu, i stającą się więk-szą, coraz większą. Zaprzestania jedzenia renet nie biorę pod uwagę. Jest to bowiem czynność należąca do drobnych, ale jakże istotnych przy-jemności. Drobnych, gdyż nie trwa długo. Skonsumowanie dwóch zajmuje wprawdzie dwa razy więcej czasu, ale osłabia tę przyjemność. Powoduje, że nie jest ona tak wyrazista. A umiar, i w tym przypadku, jest jak najbardziej wskazany.



ZBLIŻENIA

Marika Sobczak

Łemkowie a pamięć – na podstawie wspomnień łemkowskich

Pamięć jest jedynym rajem,
z którego nie możemy być wypędzeni.

Anonim

W efekcie postanowień poczdamskich 28 kwietnia 1947 roku rozpoczęła się „akcja Wisła” dla ludności ukraińskiej i łemkowskiej. Działania te dla każdej z przesiedlonych grup oznaczały zburzenie staro porządku i niespodziewaną podróż w nieznaną,

był to niewątpliwie powrót na ojczyste ziemie, przywrócone po wojnie, lecz ów powrót był jednocześnie opuszczeniem prywatnej ojczyzny, tej która zazwyczaj jest wspominana z nostalgią i związana była z najbliższą przestrzenią.

Zmiana miejsca zamieszkania związana jest ze zmianą otoczenia, im bardziej różnorodny krajobraz w nowym miejscu, tym proces adaptacji przebiega wolniej. Wśród ludności, która przybyła na Ziemię Odzyskaną, na dzisiejszą Ziemię

Lubuską wymienić można m.in. Łemków, którzy w Karpatach Wschodnich tworzyli swoją odrębną kulturę i tradycję, przesiedlenia odebrały tym ludziom naturalny górski krajobraz, przez co zmieniły nie tylko sposób myślenia, ale zerwały wielowiekową nić tradycji i historii tego ludu¹.

Konsekwencją przymusu życia w nowej rzeczywistości – znacznie innej od tej pozostawionej – jest próba odbudowy etnicznej tożsamości łemkowskiej, oraz rekonstrukcja pamięci tej wspólnoty etnicznej. Te kwestie chciałabym poruszyć w niniejszym artykule, na podstawie dwóch tomów wspomnień łemkowskich, które zostały zebrane i wydane w Strzelcach Krajeńskich w 2004 roku przez Stowarzyszenie Miłośników i Kultury Łemkowskiej. Pierwszy to *Z łemkowskiej skrzyni. Część pierwsza. Opowieści z Ługów i okolic* oraz drugi *Z łemkowskiej skrzyni. Część druga. Opowieści z Brzozy i okolic*. Przedmiotem badań uczyniłam relacje pamiętnikarskiej najstarszego pokolenia Łemków.

Wzmrożone zainteresowanie tematem pamięci można było zaobserwować po roku '89, kiedy zaistniały możliwości, aby podejmować próby dekolonizacji pamięci mniejszościowych i powrotu do tzw. literatury małych ojczyzn.

Pierre Nora wyróżnił trzy typy takich dekolonizacji, pierwszy dotyczył „dekolonizacji świata”, dzięki której rozwinęła się indywidualna i społeczna świadomość historyczna. Drugi to uaktywnienie się mniejszości regionalnych, seksualnych, religijnych etc. Ostatnim typ interesuje nas najbardziej, gdyż dotyczy powrotu do pamięci i tożsamości mniejszości narodowych i etnicznych, po upadku reżimów propagujących homogeniczność narodową w XX wieku. Od tamtego czasu nasiliły się

działania mające na celu odbudowę tradycji i wewnętrznych struktur mniejszości².

Czas po przełomie roku '89 to początek dyskusji o „pamięci wykluczonej i tłumionej”³ zarówno mniejszości narodowych, jak i etnicznych, co nieodłącznie związane jest z poszukiwaniem tożsamości.

Przymusowe osiedlenie było początkiem wewnętrznej niezgody, nowa przestrzeń wymagała nie tylko oswojenia, ale i chęci, aby to uczynić. Na nowym miejscu przybysze doznali psychicznego więzienia, charakterystycznego dla miejsc niechcianych, czyli takich, które nie zostały wyznaczone jako cel podróży, lecz narzucone z góry przez siły niezależne od człowieka⁴. Nawet po wielu latach myśl o przesiedleniu wzbudza żywe emocje, jak możemy przeczytać w pamiętniku:

[...] na początku to była wiara w tymczasowość. Ludzie doświadczeni tą tragedią mówili, że to długo nie może trwać, bo skoro to ziemia niemiecka, to tu wrócą Niemcy, a my musimy wrócić na swoje. Ale kiedy to się nie spełniło, została wiara w tożsamość i właśnie ta wiara spowodowała, że ludzie zaczęli myśleć o stworzeniu tu swojego domu. I tworzyli go. Na wzór tego domu, który zostawili⁵.

Przeświadczenie o chwilowym charakterze sytuacji przesiedleńczej uniemożliwiało nie tylko pełną akomodację w nowym miejscu, ale nawet jej początek, gdyż myśl o powrocie była silniejsza niż chęć rozpoczęcia nowego życia. Podmiot, aby naturalnie się rozwijać, musi doświadczyć integracji z miejscem, co ułatwi mu określenie samego siebie⁶. Przykładem takiego oczekiwania na ewen-

1 Tadeusz A. Olszański, *Drogi tożsamości Łemków*, „Magury 90”, s. 47.

2 Pierre Nora, *Czas pamięci*, przeł. M. Dłuski, „Res Publica Nowa” 2001, nr 7, s. 37.

3 Elżbieta Rybicka, *Topografie historii. Pamięć zapisana w miejscach* [w:] *Zapisywanie historii. Literaturoznawstwo i historiografia*, pod red. W. Boleckiego, J. Madejskiego, seria „Z dziejów form artystycznych w literaturze polskiej”, t. 90, IBL, Warszawa 2010, s. 100.

4 Anna Zielińska, *Miejsca niechciane*, „Lamus” 2011, nr 1-7, s. 13.

5 *Z łemkowskiej skrzyni. Część druga. Opowieści z Brzozy i okolic*, Strzelce Krajeńskie 2004, s. 150.

6 Marek Zaleski, *Formy pamięci*, Gdańsk 2004, s. 155.

tualność powrotu są przypadki pozostawiania własnych rzeczy w stanie gotowości na kolejną potencjalną podróż. W relacji pamiętnikarskiej czytamy:

Jak przyjechalśmy na zachód byliśmy jeszcze dziećmi. [...] Mówiliśmy: „Niedługo wrócimy do domu”. Trzy miesiące tych rzeczy, które wzięliśmy ze sobą, w ogóle żeśmy nie ściągali i tak żeśmy spali [...] Całe lato chodziliśmy do wioski, do gospodarzy i zbieraliśmy kłoski po ziemi, bo nic nie było, ale nas ganiłi z pola – a w domu wszystko zasiane zostawiliśmy.⁷

Niezgoda na nową rzeczywistość nie sprzyjała kształtowaniu się tożsamości i przystosowaniu się do nowych warunków, takie zachowanie wymaga ponownego zdefiniowania własnego Ja, przed przystąpieniem do nowej budowy świata, który otacza jednostkę.

W wyniku przymusowej migracji:

[...] emigrant zostaje przez gwałt wyrwany ze środowiska, z własności, z roli społecznej, jaką w nim spełniał, z planu życiowego na przyszłość itd. W takich warunkach osobnik czuje się związany kulturalnie, społecznie i ekonomicznie z dawnym środowiskiem. Wskutek tego w nowym środowisku nie traktuje swego pobytu serio [...] podjęte tam funkcje, urządzenie się domów itd. traktuje tymczasowo i prowizorycznie [...]”⁸.

Ważnym elementem w udomawianiu nowej przestrzeni są przedmioty, które stanowią naturalną część życia człowieka. Materię opisywaną w pamiętnikach można podzielić na trzy grupy:

rzeczy, które są łącznikiem ze starym światem – przywiezione z gór; te, które figurują w nowym miejscu; oraz te, które zostały pozostawione.

Wartość rzeczy, których nie można było zabrać ze sobą wzrasta stanowiąc one coś niezwykle cennego: „Meble nie można było brać. Pamiętam, jak mama obraży całowała. Jest taki odruch, że nagle wszystko ma szczególną wartość... I ludzie całowali obrazy co zostawały w pustym domu”⁹.

Sprzęt w niemieckim domu cechował się obcością, przejął go nowy dysponent, ale w mniemaniu nowego właściciela zachował on semantykę i przeszłość pierwotnego posiadacza: „Chodziliśmy na zarobek do bogatych gospodarzy. Kosiliśmy niemiecką kosą pół hektara żyta dziennie”¹⁰.

Najcenniejszą rzeczą jest ta materia, który została przywieziona z gór, to ona sprzyja poczuciu swojskości i stanowi ogniwo łączące stary porządek z nowym, przypomina miejsce utracone i sprzyja integracji z nowym:

Najbardziej w pamięci utkwił mi młynek ręczny do mielenia mąki i chyba tylko my ten młynek przywieźliśmy z gór. Pamiętam jak przed wigilią przychodzili prawie wszyscy łemkowie zamieszkujący w Strzelcach mielić ziarna na kiesielu¹¹.

Czynność mielenia ziarna w sprzęcie przywiezionym z gór urasta do rangi łącznika ze starym światem, który jednoczy ludzi. Tak jak dawniej młyn był miejscem, które było symbolem naturalnego biegu codzienności życia, tak tutaj młynek symbolicznie przywracał swojskość, stanowił namiastkę utraconego świata.

7 *Z łemkowskiej skrzyni. Część pierwsza. Opowieści z Ługów i okolic*, Strzelce Krajeńskie 2004, s. 25-26.

8 S. Kowalski, *Typy migracji*, „Wiedza i Życie” 1946, nr 4-5, s. 553. Cyt. za: Andrzej Sakson, *Socjologiczne problemy wysiedleń [w:] Utracona ojczyzna. Przymusowe wysiedlenia, deportacje i przesiedlenia jako wspólne doświadczenie*, pod red. Huberta Orłowskiego, Poznań 1997, s. 144.

9 *Z łemkowskiej skrzyni. Część pierwsza. Opowieści z Ługów ...*, op. cit., s. 61.

10 Ibidem, s. 49.

11 *Z łemkowskiej skrzyni. Część pierwsza. Opowieści z Brzozy...*, Strzelce Krajeńskie 2004, s. 96.

Jak pisze Roch Sulima: „Obawa pustki nakazuje zapełnić każdą wolną przestrzeń figurami, przedmiotami lub ornamentem”¹². Owa „obawa pustki” dotyczy nie tylko rzeczy materialnych, ale także spokoju wewnętrznego, psychicznego którego osiągnięcie jednoznacznie stanowiłoby o zakończeniu dramatu tych ludzi.

Anna Zielińska pisząc o „miejscach niechcianych”, porównuje taką zmianę miejsca zamieszkania do medycznego zabiegu: „[...] jak gdyby dokonano chirurgicznego wycięcia tym ludziom części mózgu: całkowita dezorientacja, nieraz przyspieszona śmierć”¹³. Przybysze doświadczyli wielkiej tragedii: „Moi rodzice rozpaczali, moja mama mówiła: Ani niebo już nie moje, ani ziemia. Mnie też ta ziemia była obca”¹⁴.

Ziemia poniemiecka naznaczona była obcością, również dlatego, że stanowiła odmienny krajobraz w porównaniu do tego, który został opuszczony: „Z początku byliśmy wystraszeni: Kto taką wodę widział? Takie jeziora, takie domy! W Mochnacze czegoś takiego nie było”¹⁵.

Rodzinną wieś różniła się od znajomej okolicy, próba powrotu do wysiedlonych terenów po latach niosła rozczarowanie:

Kiedy myślę o cmentarzach, cerkwiach, kapliczkach, które zostały czują radość, że jeszcze są [...] Gdzie był pomnik, to trafię, ale gdzie nie było-to już nie poznam. Córka mówi: „Mamo to nie wiesz, nie pamiętasz?” No nie pamiętam. Dla mnie to już obce¹⁶.

Zapamiętana przestrzeń w realnym świecie ulega ciągłej deformacji, rzeczywisty powrót do tych samych miejsc staje się niemożliwy, pozostaje tylko pamięć: „Byłem na Łemkowszczyźnie [...] Nie widziałem tam miejsca dla siebie. Dlatego, że nie było naszego domu, pole zarośnięte lasem. Nie było tam nic naszego. Mojego. Nie było tego świata, który istniał”¹⁷.

Miejscem, które wywołuje największe emocje, jest dom. W sytuacji kiedy wszystko „pomalutku, pomalutku zaczęło zanikać”¹⁸, pamięć pozwala ocalić nie tylko wspomnienia, ale i wspólną kulturę. Kategoria przypominania to „zdolność czynienia obecnym tego, co jest nieobecnością”¹⁹.

Pamiętniki łemkowskie mają szczególną wartość, gdyż jak zauważyła Birgit Neuman, narracje pierwszoosobowe determinują swego rodzaju napięcie oparte na syntezie pomiędzy Ja, które opowiada, a Ja, które na nowo doznaje wcześniejszych przeżyć²⁰. Dzięki temu możliwy jest powrót i odtworzenie pamięci grupy wspólnotowej.

Niewątpliwie każdy przymus migracyjny niesie ze sobą niesprawiedliwość i krzywdę²¹. Przesunięcie granic i nakaz przesiedlenia przyczyniły się do zawieszenia części zwyczajów łemkowskich, a w konsekwencji spowodowały potrzebę rekonstrukcji tożsamości jednostki. Pamięć to kategoria niezwykle autonomiczna w samoświadomości jednostki, dlatego opuszczenie jej terytorium musi być zgodne z wolą podmiotu, w innym przypadku zawsze pozostanie prywatną arkadią z której nigdy „nie możemy być wypędzeni”.

12 Cyt. za: Roch Sulima, *Horror vacui i rytuały drogi* [w:] *Antropologia codzienności*, idem, Kraków 2000, s. 85.

13 Cyt. za: Anna Zielińska, *Miejsca...*, op. cit., s. 15.

14 *Z łemkowskiej skrzyni. Część pierwsza. Opowieści z Ługów...*, op. cit., s. 21.

15 Ibidem, s. 26.

16 Ibidem, s. 23.

17 *Z łemkowskiej skrzyni. Część druga. Opowieści z Brzozy...*, op. cit., s. 139.

18 *Z łemkowskiej skrzyni. Część pierwsza. Opowieści z Ługów...*, op. cit., s. 27.

19 Marek Zalewski, *Formy pamięci*, Gdańsk 2004, s. 6.

20 Birgit Neumann, *Literatura, pamięć, tożsamość* [w:] *Pamięć zbiorowa i kulturowa. Współczesna perspektywa niemiecka*, pod red. Magdaleny Saryusz-Wolskiej, Kraków 2009, s. 269.

21 Andrzej Sakson, *Socjologiczne problemy wysiedleń* [w:] *Utracona ojczyzna...*, op. cit., s.167.

Pieśń o kacie (fragment poematu)

księga pierwsza: separatio

Prolog

pieśń moja z bólu się rodzi
płynie przez pola i lasy
myślom moim przewodzi
skrzy się dawnymi czasy

pieśń moja rodzi się z serca
z troski o ciebie, człowieku
jam jest zaś skromny piewca
i świadek minionych wieków

moja pieśń rodzi się z głowy
spada jak piorun z przestworzy
niechaj twój osąd surowy
mądrości tobie przysporzy

nie pragnę ciebie pouczać
życiem strudzony wędrowcze
usłysz i w sercu zachowaj
nim wrócisz na swe manowce

serce i rozum, tych dwoje
grać tu będzie najwięcej
serce ma rozum, tak czuję
i rozum ma serce, tak twierdzę

I

było to w czasach zamierchłych
brzmiących przeszłości echem
żył w mazowieckiej kniei
drwał mężny zwany Wojciechem

zwalistej był on postury
głos niski, włos kędzierzawy
pięścią mógł kruszyć mury
nawet ot tak, dla zabawy

narzędziem jego był topór
którym wywijał jak piórkiem
do domu wracał po zmroku
do chaty tuż za pagórkami

życie swój pędził samotnie
nie miał nikogo na świecie
żona mu zmarła przed rokiem
żadnych nie mieli też dzieci

Wojciech, człek ufny i prosty
długo rozpaczał po żonie
wielkim obrószony zarostem
czasem zapłakał na stronie

pokochał bezchmurne niebo
i ciszę, co wokół zalega
tylko on wiedział dlaczego
łąką mu wciąż oko podbiega

odsunął się więc od ludzi
pracował zawsze samotnie
czy mu się w życiu nie nudzi
pytali go wielokrotnie

inni drwale, co byli w lesie
podobnie jak on ludzie prości
bo na jego widok przecież
się serce krajało z żałości

on zaś milczał uparty
jak góra, jak głąz zaklęty
nie grał w otwarte karty
dla innych wciąż niepojęty

II

czy wiesz, co ci los szykuje?
czy będziesz tak żyć, jak żyjesz?
to, czego ci dziś brakuje
może za rogiem się kryje

Wojciech miał swój świat mały
za progiem zgrzebnej chałupy
a kiedy kiszki mu grały
biegał w knieję po łupy

brał oszczep i ostry nóż
idąc na łów o świtaniu
i wnet jelenia miał już
na swym wystawnym śniadaniu

dziś gdy z domu wyruszał
przezucie go dziwne tknęło
że wkrótce będzie się zmuszać
by znaleźć to, co zginęło

powietrze zaś było gęste
i cisza wielka się stała
a takie zjawiska są częste
gdy burza zacząć się miała

z zadumy wyrwał go skowyt
jakby zwierzę kto ciężko ranił
więc zaczął poprzez dąbrowy
wielkimi sadzić krokami

pędził szybko w tę stronę
skąd ryk dochodził i wrzaski
mając za swą obronę
oszczep, topór, nóż płaski

wpadłszy już na polanę
czyny ujrział straszliwe
pięciu drwali na zmianę
pięściami tłukło dziewczynę

to wiedźma, krzyknął mu jeden
kusi po lasach, czaruje
pewnie straszliwą biedę
wnet nam tutaj szykuje

krwawo zawrzała w Wojciechu
w gniew się zanurzył po szyję
ostawcie, rzekł bez pośpiechu
ja tu ją zaraz zabiję

lecz gdy się rozstąpili
otarłszy z pięści krwi strugi
zrozumiał, jakże się mylił
co do Wojtka, drwal jeden z drugim

podszedł on do dziewczyny
co półprzytomną już była
i padłszy w toń koniczyny
ledwo dyszała, lecz żyła

podniósł ją delikatnie
krzywdy nie chcąc uczynić
po czym wyniósł ją z matni
taki tej bójki był wynik

hej śmieciu, jeden zawołał
miałeś nam zabić tę dziewę
Wojciech zaś spokój zachował
dziewczynę złożył po drzewem

spotkali się wtedy wzrokiem
ona z nim, na chwili ułamek
następnie powolnym krokiem
drwał wszedł znów na polanę

coś go urzekło w jej oczach
i prócz zwykłej litości
jakaś myśl przeurocza
zdołała mu w sercu zagościć

zmienilem zdanie, tak rzeczce
ona dziś u mnie zostaje
ja teraz nad nią mam pieczę
mówiąc to patrzył na zgraję

potem poddźwignął z trawy
oszczep niechybny i topór
bo groźne ujrzał postawy
chęć mordu wyczuł we wzroku

takich was dotąd nie znałem
ozwał się Wojciech przytomnie
nie ja jednak pokój zламаłem
to wy tu macie coś do mnie

nim skończył mówić, skoczyli
wszyscy naraz ku niemu
pragnąc po krótkiej chwili
siłę brodacza przemóc

ale inaczej się stało
bo nim dobyli swych noży
natychmiast ich piątkę całą
drwal Wojciech trupem położył

skąd taki gniew, tyle złości
skąd to się wszystko wzięło
skąd te okrutne zdolności
że krew, że zbrodnia i przemoc?

o tym zabójca nie myśli
jeno uchodzić mu trzeba
oręż skrwawiony wyczyścić
i szybko wraca do drzewa

gdzie dziewczkę zostawił uprzednio
lecz jej tam nie ma, o losie!
drwała myśli już biegną
lecz toną w wielkim chaosie

gdzie się podziała, jak mogła
tak odejść bez słowa podzięk
nadzieje jego zawiodła
wzniesając pasmo udręki
do domu, do domu biegiem
zaszyć się, zniknąć, zapomnieć
jakoś znów wrócić do siebie
życie pędzić samotne

tak dumał przez drogę całą
na karku biegnąc złamanie
w myślach miał to, co się stało
w lesie, tam na polanie

zatrzymał przed chaty drzwiami
tak dzisiaj szybkie swe kroki
bieg go nieco osłabił
serca przyspieszył obroty

rzecz mu się dziwna zdała
gdy tak stał przy wierzejach
że w chacie osoba stała
może to zmęczenia był przejaw?

oddech wstrzymawszy drzwi trącił
żeby otwarły się nieco
i umysł znów mu się zmącił
bo postać ujrział kobiecą

dopadła go w progu i wpiła
ustami się w jego usta
bo to ta dziewczyna była
co znała czary i gusła

nie chciał jej ciała, nie teraz
zbyt wiele się wydarzyło
pamięć za bardzo uwiera
uderza z podwójną siłą

czego chcesz od niej, Wojciechu
w duchu to zadał pytanie
wieczereż z nią zjem bez pośpiechu
i niech tu na noc zostanie

niechaj się czuje bezpiecznie
w mej chacie pośrodku lasu
spokój nie potrwa wiecznie
lepszyc doczeka tu czasów

ona zaś inne zamiary
na wieczór dzisiejszy powzięła
rzuciła największe czary
bo naga przed nim stanęła

pięknej była figury
kibici wąskiej i zgrabnej
śniady był odcień jej skóry
a ciało jędrne, powabne

szarpali się do północy
na łożu padłszy dopiero
kiedy im zabrakło mocy
zasnęli jak para sierot

w siebie trwożnie wtuleni
by bliskość poczuć i ciepło
drwal strzegł jej jak źrenic
i poczuł ciała jej miękkość

III

gdy szczęścia cię spotka chwila
cieszyć się nią człeczce, jak możesz
bo często wśród kwiecica się skrywa
zdradziecki i ostry korzeń

jeszcze mgły opar nie spada
jeszcze się knieja nie budzi
a pod chatę drwała się skrada
grupa nieznanych tu ludzi

głowy skryli w kaptury
i kusze mają przy oku
choć wielkiej byli postury
nie było słyhać ich kroków
obeszli dom bezszelestnie
gestem się porozumiewając
żaden z nich ani nie westchnie
by z matni nie uszedł zając

a ze dwudziestu ich było
i na znak szybko dany
nim serce dwa razy zabiło
Wojciech już leżał związany

pojмали również dziewczynę
wciąż nieświadomą niczego
uznając ją za przyczynę
tego, co stało się złego

starzec nimi dowodził
siwy, postawny, wysoki
z możnego rodu pochodził
i on tu ferował wyroki

Krystyn się zwał ów mężczyzna
Mazowska był wojewodą
w członkach jego tężyzna
i szybkie ruchy prym wiodą

patrzył na zajście całe
z siodła swego rumaka
widział, że z wielkim zapalem
Wojciech się miotał jak szakał

IV

ty, który wstajesz o świcie
by w pracy się zaprząć kierat
o zmroku zaczynasz życie
i zmrok ci życie zabiera

owi, co rano wyszli
przed swe drewniane chałupy
wnet ogarnęli myśli
zebrawszy je prędko do kupy

bo oto traktem szerokim
w porannym kurzu tumanie
grupa jeźdźców wysokich
jechało ku Płocka bramie

gród ów był wtedy stolicą
dzielnicy Mazowszem zwanej
gdzie podróżnika zachwycą
wody Wisły szeroko rozlane

Pieśń o Kacie powstała z zaskoczenia w pewne kwietniowe popołudnie 2010 roku Początkowo miał to być scenariusz filmowy, ale zdania niespodziewanie zaczęły się rymować i tak już zostało. Mam jednak nadzieję, że scenariusz powstanie, bo niniejsza historia jest tego warta. Powstała z potrzeby stworzenia bohatera mitycznego i umieszczenia go w historii Polski. Idealnym okresem okazała się pierwsza połowa XIII wieku – czas rozbitcia dzielnicowego. Bratobójcze walki książąt o władzę, niszczycielskie najazdy Prusów i Mongołów, bezpardonowa ekspansja Zakonu Krzyżackiego, do tego gorączka złota na Śląsku i tworzenie się miast stanowią tło opowieści. Ponadto z mroków dziejów wyciągam postacie drugoplanowe: mazowiecki wojewoda Krystyn, ksiądz Jan Czapla, uczony Witelon. Wiele uwagi też poświęciłem żonom dwóch największych adwersarzy epoki, czyli Henryka Brodatego i Konrada Mazowieckiego: kolejno św. Jadwidze i księżnej Agafii. Główny bohater, Wojciech, kolejno jest drwalem, potem katem, następnie lekarzem i na końcu wodzem pruskiego plemienia. Jeśli starczy sił, powstaną trzy księgi. Akcja pierwszej rozpoczyna się w 1215 roku, akcja ostatniej kończy się w roku 1249. To opowieść o człowieku wplątanym w wir historycznych wydarzeń, których początkowo nie rozumie, ale z czasem staje się ich współtwórcą. Chcę pokazać mało znany, lecz bardzo znaczący fragment naszych dziejów, kiedy ugruntowała się *Bogurodzica*, został wykuty Szczerbiec, orzeł biały stał się godłem państwowym.



Ur. 10.03.1977 w Koźuchowie. 1999-2004 studia: Uniwersytet Zielonogórski, Wydział Artystyczny, kierunek: malarstwo, praca dyplomowa zrealizowana w pracowni malarstwa prof. Stanisława Kortyki w 2004 roku. Mieszka i pracuje w Zielonej Górze.

Wystawy zbiorowe:

2011: *Przybysze i Tubyłcy* BWA Zielona Góra, *Krzywy Komin* Fundacja Salony, Zielona Góra; 2010: *Opowiedz mi o tym* galeria Arttrakt, Wrocław, *XXIII Festiwal Polskiego Malarstwa Współczesnego*, Zamek Książąt Pomorskich, Szczecin, *Grusse aus Zielona Góra* Museum Junge Kunst, Frankfurt (Oder), *Junge Malerei aus Polen* Stadtgalerie, Neu-Isenburg; 2009: *Lato w mieście* Galeria Klimy Bocheńskiej, Warszawa, *Junge Polnische Malerei. Młode Malarstwo Polskie* Bestregarts, Frankfurt nad Menem, *A letter from faraway* Roxy Art House – The Bowery (tower), Edynburg, *Kto mnie słyszy? Nic nie widzę* Galeria Studio, Warszawa; 2008: *Marian Szpakowski – kontynuacja* galeria Nowy Wiek, Zielona Góra, *Rybie oko V* Biennale sztuki młodych, Galeria Bałtycka, Słupsk; 2007: *Inspiring Humanity*, Artspace Gallery, Edynburg, Szkocja, *Idolatrie*, Galeria Klimy Bocheńskiej, Warszawa, *Betonowe dziedzictwo. Od Corbusiera do blokiersów*, Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski, Warszawa, *Jeżeli jeszcze nie umarli to pewnie jeszcze żyją*, Bałtycka Galeria Sztuki Współczesnej, Słupsk, *Król smalcu* Galeria Szewska 36, Wrocław, *Dni Sztuki Współczesnej* Galeria Stara Winiarnia, Zielona Góra; 2006: *Rybie oko IV* Biennale Sztuki Młodych, Galeria Bałtycka, Słupsk, *Obraz Roku 2005, Hotel Europejski*, Warszawa; 2005: *Obraz Roku 2004, Pałac Królikarnia*, Warszawa, *Tęsknota za malarstwem* Galeria Stara Winiarnia, Zielona Góra, *Tęsknota za malarstwem* Galeria Szyperska, Galeria Pies, Poznań; 2003: *I coś że ze Szwecji* Galeria PWW Zielona Góra, *Na wakacjach się nie umiera (You Don't Die On Holiday)* Art Gallery Dymlingen, Jönköping (Szwecja), *Wystawa dla podróżnych* – Dworzec PKP Zielona Góra.

Wystawy indywidualne:

2012: *Żelazny* Fundacja Salony, Zielona Góra; 2011: *Żelazny* Laboratorium Sztuki, Wozownia, Toruń; 2009: *Principium* Art Agenda Nova, Kraków; 2008: *Identyfikacja z Naturalnym* MOA ART, SPOT, Poznań; 2006: *9772 BWA*, Zielona Góra, *Osiedle stoneczne* (z Tomkiem Kopcewiczem), Galeria Klimy Bocheńskiej, Warszawa, *OBRAZY*, Galeria Pies, Poznań; 2004: *Obrazy z wielkiej płyty* wystawa podyplomowa Galeria Stara Winiarnia, Zielona Góra.



Wybuch, olej, płótno, 90x60 cm, 2008



Wybuch, olej, płótno, 2008



Wybuch, olej, płótno, 30x40 cm, 2008



Żelazny, Galeria BWA Zielona Góra, 2011



Żelazny, Galeria BWA Zielona Góra, 2011



Żelazny (detail), Galeria BWA Zielona Góra, 2011



Želazny, Galeria BWA Zielona Góra, 2011



Z cyklu *Obrazy z wielkiej płyty*, 2003-2004



Z cyklu *Garaże*, 2003-2004

Jarosław Jeschke

Malarstwo Jarosława Jeschke wynika z bezustannej obserwacji świata, czasem widzianego bezpośrednio, czasem zapośredniczonego. Zacieśniając się granica pomiędzy tym, co ujrane „na własne oczy” a tym, co zobaczone dzięki reprodukcjom, jest dziś naszym doznaniem permanentnym. Nie chcemy już nawet wiedzieć, albo nie jesteśmy w stanie orzec, co widzieliśmy „naprawdę”, jeśli to określenie ma jeszcze dziś jakiś sens. Ważniejsze jest jednak być może, CO widzimy i w jakim stopniu potrafimy zobaczyć sensy.

Pierwsze duże cykle Jeschke, to malowane z natury fasady bloków, garaży, fragmenty osiedlowej zabudowy, samochody. Choć uproszczone, poddane rygorowi geometrii, miały jednocześnie „wedutowe” uszczegółowienie. Mogły przedstawiać fragmenty każdego modernistycznego osiedla, a jednak były konkretnymi pejzażami. Kolejne grupy obrazów coraz częściej miały za punkt wyjścia zdjęcie, kadr z filmu, jak prace dotyczące Stanu Wojennego. Stopniowo uwaga artysty przesuwano się w stronę skal skrajnych – z jednej strony cykl przedstawiający wybuchy (wulkanów i bomb atomowych), z drugiej zróżnicowane formy mikroorganizmów. Jeschke od pewnego momentu coraz częściej odnosi się do świata natury, za każdym razem pozostającym (choć nie zawsze wprost) w bezpośredniej relacji z człowiekiem. Pasożyty, bakterie, porosty, formy niedostrzegalne, niezbędne, ale też destrukcyjne, podobnie, jak nader widzialne wulkany.

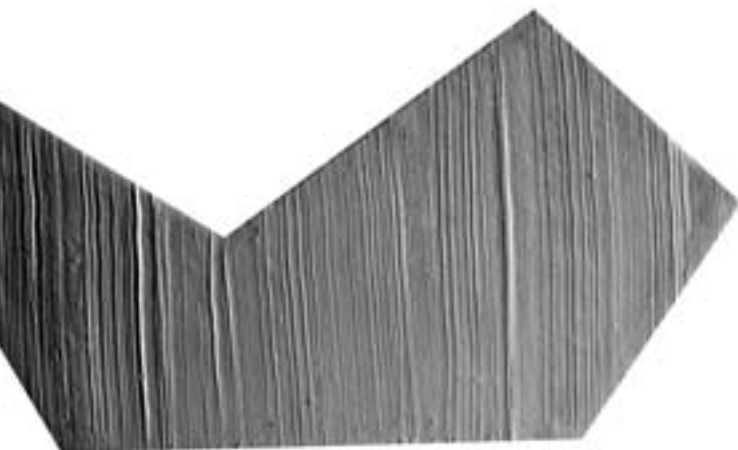
W ostatnim czasie refleksja nad formami styku czy może raczej starcia człowieka z biologicznym otoczeniem, zaczęła być dominującym sensem malarstwa Jeschke. Nie ma złudzeń, to przestrzeń walki, zniszczenia, cierpienia. Porozumienie nie jest możliwe.

Spokój pojawia się w tych obrazach tylko wtedy, gdy osoby dramatu występują oddzielnie.

Mikroorganizmy tworzą eleganckie struktury, podkreślone stonowaną barwą. Dymy wulkanicznych wybuchów tworzą wyrafinowane formy, estetyczne znaki, podobnie jak grzyby bomb. Jedne naturalne, drugie sztuczne, choć bazujące na własnościach naszego świata, oba śmiertelne. Dramat dzieje się poza kadrem obrazu. Spokój jest złudny.

Jeschke, choć maluje długimi cyklami, potrafi jednak co jakiś czas zrobić odskok od aktualnie badanych kwestii, zawsze jednak jest to kolejna próba zbadania możliwości własnego warsztatu. Ten artysta wierzy w malarstwo jako medium mogące powiedzieć coś istotnego o naszej współczesności. Przez pryzmat antynomicznych zjawisk nie diagnozuje i nie ocenia – jest tylko opisywaczem, ilustratorem, może też trochę tłumaczem świata. Przetwarza przedstawienia, dając im nowe życie, bo nowe sensy. Mam przy tym wrażenie, że swoją pracowitością, doskonaleniem warsztatu, widocznym w kolejnych pracach, sygnalizuje, że to ciągle początek, rozpęd, dobra prędkość, ale nie ostateczna. W tej twórczości ciągle może zdarzyć się wszystko.

Artykuł przedrukowany za zgodą autora z dwumiesięcznika „Punkt” *3 (Gazeta Malarzy i Poetów)



VARIA

Anna Makowska-Cieleń

25 lat temu żegnaliśmy na cmentarzu komunalnym w Gorzowie Irenę Dowgielewicz

Powinien to być w naszym województwie lub choćby w Gorzowie rok Ireny Dowgielewicz. Przypadają bowiem w tym roku trzy ważne wydarzenia: 105 rocznica urodzin pisarki, 25 rocznica śmierci, 50-lecie debiutu pisarskiego (*Lepszy obiad*, Wydawnictwo Poznańskie, 1962). Była to pierwsza książka pisarza Ziemi Lubuskiej, która zwróciła powszechną uwagę krytyki i pozwoliła autorce – cytując słowa Henryka Ankiewicza – „wejść głównymi drzwiami do salonów powojennej polskiej literatury”. Potwierdzeniem tego jest umieszczenie opowiadania *Komisja* z tego tomu – w zbiorze *Polskie opowiadania 1960–63*, Czytelnik, 1965.

Jak wspominałam wcześniej, pierwsza data to – przypadająca w grudniu – 105 rocznica urodzin



pisarki (jeśli weźmiemy pod uwagę zapis w dowodzie osobistym). Rok 1917 umieszczony jest na płycie nagrobnej, ale w wielu wcześniejszych opracowaniach (m.in. *Leksykon Literatury*

Gorzowskiej – Wyd. Arsenał; 2003, *Pisarze lubuscy* – LTK, Zielona Góra, 1981) spotkamy datę 31.12.1921! W pewnym dokumencie rodzinnym, podpisanym przez męża Michała, jest rok... 1918.

Pasierbice Ireny Dowgielewicz, obecne na gorzowskiej sesji poświęconej jej twórczości, połączonej z odsłonięciem obelisku (styczeń 1998), skłonne były do akceptacji 1917 roku.

I niech tak zostanie. Warto jednak przypomnieć, że żadnej z tych dat nie prostowała. Dlaczego? „Podczas wojny raz musiałam być młodsza, a innym razem starsza” – wyjaśniała.

Wiązało się to z możliwością podjęcia pracy w czasie okupacji (fabryka drutu, firma budowlana) w Warszawie. W 1937 roku podjęła studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, przerwane wybuchem wojny. Doświadczenia z tych lat przydały się pisarce, kiedy po przybyciu do Gorzowa Wlkp. podjęła w 1946 roku pracę w Witnicy, w Fabryce Mebli; szybko awansując na stanowisko dyrektora. Realia tych trzech lat odnajdziemy w jedynej jej powieści *Krajobraz z topolą* (Topolnica to właśnie Witnica); Wyd. Poznańskie, 1966.

25 rocznicę śmierci I. Dowgielewicz uczczono w Gorzowie skromnie, ale serdecznie. 21 lutego przy grobie autorki wybitnego opowiadania *Przyjadę do Ciebie na pięknym koniu* spotkały się delegacje instytucji i placówek kultury, szkół i miłośników twórczości pisarki: Wydział Kultury Urzędu Miasta, Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej, Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego, Klubu Kultury „Jedynka”, Medycznego Studium Zawodowego, Zespołu Szkół Budowlanych (od kilku lat opiekuje się grobem) oraz Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Leśnictwa i Drzewnictwa (jedno z inicjatorów i realizatorów budowy pomnika Włodzimierza Korsaka w Parku Górczyńskim odsłoniętego 23 września ub. roku). O tzw. Witnickim okresie I. Dowgielewicz mówił przy grobie Jan Majewski – prezes gorzowskiego Oddziału Stowarzyszenia Inżynierów i Techników

Leśnictwa i Drzewnictwa, które czyni starania o to, by w Witnicy w tzw. Żółtym Pałacyku (lub na zewnątrz budynku), który był siedzibą biura Fabryki Mebli, znalazła się tablica, upamiętniająca pracę późniejszej wybitnej pisarki. Zapłonęło wiele zniczy. Niestety, podczas uroczystości nie było przedstawiciela środowiska literackiego. Zebrani wysłuchali kilku wierszy, które odczytała studentka Małgorzata Murawicka.

W najbardziej związanym z naszym miastem poemacie *Rzecz o mieście Gorzowie* poetka napisała: „Nie od Rzymu, od domu wszystkie drogi”, bo też dom i rodzina były dla niej priorytetem. W jednej z rozmów powiedziała, że zaskoczył ją temat Rodzina i dlatego zgłosiła swój udział w zamkniętym Konkursie Wydawnictwa Łódzkiego na powieść o tej tematyce. Napisała tylko kilka rozdziałów; ręce odmawiały posłuszeństwa. Nie chciała, bo nie lubiła, pracować z magnetofonem. To, co zostawiła w dorobku pisarskim, daje jej znaczące miejsce w polskiej literaturze współczesnej. Podkreślali to krytycy literatury tej miary, co Witold Nawrocki, Henryk Bereza czy Tomasz Burek. „Pisarstwo I. Dowgielewicz zwróciło na siebie uwagę w sposób literacko-autonomiczny” – to zdanie H. Berezy (1966 rok) dobitnie określa walor i miejsce jej twórczości. A słowa Zenona Łukaszewicza: „Jestem pewien, że na zawsze swoimi książkami pozostała wśród nas, w naszej życzliwej pamięci. Jak jej bohaterowie...” są kwintesencją opinii, jaką chciałby mieć niejeden lubuski literat. Może warto w tym szczególnym roku powrócić do pomysłu umieszczenia tablicy z okolicznościową inskrypcją, np. z wiersza *Notatki ze szpitala*, na willi przy ul. Dąbrowskiego. Może nowej Pani dyrektor Wydziału Kultury uda się zrealizować plan z końca lat 90.? Życzę z całego serca powodzenia. Najbardziej przecież zrosła się z ziemią gorzowską. Tak powiedziała w „Tygodniku Kulturalnym” (1974): „Wszak tu przeżyłam najpiękniejsze lata życia [...], tu moja najbliższa ojczyzna, tu jest mój dom”.

Tysiąc lat wspólnych dziejów

Wystawa w berlińskim Muzeum Martin Gropius Bau: *Obok: Polska – Niemcy. 1000 lat historii w sztuce* była doniosłym wydarzeniem artystycznym, zorganizowanym z okazji pierwszej polskiej prezydencji w Radzie Unii Europejskiej. Współorganizatorem wystawy był Zamek Królewski w Warszawie. Ekspozycje wypożyczono m.in. z Muzeum Narodowego w Warszawie, The British Museum w Londynie oraz z Biblioteki Watykańskiej.

Fundamenty wspólnoty

To pierwsza taka wystawa w dziejach stosunków polsko-niemieckich. Jej organizatorzy zmierzali się z trudnym tematem sąsiedztwa niemiecko-polskiego, z jego powikłaną historią i z pamięcią historyczną obu narodów, niewolną od stereotypów i uprzedzeń. Zorganizowanie tego wydarzenia w Berlinie stało się wyjątkową okazją do przezwyciężenia tych negatywnych emocji i do pogłębienia rozpoczętego po 1989 roku dialogu, ukierunkowanego na budowanie zaufania i współpracy.

Oznaczało to zatem również poruszanie się w kręgu trudnych tematów niemiecko-polskiego sąsiedztwa. Zaakcentowano jednak przede wszy-

stkim to, co przyczyniło się do zbudowania fundamentów wspólnoty kultury, nauki i innych dziedzin, wspólnoty będącej jednym z filarów dzisiejszej Europy. „Bardzo bym chciała – podkreślała Anda Rottenberg, kuratorka wystawy – abyśmy dzisiaj postrzegali naszą europejską tożsamość przynajmniej w takim zakresie, w jakim widział to Wit Stwosz i Kopernik. [...] Oni byli Europejczykami pełną gębą”¹.

Do ostatniego eksponatu

Wydarzenie w Martin Gropius Bau cieszyło się ogromnym zainteresowaniem. Gdy zwiedzałam tę wystawę, przed Muzeum widziałam mnóstwo autokarów z Polski. Wśród zwiedzających przeważała polska młodzież w grupach zorganizowanych. Ale nie tylko, bowiem wśród gości było także sporo osób niemieckojęzycznych. Wystawę można było zwiedzać z przewodnikiem lub wypożyczyć bezpłatnie audioguide, dostępny oczywiście również w wersji polskojęzycznej.

Berlińska wystawa okazała się zajmująca i ciekawa aż do ostatniego eksponatu, co jest rzadką rzeczą, jeśli chodzi o tego rodzaju wydarzenia, bo na ogół na ostatnie sale nie starcza już sił, przechodzi się je już bez głębszego zainteresowania,

¹ *Sztuka jako świadectwo historii*, rozmowa z Andą Rottenberg, „Dialog”, nr 96 (2011).

z poczuciem przesyty i znużeniem. Tutaj było inaczej, choć ekspozycja była przedsięwzięciem na wielką skalę: pokazano około 700 obiektów w 19 salach o łącznej powierzchni 3 200 metrów kwadratowych. Różnorodność wystawianych eksponatów z pewnością miała tu znaczenie – oprócz obrazów, rzeźb i grafik na wystawie znalazły się także fotografie i filmy (m.in. *Ziemia obiecana* i *Królik po berlińsku*).

Największe wrażenie zrobiły na mnie oryginały słynnych dokumentów, było ich na wystawie łącznie 80 rękopisów i 60 starodruków. Tak, na wystawie w Berlinie można było zobaczyć oryginały prawdziwych historycznych „hitów”, doskonale znanych nam z podręczników! Żeby wymienić tylko niektóre: *Dagome Iudex* – odpis o 100 lat starszego dokumentu, w którym Mieszko I poświadcza oddanie swojego państwa pod opiekę papieżstwa. Bulla gnieźnieńska z 1136 roku, w której papież Innocenty II uniezależnia diecezję gnieź-

nieńską od arcybiskupstwa magdeburgskiego. Psalterz floriański, zwany Psalterzem Jadwigi z końca XIV wieku. Akt pokoju toruńskiego z 1466 roku, kończący trzynastoletnią wojnę Polski z Krzyżakami oraz wiele innych dokumentów, będących świadectwami najbardziej doniosłych wydarzeń ze wspólnej niemiecko-polskiej historii.

Postacie z historii

Fundamentalne wydarzenia historyczne, a na ich tle – pamiątki po sławnych postaciach z historii. W jednej z pierwszych sal mszał przypisywany księżnej Rychezie Lotaryńskiej, niemieckiej żonie Mieszka II. Aż trudno uwierzyć, że ta pamiątka liczy sobie około tysięcy lat! Rękopisy Mikołaja Kopernika: listy, dotyczące codziennych spraw związanych z zarządzaniem, które pisał jako biskup warmiński. To było prawdziwe przeżycie móc pochylić się nad tym samym kawałkiem



Obok: Polska – Niemcy, 1000 lat historii w sztuce, Martin Gropius Bau, Berlin 23 września 2011 – 9 stycznia 2012

zapisanego papieru, nad którym pochylał się osoba biście wielki astronom...

Jest też pierwsza edycja jego epokowego dzieła *O obrotach sfer niebieskich*, wydanego po raz pierwszy w 1543 roku w Norymberdze. Co ciekawe, egzemplarz pokazany na wystawie pochodził z księgozbioru Johanna Keplera i był otwarty na stronie, gdzie ten niemiecki matematyk i astronom na marginesie własnoręcznie napisał: *certum est!* (to pewnie!). Spróbowałam się wczytać w skomentowany przez Keplera akapit w dziele Kopernika. Choć bez łacińskiego słownika trudno mi oczywiście było odtworzyć wierne tłumaczenie, bez wątplenia chodziło o rewolucyjne stwierdzenie, iż „Ziemia jest kulą i porusza się dookoła słońca”.

W innym miejscu – świadectwo przyjaznej współpracy pomiędzy literatami niemieckimi i polskimi: rękopis listu Juliana Ursyna Niemcewicza, wysłanego w 1830 roku do Towarzystwa Przyjaciół Nauk z rekomendacją dla Johanna

Wolfganga Goethego, który starał się o przyjęcie w poczet członków Towarzystwa.

Jedną z wystawowych sal rozbrzmiewała muzyką. Były to „Tańce polskie” Georga Philippa Telemanna, niemieckiego kompozytora z okresu baroku. W 1987 roku odkryto nieznane dotąd notatki kompozytora, a wśród nich znalazł się nutowy zapis 31 tańców polskich. Zostały nagrane specjalnie na tę wystawę przez zespół pod nazwą Orkiestra Czasu Zarazy.

W Martin Gropius Bau najwięcej znalazło się dzieł malarstwa – aż 250. Między innymi – sławny portret Stanisława Augusta Poniatowskiego w stroju koronacyjnym, pędzla Marcello Bacciarelli. Świetna parodia *Bitwy pod Grunwaldem* Edwarda Dwurnika. *Luter* Wilhelma Sasnała. Najbardziej znanym eksponatem na wystawie był oczywiście *Hołd pruski* Jana Matejki, pięknie wyeksponowany na zadaszonym dziedzińcu Muzeum. Do obrazu można było podejść bardzo blisko, nawet na odległość około metra.



Wymowne oskarżenie

Na szczególną uwagę zasługują sale poświęcone pamięci II wojny światowej. Tu ekspozycje są oszczędne, niemal bez słów, ale ze szczegółami o wielkiej sile wyrazu. Jednoznaczne. Nie było tu miejsca na grzecznościowe tuszowanie historii. Przejmujące obrazy z cyklu „Rozstrzelanie” Andrzeja Wróblewskiego. Korespondencja więźniów obozów koncentracyjnych z rodzinami. Niemym, ale jakże wymownym oskarżeniem była urna, w której przysłano rodzinie prochy zmarłego w obozie zagłady profesora Stanisława Estreichera. Profesor Estreicher, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, w swojej pracy naukowej zajmował się historią prawa niemieckiego i polskiego, interesował się wpływem prawa niemieckiego na średniowieczną Polskę. Zmarł w grudniu w 1939 roku w obozie w Sachsenhausen, aresztowany w trakcie Sonderaktion Krakau, w czasie której wywieziono do obozów koncentracyjnych prawie dwustu krakowskich wykładowców akademickich i studentów.

I czasy powojenne, podzielone na dwa rozdziały: lata przed 1989 rokiem i po tej dacie. Relacje polsko-niemieckie rozdarte pomiędzy dwa

niemieckie państwa i rozdzielone żelazną kurtyną. Pamiętna wizyta kanclerza Niemiec Willy Brandta w Warszawie w 1970 roku. Wątek rodzącej się w Polsce „Solidarności” i powrót do normalności w stosunkach niemiecko-polskich po zjednoczeniu Niemiec i wyzwoleniu Polski spod komunizmu.

Zmiana myślenia

Zamierzeniem wystawy *Obok: Polska – Niemcy, 1000 lat historii w sztuce* było odejście daleko poza, nadal pokutujące u obu narodów, myślenie skażone nacjonalizmem. Stereotypowo, Niemcom i Polakom ciągle jeszcze zdarza się postrzegać siebie nawzajem przez pryzmat postaw etnocentrycznych. Wystawa w znacznym stopniu przyczynia się do zmiany tego myślenia, wyznaczając nowe spektrum dialogu i sąsiedzkich kontaktów. Tysiąc lat dziejów to metafora długiej, wspólnej historii naszych krajów, która ma swoje blaski i cienie. Nie chodzi o to, by usuwać i upiększać cienie, ale – pamiętając o nich – razem podkreślać jasne strony wspólnej historii. Tylko w ten sposób wzajemne zaufanie będzie stałym elementem naszych sąsiedzkich relacji.

Barbara Krzeszewska–Zmyślony

Centrum Kultury i Języka Niemieckiego Uniwersytetu Zielonogórskiego. 15 lat istnienia

Koncepcja utworzenia Centrum Kultury i Języka Niemieckiego w ramach zielonogórskiej uczelni zrodziła się w 1992 roku w ówczesnej Wyższej Szkole Inżynierskiej w Zielonej Górze. W związku ze zmianami, jakie zaszły w Polsce, Centrum miało stać się ośrodkiem promocji kultury i języka niemieckiego na obszarze polskiego pogranicza z Niemcami. Działania Centrum ukierunkowane zostały na budowanie porozumienia polsko-niemieckiego w myśl zawartych w latach 1990-91 traktatów o potwierdzeniu istniejącej między RFN a RP granicy oraz dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy. Traktaty te, a także późniejsza umowa kulturalna z 1997 roku między RFN i RP stały się podstawą działań Centrum.

Władze ówczesnej zielonogórskiej WSI, chcąc dostosować obiekt (przeznaczony pierwotnie dla uczelnianego Studium Wojskowego) do wymagań w pełni cywilnych i akademickich, wystąpiły o dofinansowanie prac przez Fundację Współpracy Polsko-Niemieckiej. Fundacja sfinansowała prace adaptacyjno-remontowe i Centrum zyskało w ten sposób swoją siedzibę przy ul. Szafrana 19 (teren

Barbara Krzeszewska–Zmyślony

Das 15. Jahre Bestehen des Zentrums für die deutsche Sprache und Kultur an der Universität in Zielona Góra

Das Konzept der Entstehung des Zentrums für die deutsche Sprache und Kultur (CKiJN) an der heutigen Universität in Zielona Góra geht an das Jahr 1992 zurück. Die Idee des Zentrums ist an der damaligen Ingenieurhochschule – heute, (seit 2001) Universität entstanden.

Förderung der deutschen Sprache und Kultur gehörten zu den Grundaufgaben des Zentrums. Die Änderungen, die u.a. in dem polnischen Bildungssystem stattgefunden haben, sollten diese Aufgabe erleichtern.

Die Aktivitäten, die sich das Zentrum (CKiJN) als Ziel gesetzt hatte, sollten den Bau der deutsch-polnischen Verständigung und Zusammenarbeit stimulieren.

Die deutsch-polnischen Verträge 1990/91 über die Bestätigung der zwischen den beiden Staaten bestehenden Grenze und über die deutsch-polnische gute Nachbarschaft und Zusammenarbeit bildeten die Grundlage der Arbeitsordnung des Zentrums. Der deutsch-polnische Kulturvertrag vom Jahr 1997 bestätigte das Vorhaben.

obecnego kampusu A Uniwersytetu Zielonogórskiego).

Formalnie, obecne CKiJN UZ jako uczelniana jednostka międzywydziałowa, zaczęło funkcjonować dopiero w 1997 r. w strukturze organizacyjnej ówczesnej Politechniki Zielonogórskiej (PZ). Od początku istnienia CKiJN współpracowało ze Studium Języków Obcych PZ i ze Studium Języków Obcych ówczesnej Wyższej Szkoły Pedagogicznej WSP. Z ogromnym zaangażowaniem współpracę z Centrum podjęły dwie lektorki ze Studium Nauki Języków Obcych Politechniki: Gudrun Lintzel i Danuta Chlebicz.

Centrum nawiązało także kontakt z polsko-niemieckimi gimnazjami pogranicza, przedszkolami, szkołami średnimi, Urzędem Miejskim w Zielonej Górze, ze studenckim Radiem Index, z Wojewódzką i Miejską Biblioteką Publiczną im. C. Norwida, z Muzeum Ziemi Lubuskiej, z Collegium Polonicum w Ślubicach (CP), Europejskim Uniwersytetem Viadrina (EUV) we Frankfurcie nad Odrą.

Znaczącym osiągnięciem Centrum było przeprowadzanie corocznych polsko-niemieckich konkursów Żywego Słowa (2000-2009) dla uczniów uczących się języka polskiego w polsko-niemieckich gimnazjach w Neuzelle, Guben, Frankfurcie nad Odrą oraz w Cottbus i dla uczniów zielo-

Das Gebäude, in dem das Zentrum (CKiJN) entstanden ist sollte zuerst als Gebäude für Militärstudium für Studenten genutzt werden. Um den Umbau und die Kosten zu finanzieren, hat sich der Rektor der Ingenieurhochschule für die Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit gewendet. Der Antrag wurde akzeptiert, und das Zentrum hat sein Zuhause, gemeinsam mit der Fremdspracheabteilung in der Szafrana – Str. 19 gefunden (Campus A der heutigen Universität).

Die aktive Arbeit des Zentrums (CKiJN), das als eine Sondereinrichtung des damaligen Polytechnikums ins Leben berufen wurde, begann jedoch erst im Jahre 1997. Von Anfang an arbeitete das Zentrum mit der Fremdsprachenabteilung des Polytechnikums (PZ) und der Pädagogische Hochschule (WSP) zusammen. Zwei Deutschlektorinnen des Polytechnikums Gudrun Lintzel und Danuta Chlebicz haben sich bei den Arbeiten des Zentrums besonders verdient gemacht.

Seit dieser Zeit findet auch die Zusammenarbeit mit den deutsch-polnischen Gymnasien der Grenzregion, mit den Kindergärten, Grundschulen, Mittelschulen, und mit der Stadtverwaltung der Stadt Zielona Góra, mit der Woiwodschaft und Öffentlicher Stadtbibliothek namens C. Norwid (WiMBP) in Zielona Góra, mit



nogórkich szkół średnich uczących się języka niemieckiego. Laureaci tych konkursów spotykali się przez dziesięć lat na obozach jeździeckich w uczelnianym ośrodku Raculka koło Zielonej Góry w ramach tzw. Spotkań na Dwa Języki (Begegnungen in zwei Sprachen).

Dla studentów uczących się języka w systemie lektoratów organizowane były corocznie – od początku istnienia CKiJN – konkursy Finde Dich in deinem Deutsch zurecht (Odnajdź się w przedstawionej sytuacji). Dzięki kontaktom Centrum z Eckerhardtem Gärtnerem, honorowym obywatelom miasta Zielona Góra, wielkim orędownikiem polsko-niemieckiego porozumienia, studenci, którzy zajęli pierwsze miejsca w konkursach, wyjeżdżali w nagrodę na tygodniowe pobyty do Niemiec (1998 i 1999).

Dzięki kontaktom CKiJN cztery studentki z kierunku Ochrony Środowiska mogły odbyć praktykę za zachodnią granicą Polski, tj. w Cottbus, w 2001 r.

Przedstawicielka Centrum uczestniczyła w latach 1997-2007 w wielu konferencjach na temat polsko-niemieckiego szkolnictwa na pograniczu w Guben, Cottbus, Frankfurcie nad Odrą, Neuzelle, a także w spotkaniach poświęconych współpracy transgranicznej w Schwedt, Loknitz, Seelow, Peitz i we Frankfurcie nad Odrą.

dem Museum Ziemi Lubuskiej, mit CP in Stübice, EUV in Frankfurt/O statt.

In den Jahren 2000-2009 wurde vom Zentrum (CKiJN) der deutsch-polnische Sprachwettbewerb des „Lebendigen Wortes“ für die deutschen Schüler, die in Neuzelle, Guben, Cottbus, Frankfurt/O Polnisch lernen, und für die polnischen Schüler, die Deutsch in Zielona Góra (Lyzeen) lernen organisiert. Die Besten dieser Wettbewerbe trafen sich zehn Jahre lang in dem Reitzentrum (neben Zielona Góra) „Raculka“ der Universität zu einem Fremdsprachenlager

Spotkania na dwa Języki – Begegnungen in zwei Sprachen zusammen. Für die Studenten, die an der Universität den Deutschunterricht im Lektorat genießen hatten, fand jährlich der Sprachwettbewerb nach dem Motto „Finde Dich in deinem Deutsch zurecht“ statt.

Dank den Kontakten des Zentrums konnten im Jahre 2001 vier Studentinnen der Fachrichtung Umweltschutz ein Praktikum in Deutschland (Cottbus) absolvieren.

Die Leiterin des Zentrums nahm in den Jahren 1997-2002 an den Konferenzen zum Thema „Deutsch-polnische Gymnasien in der Grenzregion“ in Guben, Cottbus, Frankfurt/O, und Neuzelle teil. Dazu kam noch die Teilnahme an weiteren



W latach 1998-2001 Centrum organizowało przy pomocy Gudrun Lintzel, lektorki zatrudnionej w Studium Nauki Języków Politechniki, kursy przygotowawcze do uzyskania certyfikatów potwierdzających znajomość języka niemieckiego studentów (ZD, DfdB i ZMP). Od początku istnienia CKiJN stałym współpracownikiem Centrum pozostaje starszy wykładowca języka niemieckiego UZ mgr Danuta Chlebicz.

W 1999 roku, obchodzonym jako Rok J. W. Goethego, Centrum zorganizowało wraz z Instytutem Germanistyki ówczesnej Wyższej Szkoły Pedagogicznej Dni Goethego. W ramach obchodów zorganizowano wystawę oraz koncerty z udziałem słuchaczy Uniwersytetu Trzeciego Wieku, studentów oraz młodzieży szkolnej.

Jedną z pierwszych akcji skierowanych do mieszkańców miasta w roku 1998 były Dni Filmu Niemieckiego zorganizowane w kinie Newa. Działania te były kontynuowane pod hasłem Tydzień Filmu Niemieckiego i zaangażowano w nie zielonogórskie szkoły średnie w 2001 r.

Podobnie w 2001 roku zorganizowano międzynarodową konferencję na temat *Jak sobie radzimy ze stereotypami i uprzedzeniami*, w której wzięło udział około 30 nauczycieli języka niemieckiego i historii ze szkół Zielonej Góry i z Brandenburgii.

Seminaren über die grenzüberschreitende Zusammenarbeit in Schwedt, Loknitz, Sellow und Peitz.

In den Jahren 1998-2001 wurden mit Hilfe von Gudrun Lintzel und Danuta Chlebicz für die Studenten die Sprachkurse Deutsch zum Zertifikat (ZD, DfdB und ZMP) organisiert. Das Zentrum veranstaltete auch in den Jahren 1998-2002 Seminare für Deutschlehrer.

Aus der Initiative des Zentrums wurde auch in Zielona Góra das Jahr 1999 als „Goethe Jahr“ gefeiert. Es gab Ausstellungen und Konzerte mit und für Schüler und Studenten der beiden Hochschulen und der Universität der III. Generation.

Eine der ersten Aktivitäten des Zentrums waren die Tage der deutschen Filme im Kino „Neva“ (1998). Diese Aktion wurde noch im Jahre 2001 als „Woche des deutschen Films“ den Mittelschulen der Stadt Zielona Góra angeboten.

Im Jahre 2001 fand im Zentrum eine dreitägige deutsch-polnische Konferenz zum Thema: „Wie gehen wir mit Stereotypen und Hemmungen um“ statt. An der Konferenz nahmen etwa 30 Deutsch- und Geschichtslehrer aus Zielona Góra und aus Brandenburg teil. Die Konferenz wurde von der Bosch-Stiftung gesponsort.

Die Arbeiten des Zentrums und die aktuellen Ereignisse in der Grenzregion waren auch Thema



Na przestrzeni lat 1997-2005 pracownik Centrum informował w cotygodniowych audycjach studenckiego Radia Index o pracach Centrum i o wydarzeniach kulturalnych odbywających się na pograniczu.

W roku 2000 przedstawicielka CKiJN poprowadziła w ramach uczelnianego sympozjum Nauka-Badania-Kształcenie dyskusję panelową na temat polsko-niemieckich szkół pogranicza. W konferencji wziął udział dr Hans Golombek z DAAD oraz przedstawiciele szkół z Polski i Niemiec.

W latach 2000-2002, dzięki współpracy Centrum ze Stiftung für politische und christliche Jugendbildung, nauczyciele języka niemieckiego ze szkół średnich w ilości pięciu osób wzięli udział w szkoleniu w Strausbergu koło Berlina. Także młodzież ze szkół średnich Zielonej Góry miała możliwość wzięcia udziału w szkoleniu liderów zarówno w Niemczech (Stralsund 2001), jak i w Polsce (Zielona Góra 2002).

Rok 2001 ogłoszony przez UE Rokiem Języków obfitował szeregiem seminariów na temat nauki języka niemieckiego. A w roku akademickim 2002/2003 miały miejsce nieodpłatne konwersatoria z języka niemieckiego dla studentów pragnących rozwinąć swoje umiejętności językowe.

der Sendungen im Studentenradio Index (1997-2005). An diesen Sendungen nahm die Leiterin des Zentrums einmal pro Woche teil.

Im Jahre 2000 hat die Leiterin des Zentrum im Rahmen des Symposiums „Wissenschaft – Forschung – Bildung“ eine Podiumsdiskussion über die deutsch-polnischen Gymnasien in der Grenzregion geleitet. An der Diskussion nahm Herr Hans Golombek (DAAD) teil.

Die Zusammenarbeit mit der Stiftung für politische und christliche Jugendbildung e.V machte in den Jahren 2000-2002 den Jugendlichen aus den Mittelschulen der Stadt Zielona Góra die Teilnahme an der Schulung für Liderbildung und sowohl in Polen (Zielona Góra) als auch in Deutschland (Stralsund) möglich. Dank dieser Stiftung nahmen fünf Deutschlehrer aus Zielona Góra an der Schulung Deutsch als Fremdsprache in Strausberg neben Berlin teil.

Im „Jahr der Sprachen 2001“ gab es im Zentrum eine Seminarreihe zum Thema Deutsch als Fremdsprache. Für die Studenten, die ihr Deutsch praktisch verwendeten wollten gab es einmal pro Woche im Jahre 2002/2003 ein Konversatorium.

Das Zentrum organisierte auch in Jahren 2004 und 2005 ein Besucherprogramm in Zielona Góra



Na prośbę nauczycielki prowadzącej kurs języka polskiego dla pracowników urzędu miasta Cottbus w latach 2004 i 2005 Centrum zorganizowało weekendowy program kulturalno-językowy.

W 2007 Centrum pilotowało projekt Wegstrecke/Odcinek dwudziestu studentów Wydziału Artystycznego UZ i Wydziału Wzornictwa BTU Cottbus. Powstały projekty mające za zadanie wypełnienie przestrzeni między partnerskimi miastami Cottbus i Zieloną Górą. Projekty pokazano na wystawach w Zielonej Górze, Gubinie i w Cottbus.

Ponadto Centrum od początku istnienia gromadzi różnorodne materiały, takie jak książki, czasopisma, katalogi, plakaty, wycinki prasowe i filmy na temat polsko-niemieckiego porozumienia i współpracy.

Najnowszą inicjatywą CKIJN są organizowane od 2003 roku Dni Niemieckie. Jest to coroczna impreza organizowana pod patronatem rektora Uniwersytetu Zielonogórskiego z udziałem dzieci, młodzieży szkolnej i studentów. Z tej okazji odbywają się koncerty, warsztaty teatralne, konkursy, spotkania, dyskusje, wystawy, seminaria itp. Imprezy te odbywają się na terenie obu kampusów uczelni oraz w WiMBP im. C. Norwida.

Od roku 2009, z inicjatywy Centrum i Prezesa Euroregionu Sprewa-Nysa-Bóbr Czesława Fiedorowicz, funkcjonuje w naszym mieście Polsko-Niemiecki Klub Dyskusyjny.

Centrum pomogło zainicjować w 2010 roku współpracę Teatru Lubuskiego z Gerhard Hauptmann-Theater w Zittau/Görlitz i Staatstheater Cottbus.

Władze miasta Zielona Góra i województwa lubuskiego doceniły wkład Centrum Kultury i Języka Niemieckiego UZ w budowaniu pomostów kulturalnych między Polakami i Niemcami, przyznając autorce niniejszego tekstu nagrodę kulturalną miasta Zielona Góra w 2006 oraz Lubuski Laur Oświaty Województwa Lubuskiego w 2010.

für die Cottbuser Stadtamtangestellten, die in ihrer Stadt Polnischkurs belegen.

Das Zentrum organisierte 2007 mit dem deutschen Künstler Eberhard Krüger und mit dem Professor Jo Acherman aus BTU Cottbus ein Kunstprojekt „Wegstrecke/Odcinek“. An dem Projekt nahmen etwa 20 Studenten aus Deutschland (BTU Cottbus) und Polen (Universität Zielonogórski) teil.

Das Zentrum sammelt Bücher, Zeitschriften, Kataloge, Plakate, Presseauschnitte, Filme, die dem deutsch-polnischen Dialog und der Zusammenarbeit dienen sollen. Die neuste Initiative, die das Zentrum 2003 ergriff sind die Deutschtage.

Sie werden jeweils im Oktober veranstaltet. In diesem Jahr zum zehnten Mal, sie finden unter der Schirmherrschaft des Rektor des Universität statt. An den Deutschtagen nehmen Kinder, Jugendliche und Studenten teil. Im Programm stehen: Konzerte, Workshops, Wettbewerbe, Autorenlesungen, Begegnungen, Ausstellungen, Seminare und Diskussionen.

Die Veranstaltungen werden in beiden Campen der Universität in den Schulen und in der WiMBP („Norwid“ Bibliothek) gezeigt.

Seit dem Jahre 2009 funktioniert in unserer Stadt ein Deutsch-Polnischer Diskussionsklub als Bürgerinitiative des Zentrums und des Präses des Euroregion Spree-Neisse-Bober, wo über die deutsch-polnische Initiativen gesprochen wird.

Das Zentrum mitinitiierte im Jahre 2010 die Zusammenarbeit des Teatr Lubuski in Zielona Góra mit dem Gerhart Hauptmann-Theater Zittau/Görlitz und mit dem Staatstheater Cottbus.

Die 15-jährigen Aktivitäten des Zentrums für den Brückenbau zwischen den Deutschen und Polen sind wohl bemerkt worden. Mag. Barbara Krzeszewska-Zmyślony bekam 2006 für ihre Bemühungen den Kulturpreis des Stadtpräsidenten und im Jahre 2010 den Preis Lubuski Laur Oświaty vom Landesparlament der Wojewodschaft Lubuskie.

Londyńskie święto sztuki

PoEzja OCALA – takie było hasło imprezy artystycznej, która odbyła się w Londynie w weekend z 31 marca na 1 kwietnia. W stolicy Wielkiej Brytanii spotkali się ludzie sztuki z dziesięciu krajów. Podczas konferencji, zatytułowanej „Rola poezji we współczesnym świecie”, dyskutowali o miejscu sztuki w naszym życiu.

Artyści (poeci, muzycy, a także malarze i fotograficy) mieli okazję zaprezentować swoją sztukę przed szeroką publicznością. Większość z nich już wcześniej dała się poznać w Londynie. Jednak i debiutanci otrzymali szansę na przedstawienie swoich prac.

Głównym organizatorem imprezy była grupa artystyczna PoEzja Londyn. PoEzja OCALA stała się oficjalną prapremierą polskiej edycji Światowego Dnia Poezji, pod patronatem UNESCO. Wydarzenie to szczyti się już dwunastoletnią tradycją. Jego główne obchody mają miejsce dwudziestego pierwszego marca w Paryżu. W większości krajów pierwszy dzień wiosny również jest świętem poezji. Choć zdarzają się wyjątki. Między innymi w Polsce, gdzie Światowy Dzień Poezji odbywa się w kwietniu.

PoEzja Londyn zorganizowała londyńską prapremierę już po raz drugi. W 2011 roku odbyła się ona w lutym. W wypełnionym po brzegi

POSKowym Jazz Clubie zaprezentowano wtedy ponad dwudziestu artystów. Zarówno poetów, jak i muzyków, wywodzących się głównie z brytyjskiego środowiska polonijnego.

W bieżącym roku było to dużo większe wydarzenie, trwające dwa dni. Miało również o wiele bardziej międzynarodowy charakter, niż ubiegłoroczna impreza. W sobotę, trzydziestego pierwszego marca, miłośnicy sztuki spotkali się



Aleksander Nawrocki z Martą Brassart i Adamem Siemien- czykiem podczas oficjalnego otwarcia PoEzja Ocala w polskim kościele w Devonii w londyńskim Islington

w polskim kościele na Devonii, w londyńskim Islington. Oprócz konferencji „Rola poezji we współczesnym świecie” oraz przedstawienia poetów (na liście znalazło się około ponad dwadzieścia pięć nazwisk) oraz muzyków – solistów i zespołów – miało miejsce spotkanie z Krzysztofem Zanussi. Na przykładzie fragmentów swoich obrazów, reżyser przedstawił przestrzeń, jaką szeroko rozumiana poetyckość zajmuje w jego filmach. Po zakończeniu prezentacji Krzysztof Zanussi brał udział w dyskusji z przedstawicielami publiczności i odpowiadał na pytania padające z sali.

Podczas oficjalnego otwarcia imprezy nastąpiło wręczenie nagrody Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Dyplom „Za szczególne zasługi w popularyzowaniu literatury i kultury polskiej na terenie Wielkiej Brytanii” otrzymał Adam Siemieńczyk, założyciel i lider PoEzji Londyn. Nagrodę wręczał przybyły z Warszawy Aleksander Nawrocki, poeta, wydawca magazynu literackiego „Poezja Dzisiaj” oraz organizator obchodów Światowego Dnia Poezji w Polsce. Kolejnym wyróżnieniem otrzymanym przez Siemieńczyka była Nagroda Światowego Dnia Poezji (Award World Poetry Day UNESCO 2012). Składa się na nią

między innymi druk tomu poetyckiego po polsku i angielsku.

Z kolei w niedzielę, pierwszego kwietnia, w galerii znajdującej się w Greenwich Market miał miejsce wernisaż wystawy Emanacje. Swoje prace wystawiali fotograficy i malarze z kilku krajów. Również i tutaj nie obyło się bez nagród. W imieniu Słowiańskiej Akademii Literatury i Sztuki przybyła z Bułgarii założycielka i prezes Akademii, poetka Ełka Niagołowa, wręczyła Adamowi Siemieńczykowi legitymację członkowską.

Oceniając zakończoną imprezę, można śmiało powiedzieć, że poezja faktycznie ocala. Wydarzenia ubiegłego weekendu pokazały wyraźnie, że „polski Londyn” ma się dobrze. Co więcej – w ciągu kilku lat, jakie minęły od wejścia Polski do UE i przybyciem do Wielkiej Brytanii wielu nowych artystów i ludzi sztuki – życie polonijne ponownie nabrało rozpędu. Po nieco chudszych latach sprzed naszej akcesji, znów zaczynamy być zauważani jako silna grupa. Zarówno w samej Anglii, jak i w Polsce. A także – w coraz większej mierze – w krajach, w których o istnieniu polskiej diaspory w UK do tej pory niewiele się mówiło. Między innymi za sprawą PoEzji Londyn polscy twórcy mają



Spotkanie Aleksandra Nawrockiego z młodzieżą w jednej z polskich szkół

szansę szerzej zaistnieć w europejskim kręgu artystycznym.

Poniżej prezentuję listę gości zaproszonych do wzięcia udziału w PoEzja OCALA:

Zagranica

- Ełka Niagołova (Bułgaria), poetka, prezes Międzynarodowej Akademii Literatury i Sztuki Słowiańskiej
- Liubica Raichici (Rumunia), poetka, organizatorka Festiwalu Poezji Europejskiej
- Gizella Cisztay (Węgry), pisarka, laureatka Nagrody „Poezji dzisiaj” za przekłady z literatury polskiej
- Henryk Stefan Zajonz (Niemcy), poeta, fotograf, tłumacz, autor kilkuset tekstów o sztuce
- Tomasz Wybranowski (Irlandia), poeta, dziennikarz.

Do Londynu przybyli także zaproszeni twórcy z Polski:

- Aleksander Nawrocki poeta, redaktor „Poezji dzisiaj”, tłumacz, autor „Poezja polska – antologia tysiąclecia”

- Barbara Jurkowska (Polska), poetka, laureatka Nagrody Prezesa Polskiej Akademii Nauk
- Barbara Gruszka-Zych (Polska), poetka, dziennikarka
- Karol Samsel (Polska), poeta, krytyk literacki.

Gościem specjalnym był Krzysztof Zanussi.

Poeci biorący udział w PoEzja OCALA:

Adam Siemieńczyk, Alex Sławiński, Anna Maria Mickiewicz, Artur Tomaszewski, Bożena Mazur-Nowak, Joanna Szlagor, Łukasz Olszewski, Maria Jastrzębska, Marta Brassart, Norbert Durał, Jacek Wąsowicz, Jerzy Niemyjski, Grzegorz Spis, Wojciech J. Pawłowski, Tomasz Wybranowski, Paulina Krzyżaniak, Tomasz Michał Wieliczko, Marcin Łuczak Czarny, Piotr Kasjas, Grażyna Winniczuk, Kasia Pętkowska, Marlena Weber, Barbara Molska i inni.

Muzycy:

Monika Lidke, Maria Kudetka, Sabio Janiak, Jacek Osior, Marzena Rychlik, Anna Maria Hyży, Włodek Fenrych i inni.



Krzysztof Zanussi z organizatorami imprezy, Adamem Siemieńczykiem i Martą Brassart

Muzyka jako urzeczenie

Jest muzyka, której się słucha, by przeżywać. Jest muzyka, której się słucha, by się zachwycić. Jest muzyka, której się słucha, by poznawać. I jest taka, której trzeba tylko słuchać.¹

Muzyka i mit

Twierdzenie, że muzyka towarzyszyła ludziom od zawsze, jest truizmem, ale od tego można zacząć. A co łączy ją z mitem – szeroko rozumianym jako „opowieść” o stworzeniu świata i kosmosu, bogach i bohaterach, pierwszych ludziach; „archaiczny światopogląd”; „uniwersalna forma świadomości”? Przede wszystkim, że jest tą częścią ludzkiego doświadczenia, które może odnosić się do tego, co transcendentne. Karen Armstrong twierdzi, że: „Mitologia, podobnie jak poezja i muzyka, powinna otwierać nas na zachwycenie, nawet w obliczu śmierci i grozy zagłady”². Jak dowodzi badaczka, myślenie mityczne nigdy nie zanikło, zmieniały się jedynie mitologie, by wraz z rozwojem dziejów w nowych formach opowiadać

ponadczasowe treści i – co potwierdzają badania antropologiczne – w skrajnie odmiennych kręgach cywilizacyjnych proponować podobne narracje, odnoszące się do najbardziej elementarnych lęków i pragnień człowieka. Zawężając zagadnienie do kręgu kultury śródziemnomorskiej – muzyka i tu odgrywała istotną rolę w obrzędach i religii, dlatego też jest w różnorodny sposób obecna w Biblii oraz mitach Greków i Rzymian. W Piśmie Świętym dotyczy przede wszystkim takich elementów, jak śpiew, psalmy, ekstaza i prorocтва oraz taniec, poza tym w Biblii pojawiają się liczne instrumenty muzyczne, świadczące o kulturze muzycznej Izraelitów³. Tradycja muzykujących aniołów też ma długą tradycję. Starotestamentowe anielskie istoty adorują Boga (mowa tu raczej o modlitwie i odgłosie trzepoczących skrzydeł); w Nowym Testamencie anioły wielbią Nowonarodzonego słowami „Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom Jego upodobania” (Łk 2,14); głos anielskiej trąby ma poprzedzić Sąd Ostateczny i w końcu ostatnia wzmianka z Janowej Apokalipsy: muzyka aniołów rozlegnie się podczas Niebiańskiej Liturgii. Anielskie śpiewy pojawiają się

1 P. Wierzbicki, *Muzykalny kosmos*, Warszawa 2010, s. 63.

2 K. Armstrong, *Krótką historią mitu*, tłum. I. Kania, Kraków 2005, s. 11.

3 Wszystkie te elementy opisał Robert Rachuta w pracy doktorskiej *Muzyka w Biblii*. Dostęp: <https://repozytorium.amu.edu.pl/jspui/bitstream/10593/1348/1/Praca%20doktorska%20Robert%20Rachuta.pdf> [odczyt 12.12.2011].

w późniejszych apokryfach, pismach ojców Kościoła oraz w wielu literackich i artystycznych wizjach Niebios.

Z kolei z mitologii Greków i Rzymian bodajże najbardziej znanymi są dwa mity muzyczne. Po pierwsze, dzieje Orfeusza, który siłą swego śpiewu sprawiał, że uspokajały się morza, a dzięki zwierzęta łagodniały. Jednakże po stracie ukochanej Eurydyki muzyka nie była w stanie ukoić bólu herosa, a i jemu nie udało się wyprowadzić ukochanej z krainy śmierci. Ta piękna historia doczekała się licznych artystycznych nawiązań i przekształceń, m.in. operowych. Temat cudownego śpiewaka i poety oraz uczucia skonfrontowanego ze śmiercią został odświeżony w renesansie i stał się popularny przede wszystkim w muzyce, co nie powinno dziwić. Dzieło nazywane „pierwszą operą” – *Orfeusz, baśń muzyczna* (*L'Orfeo, favola in musico*, 1607) C. Monteverdiego dotyczyło tej właśnie postaci. W kolejnych stuleciach liczni kompozytorzy podjęli się swoich interpretacji mitu, powstały takie opery jak: *Orpheus oder Die wunderbare Beständigkeit der Liebe* G. Ph. Telemanna, *Orfeo ed Euridice* Ch. W. Glucka (1762), *Dusza filozofa albo Orfeusz i Eurydyka* J. Haydna (1791). Ponadto poemat symfoniczny *Orfeo* (1853–54) F. Liszta czy balet *Orpheus* (1948) I. Strawińskiego.

Wracając zaś do mitologii, drugi najbardziej znany mit muzyczny dotyczył Marsjasza – satyra z orszaku Dionizosa, który wyzwał na muzyczny pojedynek Apolla i przegrał, gdyż bóg zmienił zasady zawodów. Pojedynek Marsjasza z Apollem doczekał się wielu interpretacji, bo nie tylko o wyższość kitary nad aulosem tu chodzi. Według Platona aulusowa muzyka bez „logosu”, emocjonalna i historyczna przegrywa z harmonijną i opionowaną muzyką Apolla. A na dowód, że boskie zwycięstwo można postawić pod znakiem zapytania – *Apollo i Marsjasz* Herberta. Ostatecznie to sztukę emocjonalną i autentyczną, reprezentowaną przez pokonanego Marsjasza, trzeba

wywyższyć. Choć czy w ogóle można mówić tu o zwycięstwie i klęsce? Opera, w tym kontekście gatunek raczej „apolliniński”, spod znaku racjonalnego logosu, może wskazywać na to, co „marsjaszowe”: pierwotne i emocjonalne.

Znakomicie ujął to Jean Starobinski, mówiąc w swoich *Czarodziejkach* o operze jako terytorium mitycznego doświadczenia. Chodzi o szczególnego rodzaju przeżycie, które może towarzyszyć recepcji muzyki, a zwłaszcza opery, będącej – równocześnie – dziełem scenicznym, muzycznym i wokalnie-instrumentalnym. Dziełem na swój sposób totalnym.

Od syren do czarodziejek

Syreny – w greckiej mitologii półkobiety, półptaki były cudownymi kusicielkami. Swym głosem oczarowywały żeglarzy, a potem pożerały ich. Jednak dwaj herosi potrafili uniknąć tego końca. Podczas wyprawy Argonautów po złote runo Orfeusz uratował żeglarzy, zagłuszywszy zwodniczy syreni śpiew własną muzyką. Pieśń i gra na lirze boskiego śpiewaka były silniejsze niż czary. Ciekawszy jest przypadek Odysa, bo on wysłuchał pieśni syren. Dzięki przypisywanej Homerowi *Odysei* wiemy, o czym „pieszczącymi głosami” śpiewały morskie bóstwa:

– Zbliż się, chlubo Achiwów, Odysie z Itaki!
Zbliż się do lądu! Postuchaj, jak śpiewamy cudnie!
Nikt tu jeszcze na czarnym lądzie nie przemknął się
sudnie,

Żeby się nie zatrzymał na dźwięk naszych pieni;
Owszem, wszyscy śpiewaniem tym rozweseleni,
Oświeceni mądrością płyną sobie dalej.
Wiemy, co niegdyś Grecy, Trojanie doznali
Nieszczęść, z bogów naprawy, na Ilionu polach,
Wiemy o wszystkich ziemskich dolach i niedolach.⁴

Czyżby Syreny chciały wyśpiewać *Iliadę*? Nie tylko ich słodkopłynny głos jest kuszący, ale i treść

4 Homer, *Odyseja*, tłum. L. Siemieński, wstęp Z. Abramowiczówna, oprac. J. Łanowski, Wrocław 1992, s. 244.

jaką oferują: poznanie wszystkich dziejów. Odyseusz jest postacią mitologiczną, a zarazem toposem ludzkiego życia, które jest ciągłą wędrówką, a jeśli u jej kresu czeka dom i (nadal wierna) Penelopa, to lepszego rozwiązanie nie można sobie wyobrazić. Spośród wielu przygód, których doświadcza bohater w czasie dziesięcioletniego powrotu, spotkanie z Syrenami stało się jednym z wątków podejmowanych w sztuce kolejnych epok, bo i sama przygoda mówi o pewnej ludzkiej potrzebie oczarowania, a raczej: o kontrolowanym uleganiu pokusie.

Od syreny z obrazów A. Bocklina, rzeźby A. Rodina, nokturnu C. Debussy'ego poprzez herb Warszawy i *Matką Syrenkę* H. Ch. Andersena – rozciąga się różnorodne wykorzystanie motywu, niemniej ciekawsze jest to, co sprawiło, że pół-kobieca postać pociąga wyobraźnię twórców różnych epok. O to uzręczenie chodzi. Zresztą nie tylko syreny, ale i wszystkie rusalki, nimfy wodne i kusicielki, których pełna jest demonologia ludowa, oczarowują i sprowadzają na manowce.

Dzisiaj przygoda z syrenami jest możliwa tam, gdzie czary legendarnej przeszłości przemieniają się w rzeczywiste oczarowanie, doświadczane „tu i teraz”, któremu ulegamy naprawdę, wiedząc, że to świat cudowności – czyli w operze. Mówił o tym Jean Starobinski: „Swoistość opery polega na tym, że proponuje nam ona cielesną obecność postaci, które mają przedstawiać losy już przesądzone. Dzięki ich fizycznej obecności to, co jest teraz, góruje nad tym, co było niegdyś, a odległa przeszłość przenika teraźniejszość. Najpiękniejsze przedstawienia operowe dają nam odczuć podwójną energię pamięci, która zachowuje, i wyobraźni, która stwarza”⁵.

Opera – twór sztuczny – wskrzesza antyczne przymierze słowa i muzyki. Jak gatunek muzyczny nie powstała spontanicznie. W drugiej połowie XVI wieku członkowie Cameraty Florenckiej chcieli

przywrócić sztuce dramatycznej wielkość starożytności tragedii, i tym powrotem stał się styl sztuczny, a muzyczną recytację uznano za „najdoskonalszy środek dramatycznego wyrazu”⁶. Od początku tematyka mitologiczna, wątki biblijne, epopeiczne, historyczne i rycerskie były często wykorzystywane w operze. „Opera – pisze Starobinski – odkryła nowego rodzaju przyjemność w tym zgodnym połączeniu wyobraźni i konkretności, przypomnianej legendy i zmysłowej bliskości”⁷. Oczywiście już pierwsze opery aluzyjnie nawiązywały do czasów sobie współczesnych, a na widowni czy w kuluarach załatwiano rozmaite sprawy: polityczne, ambicjonalne czy uczuciowe – mniejsza o to. Ważniejsza jest ta prawda emocji kryjąca się w związku między tym, co dawniej, a tym, co teraz – w owym połączeniu kryje się ponadczasowość i uniwersalność.

Biała magia widowiska

„Słowo: przyporządkowane rzeczy. Dźwięk: swawolnik, posłaniec krnąbrny, chimeryczny. Słowo stąpa po ziemi. Dźwięk niczym mgiełka gotów zdać się na kaprysy wiatru. Jest w stanie słowo »świat« ogarnąć ogrom wszechistnienia. Cóż może unieść mgiełka wysnuta z piszczalek bądź strun?”⁸ – pyta Piotr Wierzbicki i udziela tajemniczej odpowiedzi: dźwięk–mgiełka wskazuje na coś, co mgłą jest spowite; na coś najdalszego i najgłębiej zanurzonego w minionym. „Do wrót puka niepojęte: istnienie, jego początek, jego sens”⁹. W ten sposób można też wyrazić sens baśni mimicznej Bolesława Leśmiana zatytułowanej *Skrzypek Opętany*. Baśń wyrażona słowem (na poziomie tekstu) opowiada o czymś, czego wyrazić się nie da (na poziomie problematyki). Ot, paradoks. Leśmianowska „pieśń bez słów”, która odnosi się do refleksji filozoficznej zawartej w szki-

5 J. Starobinski, *Czarodziejki*, tłum. M. Ochab, T. Swoboda, Gdańsk 2011, s. 13.

6 E. Łętowska, *Przedmowa*, [do:] P. Kamiński, *Tysiąc i jedna opera*, Kraków 2008, s. 8.

7 J. Starobinski, dz. cyt., s. 15.

8 P. Wierzbicki, dz. cyt., s. 289.

9 Tamże, s. 290.

cach literackich poety (m.in. w *Przemianach rzeczywistości* autor pytał „Czym jest ów ton? Czym owa pieśń bez słów?”¹⁰), ma kilka egzemplifikacji w jego twórczości, która nie daje jasnej odpowiedzi, tylko mnoży pytania i wątpliwości: wiersz *Słowa do pieśni bez słów* – wyraz metafizycznego niepokoju; balladowy Matysek, który na skrzypcach z jedliny umie wygrać „płacz zmarłej dziewczyny” (*Matysek*); obłądna gra dębowego upiora, wzruszająca samego Boga (*Dąb*); a przede wszystkim Urgela – cudowna postać z *Przygód Sindbada Żeglarza* symbolizująca muzykę, sztukę, piękno i niewyrażalne. A tak swój status ontologiczny wyjaśnia sama bohaterka: „Nie jestem. Nie ma mię wcale. Nie istnieję. Nie umiem istnieć. Umiem tylko śnić się tym, którzy są snu spragnieni. [...] A lutnia moja jest dziwna: dość pieśnią wrzuci jej struny, aby żarzyły się blaskiem rozmaitym, który wszelkie mroki rozwidnia”¹¹. Gra Urgeli to muzyka, której trzeba tylko słuchać. Biała magia dźwięków, które urzekają. Nic więcej. Motyw baśniowej lutnistki został pięknie rozwinięty właśnie we wspomnianym *Skrzypku Opętanym*, bowiem Rusalka Leśna, której pieśń silniejsza jest od śmierci, wskazuje na transcendencję. Tak więc zachwyty i oczarowanie to nie tylko emocje wpisane w sferę odbioru fascynującej twórczości Leśmiana, lecz przede wszystkim kategorie, które – podejrzewam – ją poprzedziły. W elementach wskazujących na muzykę (czy to w warstwie środków artystycznych, czy też samej treści) poeta wkracza w obszar doświadczenia mitycznego. W ten sposób w twórczości poetyckiej dokonuje się przymierze słowa i muzyki.

Jeszcze inny rodzaj przeżycia estetycznego oferuje opera, ona bowiem jest w stanie zaangażować

większą liczbę zmysłów. XVII-wieczny eseista francuski, Jean de La Bruyère, pisząc o operze, twierdził, że „Istotą tego typu widowiska jest to, iż powinno w równym stopniu zachwycać umysł, oczy i uszy”¹². W tych zdaniu, będącym *quasi*-definicją opery, ważne i trafne jest wszystko. Opera jest widowiskiem, czyli sztuką dziejącą się przed publicznością. Opera ma zachwycać, czyli sprawiać w urzeczenie, zawłaszczać uwagę dzięki swojej niezwykłości. Opera równocześnie angażuje rozum i zmysły – tu tkwi istota jej totalności i to ją zbliża do sfery *mythos*. Manfred Lurker, badacz symboli w mitach, kulturach i religiach pisał: „Obraz, słowo i dźwięk odsyłają poza siebie”¹³. W każdym z nich może kryć się treść symboliczna wskazująca na pierwotniejszy od siebie archetyp, cóż dopiero mówić o zawłaszczeniu przez dzieło sztuki tych wszystkich władz umysłowych i zmysłowych. Recepcja dzieła sztuki może mieć w sobie dużo z postrzegania świata przez dziecko albo człowieka pierwotnego, chodzi o to doświadczenie bezpośrednie, o którym z tęsknotą mówił Leśmian¹⁴. Słusznie więc Starobinski nazywa operę terenem, w którym można doświadczyć mitu. W tym gatunku łączy się nowa forma z obrzędowością („Obrzęd to powtarzanie akcji, która wydarzyła się w zamierzczłej przeszłości”¹⁵).

Po wyjściu z sali...

Parafrazując znany wiersz Szymborskiej: niektórzy lubią operę, niektórzy – czyli nie wszyscy. Nie mam zamiaru nikogo przekonywać do polubienia tego gatunku. Niemniej pełne widowienie świadczą, że tym niektórym opera jest do czegoś potrzebna.

10 B. Leśmian, *Utwory rozproszone. Listy*, oprac. J. Trznadel, Warszawa 1962, s. 184.

11 Tenże, *Przygody Sindbada Żeglarza*, Poznań 2002, s. 149.

12 Cyt. za: J. Starobinski, dz. cyt., s. 16.

13 M. Lurker, *Przesłanie symboli w mitach, kulturach i religiach*, tłum. R. Wojnakowski, Kraków 2004, s. 92.

14 Leśmian mówił o bezpośrednim postrzeganiu, pozbawionym przepaści między wolą a czynem: „On – ów człowiek pierwotny dążył do tego, ażeby obrazy, które widział, stały się jego myślami. My zaś przeciwnie – staramy się o to, ażeby myśli nasze stały się obrazami... My – obrazujemy myśli. On przemysliwał obrazy” (*Szkice literackie*, oprac. J. Trznadel, Warszawa 1959, s. 47).

15 J. Starobinski, dz. cyt., s. 18.

I niektórym z niektórych może dać przeżycie podobne do tego, jakie było oferowane uczestnikowi antycznej tragedii. *Katharsis* jest możliwe. Kilkugodzinne zawłasczenie przez muzyczno-wizualne widowisko nie rozwiąże spraw codziennych, ale może dać to wyjątkowe oczyszczenie, o którym mówił Arystoteles w *Poetyce*.

I jeszcze dygresja filmowa: *Sala samobójców* – film w reżyserii Jana Komasy, szeroko komentowany w 2011 roku. Tak zwana dobra rodzina, chowany pod kloszem Dominik, studniówka, zbliżająca się matura – etap przełomowy w życiu, za chwilę zaczną się poważne wybory, decyzje.. A jednak wcale nie dochodzi do wejścia w dorosłość, nagle wydarza się coś, z czym Dominik nie jest sobie w stanie sam poradzić, w konsekwencji nie chce rzeczywistości, wciąga go świat wirtualny. Jedna z pierwszych scen filmu dzieje się w operze, miejscem ostatniej – gdy już zdarzyło się nieodwracalne i rodzice głównego bohatera muszą się z tym uporać – również jest opera. Poza złożoną i niezwykle aktualną problematyką filmu, dla mnie też ta kompozycyjna klamra jest wymowna. Wirtualne życie może zawłasczyć to rzeczywiste, ale czas sztuki jest czasem mythos, a to, co oferuje opera, nigdy nie zastąpi realności, jedynie da od niej odetchnienie. Dlatego też, bez względu na własne, indywidualne przeżycia można oczekiwać od opery tego samego, co być

może bohaterowie *Sali samobójców*: chwilowego oczarowania.

Karol Swann – jeden z bohaterów dzieła Prousta *W Poszukiwaniu straconego czasu* miał swoją ulubioną sonatę, która przy nielicznych możliwościach wysłuchania wyzwalała w nim moc przeżyć, urastając wręcz do symbolu miłości, jaką żywił do Odety. Może gdyby Swann mógł wysłuchiwać tej sonaty wielokroć, w końcu znudziłaby mu się jak radiowy hit lata. Możliwości techniczne dały nam niebywałą jeszcze sto lat temu możliwość wielokrotnego wysłuchiwania swojej ulubionej muzyki, nie na żywo. Czy muzyka dziś nadal ma związek z mitem? Myślę, że tak, choć można by raczej mówić o micie zdegradowanym, czyli pozbawionym swojej pierwotnej, sakralnej funkcji. Odbiór muzyki to kwestia bardzo indywidualna, realizująca rozmaite ludzkie potrzeby, ale jeśli recepcja wiąże się z oczarowaniem, to muzyka – posługując się słowami E. T. A. Hoffmanna „pozwała człowiekowi odgadnąć jego wyższą zasadę, wprowadza go z niedorzecznej krzątaniny powszedniego życia, wprowadza do świątyni lzydy, gdzie Natura rozmawia z nim świętym, nigdy niesłyszonym, a mimo to zrozumiałym językiem”¹⁶. Takie urzeczenie to czyste katharsis.

16 Cyt. za: J. Starobinski, dz. cyt., s. 33.



Maciej Lindmajer

Motyle w motelu i braterstwo słów

O debiucie poetyckim Andrieja Kotina

Najnowszą inicjatywą wydawniczą zielonogórskiego Pro Libris jest debiutancki tomik poezji młodego poety Andrieja Kotina. Tomik ten, pod tytułem *Motyle w motelu*, ukazał się w styczniu 2012 roku. Zawiera wiersze, a także niektóre teksty piosenek debutanta.

Andriej Kotin urodził się w Moskwie w 1985 roku. Lata szkolne spędził między Berlinem a miejscem swojego urodzenia. W wieku 15 lat wraz z rodzicami osiadł na stałe w Polsce. Dwa lata mieszkał w Słupsku, a od 10 lat jest mieszkańcem Zielonej Góry. Tutaj też w roku 2008 ukończył studia magisterskie w Instytucie Filologii Germańskiej, a obecnie czeka na obronę przewodu doktorskiego dotyczącego narratologicznych aspektów postaci autsajdera literackiego w prozie niemieckiej i rosyjskiej.

Przygodę z poezją i twórczością rozpoczął bardzo wcześniej. Zainspirowany dziewiętnasto- i dwudziestowieczną poezją rosyjską pierwsze utwory pisze w okresie szkoły gimnazjalnej. Początkowo są to wiersze w jego ojcystym języku rosyjskim, ale też pojawiają się pierwsze kompozycje muzyczne w języku angielskim. Jak sam wyznaje, w języku polskim zaczął pisać niedawno. Ciężko nazwać *Motyle w motelu* debiutem Andrieja Kotina. Ma on bowiem za sobą liczne publikacje w przeróżnych czasopismach, almanachach, perio-

dykach, zarówno niemiecko- jak i rosyjskojęzycznych. Jego opowiadania *Papierosy dla Liliany* oraz *Babcia* ukazały się w czasopismach „Fa-Art” i „Akant”, zaś najnowsze opowiadanie *Krótki opis życia* zostało przyjęte do druku przez rosyjsko-austriackie czasopismo „Wiedeń Literacki”. Młody poeta jako twórca muzyki do własnych tekstów, ma także znaczne osiągnięcia w konkursach piosenki, zarówno tych lokalnych, jak i ogólnopolskich.

Wydanie debiutanckiego tomiku Andrieja Kotina *Motyle w motelu* stało się możliwe dzięki wspólnej inicjatywie Lubuskiego Stowarzyszenia Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut” oraz Biblioteki Norwida w Zielonej Górze. Nagrodą w organizowanym przez nich konkursie „Debiut Poetycki Pro Libris” było właśnie wydanie debiutanckiego tomiku poezji. Konkurs ten odbył się już po raz drugi. W pierwszej edycji laureatem został Jakub Rawski, który opublikował zbiór wierszy pod tytułem *Pasaze*. W drugiej, zeszłorocznej edycji konkursu, pierwsze miejsce przypadło właśnie Kotinowi.

Jak zauważył podczas spotkania promocyjnego w swoim krótkim przemówieniu dyrektor biblioteki, dr Andrzej Buck, wznowienie wydawania debiutów poetyckich przez oficynę Pro Libris jest przedsięwzięciem mającym na celu promowanie i wspieranie nowych twórców literatury lubuskiej. Przedsięwzięcie to ma także swoje

wsparcie w osobie pani profesor Małgorzaty Mikołajczak z Uniwersytetu Zielonogórskiego, która jest kierownikiem Pracowni Badań nad Literaturą Regionalną. To właśnie profesor Mikołajczak poprowadziła rozmowę z autorem nowego tomu poetyckiego.

W wywiadzie z debiutantem poruszone zostały zagadnienia warsztatu poetyckiego, źródeł inspiracji, a także kwestia natchnienia i problematyka utworów młodego poety. Kotin wyznał, że najłatwiej pisze się mu piosenki. Wyznaje zasadę, że przychodzą one same do piszącego z jakiejś przestrzeni idealnej. Rolą piszącego jest więc wsłuchać się w siebie i przelać dźwięki oraz słowa na papier. Taką samą strategię twórczą autor stosuje do swoich wierszy, chociaż jak zauważa, stoją one na drugim stopniu trudności pisarskiej. Profesor Mikołajczak zwróciła uwagę słuchaczy, że w twórczości Andrieja Kotina ta koncepcja *poety natchnionego* (romantyczna), łączą się z afirmacją radości życia oraz pewną ironią w stosunku do świata, typową dla poetów modernistycznych.

Poruszono także kwestię płynności granicy pomiędzy pisaniem wierszy a piosenek. Jak napisałem już wcześniej, sam autor wyjawiał, że najłatwiej pisać mu piosenki, trudniej wiersze, które mają według niego inną rytmikę – nie przychodzą razem z melodią. Nie ukrywa też swojej wielkiej fascynacji Bobem Dylanem i wpływu jego utworów na własną twórczość. Do inspiratorów słowno-muzycznych należą też Bułat Okudźawa i Włodzimierz Wysocki. Jedność słów i melodii zdają się także potwierdzać słowa samego Kotina. Mianowicie, że nigdy nie napisał muzyki do gotowych słów. Każda reguła ma jednak swój wyjątek i dla poety-muzyka był to jeden z sonetów Szekspira. Jak sam komentuje ze śmiechem: „No trudno! Zdarzyło się!”.

Sam autor, chociaż przyznaje, że najbardziej cieszą go właśnie te natchnione i „szybkie” utwory, to jednak nie odrzuca pracy nad tekstem i nanoszenia w nim poprawek, ulepszeń. Wśród swoich „ojców chrzestnych” wymienia zarówno Szekspira, poetów rosyjskich, jak i Tuwima. Szczególnie

u tego ostatniego dostrzega *ekstremalną płynność słów*, co przywodzi mu na myśl nieodmiennie polskie krajobrazy, nawet jeżeli treść czytanego wiersza wychwala *tłum, miasto czy maszynę*. Chociaż nie odwołuje się wprost do żadnych idei funkcjonujących w literaturze, to jednak elementy składowe poszczególnych epok, które stały się siłą inspirującą, są w wierszach wyczuwalne.

Ciekawym poglądem Kotina jest to, że muzyka czy poezja tworzona przez poetę konkretnej narodowości i dorastającego w określonym krajobrazie, prawie zawsze wydobywa na wierzch stereotypowy model postrzegania i opisywania świata wokół siebie. Zagadnienie to bez wątplenia byłoby ciekawym obszarem badawczym nie tylko dla literaturoznawcy, ale też antropologa.

Rozważania tego typu doprowadziły w końcu do postawienia frapujących pytań o dialog z tradycją twórczości młodego poety. Jak wiemy nie istnieje pisanie ahistoryczne; twórczość zawsze jest dialogiem – *z kim? przeciwko komu?* i w końcu *pod czyim wpływem?* tworzy Andriej Kotin? Autor *Motyli w motelu* odpowiada z wielką prostotą: „z każdym, kto docenia czułość i namiętność, wolność i talent”. Nie odczuwa zaś potrzeby występowania poetycko przeciwko komukolwiek czy bardziej radykalnego buntu. Sugeruje jedynie swoim potencjalnym czytelnikom, że nie ma w nim zgody na *obłudę i przeciętność*.

Twórczość Kotina jest zresztą przesycona odwołaniami do wielu poetów i ich idei. Małgorzata Mikołajczak we wstępie pisze, iż zauważa w debiutanckich utworach swego rodzaju „ducha manifestu napędzanego siłą młodości”. Mimo pewnej naiwności, wynikającej z tej ostatniej, nie brakuje jednak w zbiorze i „wielkich tematów” – miłości, śmierci, pytań o sens istnienia. Tematy te same w sobie są traktowane poważnie przez autora, ale ich sztampowy sposób ukazywania w literaturze czy też toposy funkcjonujące w powszechnej świadomości traktuje z przymrużeniem oka. W pierwszych wierszach obecna jest ironia i „puszczenie oka” do czytelnika. Według mnie to jeden z największych atutów zbioru.

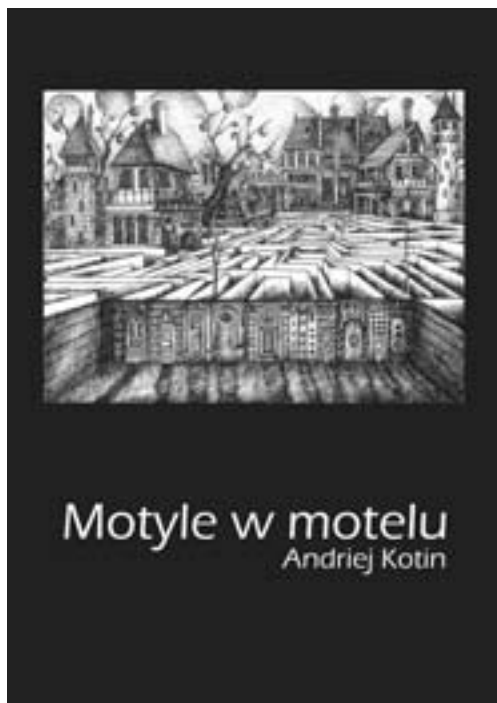
Kolejnym walorem jest podejmowana niemalże w każdym utworze, od tytułu zresztą poczynając, gra słów. Poeta przynajmniej, że odnajduje w niej autentyczną radość twórczą. Dostrzega tu, podobnie jak w rymach i następujących po sobie wersach, *braterstwo słów*. Podobnego terminu użył też jeden z mentorów poety – Maksymilian Wołoszyn. Momentami dostrzec można pewne potknięcia czy językową nieporadność, jednak są to drobne mankamenty, które zanikają pod kształtem całości.

Dodatkową atrakcją rozmowy był recital debiutanta, który zaprezentował publiczności kilka ze swoich piosenek. Były to: *Ani tobie ani mnie*, *Kręcone włosy Dominiki*, *Mam czas*, *Rozmowa*, *Środki komunikacji*, *Wrota radości*. Ich teksty także zostały zamieszczone w drugiej części tomiku. Kotinowi, grającemu na gitarze, akompaniowała na skrzypcach Katarzyna Pawłowicz. Duet stworzył niesamowity klimat, który w szczególności korespondował z wcześniejszymi słowami poety na temat poezji Tuwima odnośnie wrażeń „ojczyźnianych”, jakie wywołuje jego poezja w czytelniku. W sali klubu Pro Libris dało się odczuć *słowiańską tęsknotę* i niezmierną przestrzeń rosyjskich stepów. Po burzliwych oklaskach, wykonano jeszcze jeden utwór (już spoza debiutanckiego zbioru), w którym autor przeprosza matkę i ojca, po czym „jedzie do Amsterdamu z piękną anarchistką”.

Na zakończenie pozwolę sobie jeszcze na czysto osobistą refleksję nad odbiorem twórczości Andrieja Kotina i jego debiutanckiego tomu *Motyle w motelu*. Nie sposób nie zgodzić się ze słowami wstępu napisanego przez prof. Mikołajczak: „Utworki debiutującego poety to... wiersze-motyle. Kolorowe i lekkie kołują, wabią swym motylim pięknem; ich taniec odrywa od rzeczywistości i każe wziąć w nawias szarą codzienność i prozę”. Kupiwszy książkę i od razu przeczytawszy większość wierszy, nasunęła mi się jedna, niezwykle pozytywna myśl. Debiutancki tom Kotina to, w moim odczuciu, zapis jego studenckiego życia i młodzieńczych doświadczeń tego okresu. Odnajdujemy w tych wierszach zarówno

zauroczenie, szaloną miłość, seks, jak i poczucie rutyny – „od sesji do sesji” – zawarte w tytułowym wierszu. Często też autor posługuje się językiem potocznym, tak dobrze znanym z uniwersyteckich korytarzy i przerw między wykładami. Mamy więc „spoko”, „siema” i „odpowieź jak w banku”. Może dlatego wiersze młodego debiutanta od pierwszego przeczytania zapadły mi w pamięć i nie miałem problemów z utożsamieniem się z treściami w nich zawartymi.

Pozostaje mi życzyć Andriejowi Kotinowi kolejnych, jeszcze lepszych, tomów poetyckich. Organizatorom konkursu „Debiut Poetycki Pro Libris” zaś kolejnych również utalentowanych i dobrze rokujących poetów.



Ewa Mielczarek

Święto literatury lubuskiej

Wawrzyny 2011 wręczone

Wawrzyny Lubuskie przyznawane za najlepszą książkę literacką oraz naukową roku to nagrody oczekiwane i pożądane, nadające prestiż w środowisku piszących. Jak większość konkursów przysparzają sporo kontrowersji dotyczących tak kryteriów dopuszczających książki do rywalizacji w konkursie, a później trafności wyboru laureatów, niemniej przyjmowane są z sympatią i nadzieją na rozwój talentów literackich i naukowych w regionie.

Lubuski Wawrzyn Literacki jest nagrodą dla autorów prozy i poezji wywodzących się lub mieszkających obecnie na Ziemi Lubuskiej, a także autorów, którzy w mijającym roku wydali książki w lubuskich oficynach. Wawrzyn Naukowy ma na celu promocję książek naukowych oraz popularnonaukowych o tematyce regionalnej, a także dotyczących Środkowego Nadodrza lub obecnych terenów województwa lubuskiego.

W tym roku główni organizatorzy konkursu (Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Z. Herberta w Gorzowie) otrzymali imponująco dużo książek, pretendujących do miana Wawrzynu Literackiego oraz całkiem sporo kwalifikujących się do nagrody Wawrzynu Naukowego. Tak więc jurorzy Lubuskich Wawrzynów podjęli się karkołomnego przedsięwzięcia wyboru spośród całorocznej produkcji wydawniczej tych najlepszych, najwartościowszych książek lubuskich. Ostatnio tego zadania podjęli się: prof. UZ dr hab. Małgorzata Mikołajczak (przewodnicząca Jury), Sergiusz Sterna-Wachowiak (prezes SPP), Bohdan Zadura (redaktor



Beata Patrycja Klary



Daniel Koteluk



Nominowani LWL



Nominowani LWN



W imieniu Andrzeja K. Waśkiewicza dyplom za całokształt twórczości odbiera Eugeniusz Kurzawa



Dyplom za Debiut Literacki – Paulina Korzeniewska



Laureaci Dyplomu za najlepszą książkę popularnonaukową – W. D. Łabęcki i S. Pilaczyński za *Alfabet gubińskich ulic*

naczelną „Twórczości”) jako arbitrzy XVIII edycji Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. Natomiast w skład jury VII Lubuskiego Wawrzynu Naukowego weszli: prof. zw. dr hab. Wojciech Strzyżewski (przewodniczący Jury), prof. nadzw. dr hab. Elżbieta Skorupska-Raczyńska (PWSZ w Gorzowie Wlkp.), prof. zw. dr hab. inż. Marian Miłek (PWSZ w Sulechowie), prof. AWF dr hab. Tomasz Jurek (ZWKF w Gorzowie Wlkp.), dr Przemysław Bartkowiak (sekretarz Jury, WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze).

Zgodnie z procedurą regulaminową jurorzy otrzymali od sekretarzy komplety książek zakwalifikowanych do konkursu, spośród których przyznali nominacje do:

- Lubuskiego Wawrzynu Literackiego
 - Beata Patrycja Klary, *Zabawa w chowanego*, „Zeszyty Poetyckie”, Gniezno 2011
 - Andriej Kotin, *Motyle w motelu*, Pro Libris, Zielona Góra 2011
 - Eugeniusz Kurzawa, *Ćwiczenia z rozpacz*, [brak wydawcy] Wilkanowo 2011
 - Czesław Markiewicz, *80. urodziny Marilyn Monroe*, Wydawnictwo TAWA, Chełm 2011
 - Henryk Urbanek, *Iskierki*, Drzewo Laurowe, Zielona Góra 2011
 - Jerzy Benjamin Zimny, *Rubinos*, Okolica Poetów, Poznań 2011
- do Lubuskiego Wawrzynu Naukowego:
 - Dariusz Dolański, *Zielonogórska droga do uniwersytetu. 10-lecie Uniwersytetu Zielonogórskiego, 46-lecie zielonogórskiego środowiska akademickiego*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2011
 - Daniel Koteluk, *W nowych realiach. Wieś zielonogórska w latach 1945–1956*, „Eternum” Wydawnictwo z Pracownią Humanistyczną, Zielona Góra 2011
 - Anitta Maksymowicz, *Emigracja z pogranicza Brandenburgii, Śląska i Wielkopolski do Australii Południowej w latach 1838–1914*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2011

- Robert Skobelski, Ireneusz Wojewódzki, *Z prądem i pod prąd. Historia zielonogórskiej Elektrociepłowni*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Elektrociepłownia „Zielona Góra” S.A., Zielona Góra 2011

Uroczystość wręczenia nagród odbyła się w czwartek 23 lutego 2012 r. w siedzibie WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze w trakcie uroczystej gali konkursu. Decyzją Jury Lubuski Wawrzyn Literacki za 2011 rok przyznany został gorzowskiej poetce **Beacie Patrycji Klary** za tomik poetycki *Zabawa w chowanego*, zaś **Daniel Koteluk** otrzymał Lubuski Wawrzyn Naukowy za publikację naukową *W nowych realiach. Wieś zielonogórska w latach 1945–1956*. Oboje Laureaci otrzymali srebrne pióra autorstwa artystki plastyka Anety Pabjańskiej-Moskwy oraz nagrody pieniężne.

Ponadto Jury LWL przyznało wyróżnienia w kategoriach:

- dyplom za całokształt twórczości, który otrzymał **Andrzej K. Waśkiewicz**,
- dyplom za debiut literacki, który trafił do **Pauliny Korzeniewskiej** za książkę *Usta Vivien Leigh*,
- dyplom za walory edytorskie książek poetyckich wydanych w 2011 roku w „Serii serdecznej” przyznano **wydawnictwu Atelier RED FROG w Deszcznie**

Jury LWN postanowiło też przyznać dyplom za najlepszą książkę popularnonaukową pozycji **Wiesława D. Łabęckiego i Stefana Pilaczyńskiego** zatytułowaną *Alfabet gubińskich ulic. Alphabet der Gubiner Straßen*, wydanej przez Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Gubińskiej.

Licznie przybyli na uroczystość przedstawiciele władz samorządowych i miejskich, przedstawiciele lubuskiego środowiska naukowego i kulturalnego, a także miłośnicy literatury składali laureatom gratulacje i obdarzali kwiatami. Uroczystość w WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze uświetnił

spektakl *Żegnaj Księżę* w wykonaniu aktorów gorzowskiego Teatru im. Juliusza Osterwy i w reżyserii Rafała Matusza. Patronat honorowy nad imprezą objęli Wojewoda Lubuski – Marcin Jabłoński, Marszałek Województwa Lubuskiego – Elżbieta Polak oraz Prezydent Miasta Zielona Góra – Janusz Kubicki, którzy byli także fundatorami nagród.



Publiczność w sali dębowej WiMBP



Okładka nagrodzonej książki D. Koteluka

Bawiąc się w chowanego z Beatą Patrycją Klary

22 marca 2012 roku w klubie Pro Libris w Bibliotece Wojewódzkiej i Publicznej im. C. Norwida w Zielonej Górze odbył się kolejny Czwartek Lubuski. Jego gościem była laureatka Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2011, Beata Patrycja Klary. Rozmowa z autorką dotyczyła głównie jej dwóch tomików – nagrodzonego Lubuskim Wawrzynem *Zabawa w chowanego*, ale też wcześniejszego zbioru *Szczekanie głodnych psów*. Całość spotkania moderowała prof. dr hab. Małgorzata Mikołajczak, badacz literatury lubuskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Wiersze autorki zaprezentowała zgromadzonym słuchaczom Beata Beling.

Beata Patrycja Klary urodziła się w roku 1976. Ukończyła studia filologii polskiej. Swoje prace krytycznoliterackie publikowała między innymi w „Edukacji i Dialogu”, „Akancie”, „Kwartalniku Opolskim”, „Edukacji Czytelniczo-Medialnej” i „Pegazie Lubuskim”. Jako poetka zadebiutowała w antologii Klubu Literackiego GDK *Niedzielni poeci*, jej wiersze weszły także do antologii *Poeci Okrąglego Stołu* i *Zapisani w wierszach*. Za pierwszy tom wierszy *Witraże* otrzymała dyplom honorowy Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za najciekawszy debiut 2004 roku. W serii Biblioteka Literacka „Pegaza Lubuskiego” wydała dwujęzyczny tomik

wierszy *Imaginacje – Imagination* (Gorzów Wlkp. 2006). W 2006 r. była stypendystką Prezydenta Miasta Gorzowa. Rok 2010 przyniósł kolejny tomik poezji *Szczekanie głodnych psów*, zaś w 2011 roku opublikowała zbiór trenów *Zabawa w chowanego*, za który otrzymała Lubuski Wawrzyn Literacki 2011. Należy do Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury oraz do Stowarzyszenia Twórczego „Wena”.

Poezja Klary jest poezją feministyczną w swojej wyzwolonej i wojującej formie. Zapytana o nominację do Lubuskiego Wawrzynu, poetka bez fałszywej skromności odpowiada, że była świadoma iż może zostać nagrodzona. Bardziej jednak spodziewała się nagrody za odważne *Szczekanie głodnych psów* niż treny po zmarłym ojcu zebrane w tomik *Zabawa w chowanego*. To właśnie ten ostatni zbiór jest według samej autorki bardziej osobisty i dotyczy śmierci bliskiej osoby. Trzeba przeżyć swoje, aby odbiór tych utworów był właściwy.

Treny Beaty Patrycji Klary są tradycyjne i klasyczne w swojej formie. Novum pozostaje jednak ich zawartość. Nie sposób uciec od wrażenia podczas lektury, że wiele słów jeszcze nie padło między córką i ojcem, a ból wywołany świadomością, że

nigdy już nie padną, zmusza autorkę do wykreślenia numeru ojca, chociaż wie, że ten nie odbierze telefonu. Jak wyznaje poetka, dopiero mając dziesięć gotowych utworów zdała sobie sprawę, że układają się one w kompozycyjną całość, a ich psychologiczny przebieg jest dokładnie taki sam jak u Jana Kochanowskiego. Mamy więc w *Zabawie w chowanego* takie etapy jak: *exordium, comploratio, laudatio, consolatio, assuesco*. Na tym jednak analogia do renesansowego dzieła się kończy. Beata Klary idzie dalej niż jej poprzednik w pośmiertnym smutku. Z potrzeby serca wyłania się *transformato*. Wypowiada się sam zmarły ojciec i zabieg ten dopiero stał się dla pisarki wyzwaniem literackim. *Transformatio* to przede wszystkim projekcja owych niewypowiedzianych słów; stało się ono monologiem ojca na temat pisarstwa żałobnego i samej żałoby córki. Zdają się to poświadczać elementy biograficzne, dotyczące jednak wczesnego dzieciństwa autorki i jej relacji z ojcem w tym czasie. Rozmowy o przemijaniu i śmierci nigdy nie było. W tej projekcji rozmowy o umieraniu pobrzmiewają jednak echa wszystkich tych, którzy wcześniej o śmierci pisali lub mówili: Antygony rozpaczającej nad dołą ojca, Jesienina, Jima Morrisona. Wszystkim im autorka dziękuje.

Małgorzata Mikołajczak w rozmowie z Beatą Patrycją Klary zwróciła uwagę na fakt, że w przypadku jej nagrodzonego tomiku mówi się często o perwersyjnym pisaniu o śmierci. Rozdźwięk pomiędzy tomikiem debiutanckim *Witraże* a *Szczekaniem głodnych psów* czy obecnym wydanym po ośmiu latach od debiutu, skłania do stwierdzenia, że w poezji Klary nie nastąpiła ewolucja, lecz rewolucja. Poetka ze śmiechem zgadza się z tą tezą, uzupełniając, że te pierwsze utwory były zaledwie juvenaliami i przez ten czas wiele się w jej życiu wydarzyło. Chciałaby, aby jej utwory stawały się pretekstem do obalania tabu życia i śmierci. Zależy jej, aby kolejny tom, inspirowany chorobą jej syna, stał się zapisem i opisem rzeczywistości, którą autorka dostrzega wokół siebie. Te realistyczne ciągoty, ocierające się często o brudny fizjologizm zdają się mieć swoje korzenie w poezji

twórczości takich pisarzy jak Rafał Wojaczek, Marek Hłasko, Walt Whitman.

Obecna na spotkaniu pani profesor Anna Węgrzyniakowa z Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej zasugerowała autorce zajęcie się na poważnie krytyką literacką, gdyż udział w konkursach i działanie w Robotniczym Związku Twórców Kultury nie pozwoli jej się wypromować. Klary odpowiedziała krótko i dość ostro: „Robię swoje, a teraz jest dla mnie czas pisania wierszy. Jako krytyk ostro dostałam po głowie. Poza tym na konkursach można nieźle zarobić. Nie nastawiam się na wielki sukces, tylko chcę dobrze odwalić swoją robotę. Jeżeli się komuś to spodoba, tym lepiej”.

Zapytana o dalsze plany wydawnicze odpowiada, że przygotowuje zbiór wywiadów z osobistościami lubuskiego środowiska literackiego, m.in. z Januszem Koniuszem. Finalizuje także pracę nad kolejnym tomikiem poetyckim *Funeral house*, z którego III części zatytułowanej *Memy* autorka odczytała na zakończenie spotkania jeden wiersz.

Beata Patrycja Klary to kobieta stanowcza, zorientowana na jasno określony cel. O swoich doświadczeniach i spostrzeżeniach mówi otwarcie i bez skrępowania oraz fałszywej skromności. Taka też jest jej poezja – szczerza do bólu. Należałoby się jednak zastanowić, czy początkujący twórca nie powinien wykazywać się trochę większą skromnością i skrytością. W końcu zbyt mocne epatowanie własnym biografizmem, odziera poezję twórcy z jej tajemniczości i wielokierunkowości interpretacji.





RECENZJE I OMÓWIENIA

Lubuscy literaci

Małgorzata Mikołajczak, *Zbliżenia. Studia i szkice poświęcone literaturze lubuskiej*, Zielona Góra 2011, 206 s.

Nareszcie znalazł się ktoś, kto nie tylko nie potraktował literatury regionalnej po macoszemu, ale poświęcił jej należyłą dawkę uwagi. Mam tu na myśli Małgorzatę Mikołajczak, autorkę niezwykle ciekawej i wartościowej książki pt. *Zbliżenia. Studia i szkice poświęcone literaturze lubuskiej*. Publikacja ukazała się nakładem oficyny wydawniczej Uniwersytetu Zielonogórskiego w 2011 roku.

Zainteresowania naukowe Małgorzaty Mikołajczak skupiają się na kwestiach poetyki, interpre-

tacji i antropologii. Osobnym nurtem zainteresowań naukowych badaczki jest działalność krytycznoliteracka, koncentrująca się głównie na twórczości regionalnej.*

Publikacja *Zbliżenia. Studia i szkice poświęcone literaturze lubuskiej* to pierwsza część serii Historia Literatury Pogranicza. Estetycznie wydana, ponaddwustronicowa książka jest podzielona na trzy części. Pierwsza z nich, teoretyczna, zawiera szkice wprowadzające w tematykę książki, perspektywy badawcze, uwagi o sytuacji lubuskiej twórczości

* Patrz: http://www.ifp.uz.zgora.pl/index.php?option=com_content&view=category&layout=blog&id=94&Itemid=8, data dostępu 7.04.2012 r.

literackiej, krótkie informacje o wybranych tematach realizowanych u poszczególnych poetów. Druga część to już antologia właściwa – pięć podrozdziałów poświęconych oglądowi twórczości wybranych lubuskich pisarzy. Małgorzata Mikołajczak zajęła się w tym miejscu dorobkiem artystycznym Michała Kaziowa, Czesława Sobkowiaka, Anny Tokarskiej, Wojciecha Śmigieńskiego i Eugeniusza Kurzawy. Część trzecia i ostatnia to już szkice *stricte* krytycznoliterackie, autorka wzięła pod lupę poszczególne książki wybranych autorów. Każda minirecenzja została opatrzona celnymi uwagami doświadczonego krytyka i umieszczona w szerszym kontekście, każda dostała rzetelną ocenę.

Jako przykład niech posłuży część książki poświęcona twórczości Michała Kaziowa. Podrozdział dotyczący tego twórcy nosi tytuł *Współczesny moralitet. Dwa razy o pisarstwie Michała Kaziowa*. Dlaczego aż dwa? Może dlatego, że mamy do czynienia z pisarzo-poetą? Autorka *Zbliżeń* z uwagą przyjrzała się twórczości Kaziowa i taki też rzetelny ogląd trafił do książki. Jest garść informacji i o samym pisarzu, i o jego dziełach. Wskazane zostały najważniejsze motywy występujące w prozie i poezji Michała Kaziowa, pojawiło się kilka cytatów zaczerpniętych z utworów omawianego pisarza. Małgorzata Mikołajczak

w przystępny, ale rzetelny sposób przybliży sylwetkę i twórczość każdego z Lubuszan, których literacka aktywność stała się przyczynkiem do pojawienia się ich nazwisk w *Zbliżeniach*.

Taka budowa książki Małgorzaty Mikołajczak stanowi solidną syntezę regionalnej twórczości lubuskiej. Przechodzimy od ogółu do szczegółu, co pozwala każdemu odbiorcy znaleźć coś dla siebie. *Zbliżenia...* można czytać zarówno jako skończoną całość, jak też wybierać co smacniejsze kąski z tej jakże udanej publikacji. Książka została opatrzona obszernym indeksem nazwisk, znalazło się także miejsce dla noty bibliograficznej, gdyż, jak zaznaczyła autorka, większość zamieszczonych w książce studiów i szkiców ukazała się już wcześniej drukiem, na potrzeby tej publikacji zostały jedynie poddane modyfikacjom.

Warto sięgnąć po tę książkę, choćby po to, by zapoznać się pokrótce z sytuacją literatury, która powstaje i dzieje się obok nas. Publikacja będzie przydatna zarówno studentom filologii polskiej, jak też zwykłym laikom, pasjonatom, a także samym twórcom.

Może i dla nich znajdzie się miejsce w kolejnych tomach serii Historia Literatury Pogranicza?

Kinga Mazur

Pamięć egzystencji

Jacek Łukasiewicz, *Stojąca na ruinie*, Biuro Literackie, Wrocław 2011, 92 s.

Każdy nowy zbiorek Jacka Łukasiewicza czytamy z zacięciem. Decyduje o tym zawsze bardzo różnorodna zawartość treściowa – niespodziewane odstonki wyobraźni, skojarzeń i egzystencji – a także warstwa stylistyczna, w której aż iskrzy od różnorodnych napięć semantycznych. Są to poetyckie oryginalności autora, który wydał wiele tomików. Debiutował w roku 1959 zbiorem wierszy *Moje i twoje*, a obecnie publikuje regularnie

w „Odrze” swoje przemyślenia o literaturze i czytanych książkach. Cechą poezji Łukasiewicza jest to, zwłaszcza w najnowszych zbiorach, że przedstawia obraz egzystencji widzianej i doświadczanej, w możliwie jak najpełniejszej skali, podmiotowo. Wyłącznie podmiotowo. Tego się trzyma. Jego wiersze nie mają więc nic z obiektywizującego chłodu czy uniwersalizującego złudzenia. Są żarliwe. Zawsze wzruszające. Nie wytrawione ze

smaku piękna słowa poetyckiego, którego miar i proporcji poeta w swoim tworzeniu ściśle przestrzega. Powiedziałbym, bo to widać, że wypowiedź czy zapis odbywa się pod presją mocnego doznania, które wewnętrznie się spiętrzyło. Tworzenie ma miejsce jakby na styku z refleksją, która natychmiast domaga się wyrażenia. Oczywiście nie zawsze tak. Jednak ten żywy kontakt z przenikającą podmiot treścią jest widoczny. Domaga się ona rytmu o regularnej mierze, rytmu wywiedzonego z tradycji literackiej bądź sprozaizowanych kadencji zdaniowych. Dlatego są to wiersze – można rzec – jedyne w swoim rodzaju. Dodam tylko, że są to treści liryczne, wyznawane bądź w sferze opisu, obrazowania ważne, jak dotknięcia życia, nie do zastąpienia, gdyż zawsze łączą się z egzystencją samego podmiotu. A więc nie są od niego nigdy oddalone biograficznie. Tak ma się rzecz także – powiedziałbym – szczególnie w najnowszym zbiorze *Stojąca na ruinie*, który składa się z dwóch części: *Spojrzenia* i *Róg*. Zwłaszcza w pierwszej widać, jak ważną rolę (ta dominanta tu bardzo jest obecna) odgrywa pamięć. Pamiętanie o tym wszystkim, co się przeżyło i co miało w życiu miejsce. Co się widziało. Pamięć o własnym życiu każe poecie już w pierwszym wierszu zadać retoryczne pytanie, dramatyczne, jak w osłonie prawdy: Co ja z tym życiem zrobiłem? Pozornie podmiot wie, jakie ono było, ale tylko częściowo. Wiedzy towarzyszy niewiedza, więc słuszne jest dociekanie „Co?”. To jednak zawsze jest okryte tajemnicą. I można do niej się zbliżać, chcąc uchwycić szerszy sens, jak w innym wierszu (***) *Na stacjach szumią drzewa*, gdzie obraz poetyckiej sytuacji budują różne skojarzenia i retrospektywne przywołania, ale też tylko do pewnego stopnia. Zmysłowe treści są namacalne – „spadające kasztany” na jakiejś stacji kolejowej, ale reszta jest już poza zasięgiem percepcji. Tu napięcie poetyckie powstaje w zbliżaniu się do niej od różnych stron. Do nieznanego, które jest poza. W licznych momentach ta perspektywa nabiera znaczenia. Gdy poeta, np. postrzega presję czyjegoś wzroku „prosto w twarz” lub słuchając koncertu muzyki, który, no właśnie, „dokąd

prowadzi / jaka po nim / cisza”. Pamięć jest tym czynnikiem, który uzmysławia dziwność istnienia. Bo coś było, istniało, ktoś też był, i można, uznając nieprzypadkowość losu ludzkiego, zadawać pytania metafizyczne. Tak jak w wierszu (***) *gdzie wasze dusze chłopczy* będącym wspomnieniem, pełnym przyjacielskiego żalu: Leszka, Staszka, Feliksa, Teodora, ale wspomnienie nie tylko samemu wspomnieniu służy. Jest w istocie prośbą o jakiś rodzaj wsparcia. Pamięć ludzi w tym zbiorze, to oczywiście pamięć osób bliskich, kogoś szczególnie – kobiety, kolegi, miejsca, pamięć doznań i krajobrazu morskiego (piękny, dłuższy wiersz – poemat *Karwia*), pamięć sytuacji, pamięć – wdzięczność, wszystko to stanowi tu swoistą nić przewodnią. Czasami pamięć okazuje się bardzo pomocna w zaakcentowaniu własnej postawy życiowej. Poeta, pisząc na poły eseistycznie i epicko o przyjacielu Teodorze (*Pro memoria*), demonstruje duchową wspólnotę. Rozumienie człowieka. Odsłaniając cudzy los w jakimś stopniu, mówi także o sobie. Pamięć ludzi, którzy odegrali jakąś rolę w życiu jest ważna, bo wtajemniczali w jego rozpoznawanie. Czasami taką rolę spełniały przedmioty cywilizacji – „z tekturowego pudła / to były wtajemniczenia”, więc są z czułością przywoływane. W tym tomie obowiązkiem poety jest „pamięć o ludziach”, którzy już odeszli, umarli, jak wspomniana *Winia moja siostra*. Mówiąc wprost, jest to tom o przemijaniu życia, tyleż samo własnego co i innych, nawet oddalonych w czasie (*Rodia*), przemijaniu innego rodzaju niż wtedy, gdy stwierdza się ulotność chwilowego doznania piękna natury, zjawiska, bo po nim, po jednej ulotności, przychodzi kolejna, następna. A tu, w zbiorze, opisuje Jacek Łukasiewicz poniekąd świat bez egzystencjalnego jutra. Spotkania są przelotne, w pędzie, w przedzieraniu się przez materię, nie dające się zatrzymać w „śliskim powietrzu”, a następny dzień wydarzy się „Być może, być może”. Patrzy poeta na świat pożegnalnie. Tak jak należy w tej sytuacji. Według właściwej miary. Tężejność w tej perspektywie – ludzkie wysiłki, starania, usiłowania – budzi raczej politowanie, lub bezradną konstatację. Jakby dewaluuje się ich

waga (*Wizyta*), bo „czas zakończył rzeźbę”. Jest miejsce za ledwie na współczucie. I raczej, co ciekawe, nie stawia tu Łukasiewicz akcentu na okrucieństwo porządku świata. Życie i śmierć jest zagadką, wzajemnie się warunkującym rytmem istnienia. Jesieni życia czasem towarzyszy jesień natury. Człowiek jest jej częścią. Więc tu nie może być uroków i klimatu gorącego lata, jak we wcześniejszych książkach. Czas się przesunął. To wcale nie znaczy, że podmiot tych wierszy nie dostrzega dramatu człowieka. Raczej jedynie go nie interioryzuje. Nie chce. Być może to odruch samoobronny. Potrafi poeta utrzymywać w obrębie wiersza jednak napięcie między tymi dwiema sferami. Poza tym, ton pożegnany (że tak go nazwę) wcale nie ogołaca tej poezji ze zmysłowości. Jest ona mocna jak dawniej. Może teraz nawet jest ona istotniejszego rodzaju, bowiem jest jakby ta warstwa istnienia pochwytywana w końcowym akcie jej podmiotowego bycia. A więc z całą świadomością jej znaczenia i smaku (*Kwiat w czerwcu, *** skoczek skacze*), widoczna zwłaszcza w świetnych *Urywkach*. Czytelnik zapewne dostrzeże to wyposażenie słowa w dozę dramatyizmu. W moim odczuciu jawią się te wiersze przejmująco. Tym bardziej że tej w intensywności retrospekcyjnej nieuchronnie pojawia się (to mocny ślad napięcia) pytanie o to „co zostało?”. Zadane z dozą smutku, jak w wierszu *Smak papierosa* (jego pamięć wyzwala pamięć osoby) czy *Fragment malowidła*. Odpowiedzi wprost nie usłyszymy. Przeczytamy, że i pamięć jest ulotna, przemija wraz z człowiekiem: „ani myśl

ani pamięć / nie zmienia się w ciało”. Dostrzeżemy natomiast, że słowu poetyckiemu (formie języka) odebrany jest pyszniący nadmiar. Stosuje je bardzo oszczędnie, stosownie do sytuacji, w której nie ma miejsca na stylistyczne ułudy, na żadną tego typu dezynwolturę. Wersy radykalnie skraca. Zresztą wtedy niezwykle wyostrza się wymowa poetyckiego przekazu (*Odbicia, Pogrzeb F.N.*). Nic więcej nie należy dodawać. Często są niedopowiedzenia, sygnały językowe, za którymi skrywa się szersza rzeczywistość. Los. Ostateczność. Słowo zostaje zbliżone w możliwie maksymalnym stopniu do rzeczy samej. W drugiej części tomiku – *Róg* ten rodzaj poetyki, jak w eksperymentalnym popisie, zostaje poprowadzony jeszcze dalej. Próbuje Łukasiewicz uwolnić język, by w inspiracji muzycznej mógł nadać jeszcze sprawniej za sferą doznań, impulsów, skojarzeń. Świat podmiotowej biografii i doraźności jest ten sam, tyle że ekspresja treści jakby jeszcze ostrzejsza. Wymyka się ścisłemu porządkowaniu. Funkcja pamięci zostaje przesunięta na dalszy plan. Rytm muzyki wyzwala swobodne obrazowanie świata. Jacek Łukasiewicz wcześniej czerpał z inspiracji malarskich. Wtedy opisywał. Teraz zapisuje ciągi czynności, obrazów. Niejako po części rezygnując ze swej decyzyjnej roli. Teraz jesteśmy wprowadzeni w proces. Jesteśmy jego świadkami. Jest to jeszcze jeden akt poszukiwania adekwatnej dla własnego ja lirycznego formy wyrazu. Myślę, że ta aktywność twórcza zasługuje na szczególne docenienie.

Czesław Sobkowiak

Wszystko jest tu przejściowe

Eugeniusz Kurzawa, *Ćwiczenia z rozpacz*, Wilkanowo 2011, 42 s.

Ćwiczenia – już pierwszy element tytułu tomiku brzmi interesująco. Dzisiejszy odbiorca szuka dla siebie aktywnej lektury, chce, aby czytanie było inwencją i – jak powiedziałby Derrida – nieprzewidywalnym zdarzeniem. Forma praktyki pojawia się w dzisiejszych książkach często (można tu mówić o poradnikach dających receptę na szczęście, ładne uda czy dobrze upieczoną kaczkę), ale też nie była obca niegdyś (np. *Ćwiczenia duchowe* Ignacego Loyoli). Przesunięcie akcentu, które dokonywało się na przestrzeni wieków, ze sfery psychiki na sferę fizjonomii lub konsumpcji, nie jest odkryciem. Jak zatem spojrzeć na tytuł tomiku Kurzawy i jego zawartość? Czego on dotyka i czy może tego doświadczyć każdy czytelnik?

Rozpacz to słowo aż nazbyt afektywne. Oznacza głęboki stan smutku, bólu, niepokodzenia i bezradności. Ćwiczenia z rozpacz mogą być formą treningu wyzwalającego z tego przytłaczającego stanu. Ale nie jest wykluczone, że stanowią pozę, którą przyjmuje podmiot liryczny, dla pozostania w centrum uwagi.

Kurzawa to poeta-filozof, który świetnie odnajduje się w tematach egzystencjalnych. Nie narzeka przy tym na stan dróg albo brak moralności wśród gimnazjalistów. Jego najnowsze rozważania dotyczą *idei vanitas*. Już pierwszy wiersz tomiku koncentruje się na czasowym charakterze istnienia:

wszystko jest tu przejściowe jak korytarz
lub schody czy ulica – to pewne
bo przecież w nietrwałości od zawsze
nas rzeźbiono w ręce wkładając nicość
[...]

(*Przejściowe*, *ĆzR*, s. 7)

Nihilistyczna wizja, pod którą podpisałby się może i Sartre'a, jest powodem rozpacz ogól-

noludzkiej. Nie odzwierciedla przecież jednostkowego przypadku *homo sapiens*. Jest przy tym warunkiem *sine qua non* głębszej świadomości istnienia. Paradoksalnie stanowi punkt zwrotny życia, które z hipotezy wkracza w obszar tezy.

Ważny w tych wierszach jest też kontekst wiecznego ogrodu. Podkreśla on „chwilową powtarzalność” (***) [*wciąż odrastają ci paznokcie włosy broda...*], *ĆzR*, s. 15) człowieka. Ulotność prześladuje, osłabia też sensowność wysiłku: „względnie odpoczniesz po/ bezsensownym/ biegu znikąd donikąd a trawy wyrosną/ nietrwałe jak wieczność” (***) [*wciąż odrastają ci paznokcie włosy broda...*], *ĆzR*, s. 15). Nawet trawa odradza się w cyklicznym rytmie. Także kamień, określony jako obojętny, ma bezpodstawny przywilej zostania na zawsze:

[...]

nawet obojętny kamień wrasta w ziemię i
obraca mchem przyzwyczajając się
do miejsca tylko ja
jestem tutaj nietrwały
słabo ukorzeniony i rosnąc umieram

(*Rosnąc i umierając*, *ĆzR*, s. 13)

Podmiot liryczny nie przyjmuje *a priori* przemijalności jako reguły bytu ludzkiego. Szuka w niej szczelin, w których mógłby ocalić życie. Porządkuje swoją przeszłość: „nazywam i zapisuję/ to znaczy porządkuję/ wkładam do szuflad” (*Próby*, *ĆzR*, s. 9). Przyszłość jest tylko złudzeniem, nie ma sensu jej porządkować, bo – jak wyznaje – „jutro jest zawsze/ nieobecne” (*Próby*, *ĆzR*, s. 9). Właściwie wiersze te negują kategorię „jutra”. Czas tylko „udaje dobrego boga” (*Próby*, *ĆzR*, s. 9). Podmiot liryczny pogrążony jest w anhedonicznym kryzysie. Nic nie potrafi rozjaśnić depresyjnych myśli. Chroniczna gorączka przywołana w ostatnim wierszu tego tomiku to psychoso-

matyczna obrona przed abstrakcyjnymi oczekiwaniami świata:

w klasie pierwszej podstawówki
dostałem jakąś karę a może dwóję
nie pamiętam wróciłem do domu
z temperaturą tydzień nie chodziłem
do szkoły dziś taka sama gorączka
zabija mnie powoli codziennie
[...] za to że jak wtedy nie
wywiązałem [się] wobec oczekiwań
których wciąż nie rozumiem

(*** [w klasie pierwszej..], *ČzR*, s. 40)

Jaki jest związek tej dziecięcej gorączki z rozpaczą, z przemijaniem, z rozkładem? Oczekiwanie zewnętrzne także są tylko „przejściowe jak korytarz”. Powodują aksjologiczny chaos i nieprzemijającą gorączkę, z której wyleczyć może jedynie wewnętrzny kompas.

W tych wierszach niepokojąco pobrzmiewa pytanie: *ubi sunt?* Kurzawa przyrównuje ciało ludzkie do futerału, który bez trudu rozkłada się na pierwiastki: „pomyśleć zostaje tylko ekologiczny futerał/ łatwo przyswajalny przez naturę nawóz” (*Futerał*, *ČzR*, s. 35). Nie wydaje się to pociesze-

niem. Tym bardziej że nawet wierszy nie dotyczy już horacjańskie *exegi monumentum aere perennius*:

[...]
drobne prawdy które odkładam
na kartkach niemocy
bo przecież i one tleją
a potem rozkładają się
na pierwiastki i wersy
których nie było przede mną

(*** [wehikuł czasu..], *ČzR*, s. 20)

Andrzej K. Waśkiewicz stwierdził w postłowie do *Autoportretu z przyszłością*, że Kurzawa przeszedł swego rodzaju ewolucję: od zapisu zdarzeń ze świata realnego wszedł w deskrypcję zajęć w sferze świadomości*. *Ćwiczenia z rozpacz* to właściwie apogeum zanurzenia się w siebie, w lęk, które jednak nie muszą okazać się destrukcyjne. W dalszej perspektywie – „o ile o czas tu chodzi” (***) [nic nie ma..], *ČzR*, s. 8) – mogą przynieść pozytywny choć przewartościowany dogłębnie ogląd świata.

Mirosława Szott

Odnaleziona czasoprzestrzeń

Jolanta Pytel, *Nad Urwiskiem*, Atelier RED FROG, Zielona Góra 2011, 28 s.

Jolanta Pytel to poetka znana w środowisku literackim Zielonej Góry od lat 70. Kręgosłup jej wierszy jest stabilny i nie ulega fluktuacji pod wpływem konkursów czy lokalnych mód na oryginalność. Poetka ma na swoim koncie kilkanaście nieprzypadkowych zbiorów wierszy. Czy *Nad Urwiskiem* to krajobraz tekstów dający się rozkodować każdemu odbiorcy?

Inspiracją najnowszych wierszy Jolanty Pytel są przede wszystkim góry. Ich metafizyka przynosi refleksję nad sensem drogi i staje się pretekstem do zatrzymania na krawędzi życia i śmierci. Czy skoczę? – pobrzmiewa bez przesadnej afektacji pytanie podmiotu lirycznego. I nie o próbę samobójczą śladami Safony tu chodzi, ale raczej o decyzję dalszego istnienia, eksplorację esencji

* E. Kurzawa, *Autoportret z przyszłością*, postłowie A. K. Waśkiewicz, Zielona Góra 2006, s. 128.

poprzez zawieszenie nad przepaścią egzystencji i poddanie jej w wątpliwość. W wierszach Pytel pojawia się jeszcze inny aspekt tego stanu z pogranicza. Mianowicie obecność dziecka. Podmiot liryczny jest tu medium pomiędzy tym, co było, a tym, co jest.

O jak jest dobrze Twoje ramię poczuć
Kiedy spod stopy kamień się osuwa
I zdaje się że chwila trwa i trwa ale
Kropla w otchłań spada

Nad Urwiskiem, NU, s. 4

Tekst ów (dedykowany córce) pokazuje nadzwyczajną więź podmiotu lirycznego z utraconym dzieckiem. Ponadto odnaleźć można w tym utworze subtelnie podjętą tematykę temporalną. Chwila trwa, a z każdym jej upływem giną krople. Trudno powiedzieć, czy są to krople krwi, łez, potu czy może po prostu czasu, któremu już starożytny Heraklit nadał wodny charakter. Wiara w permanentną obecność dziecka czyni z takich milisekundowych wrażeń metafizyczne doświadczenie poza ciałem, poetycką podróż astralną: „Pod irlandzką górą przykucnęła/ Moja ośnieżona dusza” (*Kroki*, NU, s. 9). To właśnie wolność myśli i duszy zdaje się umożliwiać – załamując czasoprzestrzeń – spotkanie na granicy dwóch światów.

Tylko nad skałą Twoja Dusza krąży
Jak biały żrebak na niebieskiej łące

Nad Urwiskiem, NU, s. 4

Nie tylko postać córki przywoływana jest w tej poezji. W utworze *Świat niepoznany* pojawia się wędrówka zmarłego przyjaciela.

I znowu wędrujesz poza przestrzenią
I czasem
Zwiedzasz Wszechświat
Budujesz na obłokach dom

Świat niepoznany, NU, s. 17

Związane z tym są też reminiscencje z dzieciństwa. Metafora zgarbionego domu jest niezwykle wyraźna i dookreśla dziadka, który „rozkłada wik-

linę”. Czarno-białe zdjęcia stają się na chwilę jedną rzeczywistością:

Świat szarzeje
Kurczy się do kilku obrazów
Kilku zdjęć w rodzinnym albumie

Album, NU, s. 20

W niektórych tekstach wspomnienia są onirycznym tłem współczesnej opowieści. Wydają się słabo zaszczeplone w wersy, przypadkowe. Jednak dają wrażenie swoistego *deja vu*.

Odległe wspomnienie z dzieciństwa
Przy zabijaniu owce płaczą jak dzieci
Jedziemy powoli górską drogą

Górska droga, NU, s. 6

Wiersze te mają w sobie niepokój. Brak poczucia bezpieczeństwa można zauważyć w sformułowaniach: „Tuman pyłu przesłania widok/ Ściskamy słowa za gardło” (*Pojedynek*, NU, s. 24), „[...] ciemna woda/ Przesłania widok” (*Droga*, NU, s. 25), „Czas zapętała się na szyi/ I echo już nas nie powtarza” (*Nad Urwiskiem*, NU, s. 4). Niewidoczność drogi i upływający czas powodują lęk, który pogłębiają słyszane niczym przez schizofrenika głosy: „Za oknem szary mur/ Woła mnie ocean” (*Słowo*, NU, s. 18), „Czy to echo twoich kroków Córeczko?/ A może to góra mnie woła?” (*Kroki*, NU, s. 9). Ważna jest ta niepewność, która dotyczy chwili obecnej. Antycypuje ona krok następny. Zegar z tomiku *Czarny aptekarz* (J. Pytel, *Zegar*, Czarny aptekarz, Zielona Góra 1999) został „uzdrowiony” – odmierza czas w przyszłość.

Pytania, które bardzo często pojawiają się w tej poezji, zmierzają do poznania celu drogi. Cokolwiek się zdarza, jest niezbędne, aby iść dalej. Stąd podmiot liryczny nie pyta, dlaczego tędy, ale:

Dokąd biegnie moja droga?
To tylko krótki dystans [...]
Zadyszka krótki oddech i wybuch słońca
W piersi

Droga, NU, s. 25

Wiersz ten nawiązuje na poziomie semantyki do fragmentu utworu Zbigniewa Herberta: „Czuwaj – gdy światło na górach daje znak – wstań i idź/ dopóki krew obraca w piersi twoją ciemną gwiazdę” (Z. Herbert, *Przesłanie Pana Cogito*, Pan Cogito, s. 77). Pasywność zostaje zastąpiona zdeterminowanym działaniem, decyzją, aby chwilę traktować jako jedyną dostępną wieczność na ziemi („Tylko przez

chwilę a jakby/ na wieczność”, *Droga*, NU, s. 25).

Podmiot liryczny wierszy Pytel wybiera, stojąc nad urwiskiem, dalszą podróż. Zamiast stoicyzmu i niepełnego pogodzenia się ze światem obecna jest wiara w sens. I to właśnie wydaje się zapowiadać nowy etap poezji Pytel.

Mirosława Szott

Kameralne mistrzostwo

Michael Cunningham, *Nim zapadnie noc*, przeł. J. Kozłowski, Rebis, Poznań 2011, 272 s.

Michael Cunningham, podobnie jak laureatka Literackiej Nagrody Nobla Toni Morrison i zarazem rodaczka pisarza, jest prozaikiem nierozpieszczającym odbiorców. *Nim zapadnie noc* to piąta książka w jego dorobku literackim. Autor znany czytelnikom na całym świecie z nagrodzonej Pulitserem oraz zekranizowanej powieści *Godziny* tym razem nie serwuje wielowątkowej sagi rodzinnej, jak zrobił to w wypadku *Z ciała i z duszy*, ani nie przyznaje się wprost do literackich inspiracji jak w *Wyjątkowych czasach*. Czytelnik zostaje wprowadzony w zorganizowany, wręcz pedantyczny świat czterdziestoletniego właściciela drugorzędnej, nowojorskiej galerii sztuki Petera, który prowadzi pozornie szczęśliwe życie małżeńskie. Dekonstrukcja tego porządku następuje, gdy w odwiedziny przyjeżdża młodszy brat żony, zwany przez rodzinę Myłkiem.

Piękny, dwudziestoparoletni szwagier wzbudza w Peterze emocje, których od dawna nie czuł. Erotyczny pociąg idzie jednak w parze z afirmacją piękna, a nawet można stwierdzić, że całe uczucie, którym Peter obdarza Myłką, opiera się na bezgranicznym umiłowaniu sztuki, które ten uosabia. Jest w tym zakochaniu pewien klimat znany czytelnikom z *Portretu Doriana Graya* Oscara Wilde’a. Co prawda młodzienc nie wytwarza wokół siebie demonicznej aury i nie ma krwi na

rękach jak w powieści angielskiego pisarza, to jednak jego piękno oraz młodość obok fascynacji powodują cierpienie. Peter dusi się w dwuznacznie moralnej sytuacji – z jednej strony jego żona Rebekka to najbliższa dla niego osoba, z którą jest bardzo silnie związany emocjonalnie, z drugiej strony nie jest w stanie zwalczyć uczucia do Myłki. Młodzienc z kolei ukrywa przed siostrą aktualne problemy z narkotykami, o których przez przypadek dowiaduje się Peter. Prowokując szwagra do pocałunku, zdobywa sobie jego milczenie. Jak kończy się ta historia?

Cunningham zrezygnował z epickiego rozmachu (wspominane *Z ciała i z duszy*) porzucił intertekstualne gry z literackimi Mistrzami (*Godziny* inspirowane Virginią Woolf, *Wyjątkowe czasy* Waltem Whitmanem). Warto to podkreślać ze względu na zupełnie nową, w wypadku tego pisarza, narrację. Przedstawił czytelnikom kameralną historię rozgrywającą się między trojgiem bohaterów. I po raz kolejny osiągnął mistrzostwo. Celną obserwacja psychologiczna, przekonujące kreacje bohaterów, liryzm połączony ze szczerą próbą oddania ludzkich uczuć i pragnień – to główne cechy najnowszej powieści laureata Pulitzera. Styl tego utworu jest harmonijny, poetycki, spokojny, nie zaskakujący nagłymi zwrotami

akcji, może lekko senny, ale na tym polega jego urok. Homoseksualna erotyka *Nim zapadnie noc* przywodzi bardziej na myśl *Śmierć w Wenecji* Thomasa Manna niż *Zucha* Edmunda White'a. Myłek czyta, a raczej próbuje czytać *Czarodziejską górę*, a narrator komentuje jej autora jako „patrona nieszczęśliwych miłości”. Być może Mann jest duchowym patronem powieści Cunninghama, ale oryginalność tegoż nie pozwala wskazać na jakiegokolwiek próby literackiego hosztaplerstwa.

Doris Lessing w *Znów ta miłość* udowodniała, że wiek nie stanowi bariery dla uczuć, dla pożądania. Warto pamiętać, że Cunningham to artysta, któremu nie zdarza się stereotypowe szufladkowanie płci oraz preferencji seksualnych. Jego proza odzwierciedla tezę Woolf, że „pióro pisarza powinno być biseksualne”. Seksualność jest w tej powieści po prostu rozmyta, niejednoznaczna. Nawet termin „biseksualność”, po chwili zastanowienia, wydaje się uproszczeniem. Dzięki temu pisarz pokazuje, że nie określenia, nazwy, epitety są ważne, nie one wartościują uczucia i emocje. Odczucia ludzi są różnorodne, umykające definicji, balansujące często na granicach. Właśnie o to chodzi autorowi *Domu na krańcu świata* – pokazywać emocjonalną złożoność człowieka w zagubieniu współczesnej cywilizacji.

Nim zapadnie noc jest powieścią gorzką. Czym jest tytułowa noc? Przemijaniem. Dla czterdziestoletniego bohatera utworu doświadczającego kryzysu wieku średniego uczucie do wiele młodszego chłopaka jest nie tylko pogonią za pięknem i harmonią, ale być może ostatnią szansą na szczęście. Zanim przyjdzie noc życia. Interesujące są również relacje Petera z córką, która nie mogąc wybaczyć mu ojcowskich błędów z dzieciństwa, sprowadza ich kontakt do absolutnego minimum. Bohater zмага się także ze wspomnieniem zmarłego brata, z którym łączyła go relacja o kazirodczym zabarwieniu. Bolesna świadomość wszystkich porażek i straconych uczuć odżywa w relacji z Myłkiem. Jest to zarazem opowieść o potędze sztuki i jej nieprzemijalności. W niej amerykański prozaik zdaje się szukać sensu, dla którego warto istnieć, aby ją podziwiać i nieustannie afirmować.

Czytelnicy znający wcześniejsze książki Cunninghama z pewnością nie zawiodą się, zaś ci, którzy z nazwiskiem pisarza spotkają się po raz pierwszy, będą mieli okazję przeżyć wspaniałą przygodę literacką.

Jakub Rawski

Szumy, zlepy, ciągi

Magda Gryska, wystawa *Cytaty*, galeria BWA Gorzów Wielkopolski, marzec 2012

Nieprzypadkowo, próbując klasyfikować prezentowane prace Magdy Gryski, odwołałem się do tytułu prozy Mirona Białoszewskiego. Złożenie tych terminów sugeruje przecież przenikające się – w jakiś sposób połączone, choć zróżnicowane – klasy przedmiotów. Zakłada także próbę uspołnienienia, nadania obszarowi doświadczenia całościowego wymiaru. Fraza ta stanowiła zatem dla mnie pewien trop w wyznaczaniu ram dla tejże twórczości – twórczości, która właśnie

w takim, niejednorodnym uniwersum poszukuje dla siebie racji. Wszakże zarówno w pismach autora *Szumów, zlepow, ciąggów*, jak i prezentacjach Magdy Gryski, odnaleźć możemy podobną ideę organizującą oporną, „polifoniczną” rzeczywistość. Zbliżone zdaje się być również przekonanie dotyczące doświadczanej płynności, niestabilności świata oraz konsolidującego charakteru każdego wydzielonego miejsca. Podobnie codzienność – w obu propozycjach zyskuje odpowiednią rangę,

przekraczając poziom banału i wyznaczając horyzont doświadczenia. Wyraźny akcent w pracach Magdy Gryski stanowi jednak czasoprzestrzenna orientacja. Posiadając doskonałe rozpoznanie przestrzeni, artystka precyzyjnie się w nią wpisuje. Dlatego zarówno topografia wystawy, jak i plan samego projektu zostały zrównoważone, wskazując na podobną dynamikę zmian oraz rozpoznawalny kierunek rozwoju. Przestrzenna organizacja sygnalizuje tym sposobem ciągłą transformację. Definiuje także pewien krytyczny zamysł autorki, bowiem – pomimo skoncentrowania na działaniu się, metamorfozie – jej twórczość jest jednocześnie oznaką poszukiwania stałości. Potwierdzają to dwa wydzielone obszary ekspozycji, będące wzajemnie uzupełniającymi się częściami.

Pierwszy, umieszczony centralnie, sam mógłby stanowić pewien interpretacyjny klucz, stając się alegorią lokalizacji, określonej i wyodrębnionej przestrzeni posiadającej wyraźną temporalną charakterystykę. Część ta odwołuje się także do wyizolowanego miejsca, punktu wraz z jego tożsamościową kwalifikacją. Artystka mianowicie, nie odnajdując hierarchii w planie fenomenalnym, porządkuje swój świat wzdłuż osi czasu, tym samym ustalając dla niego dychotomiczną organizację: przeszłość/przyszłość. Dlatego trzy prostopadłościennne obiekty rozmieszczone na planie okręgu, zwrócone wejściami do jego środka, transponują niejako trzy stany pamięci, odnosząc się do odkrywanego w przeszłości ładu, do sytuacji wyjściowej, do mitycznego początku. Już one jednak przełamują statyczność ekspozycji, sugerując ruch będący konsekwencją konfrontacji – następstwem spolaryzowanej rzeczywistości, w której podział, mnożąc różnice i związane z nimi napięcia, antagonizuje izolowane obszary. Skonstruowana na planie koła ekspozycja odsyła tym samym do idei cyrkulacji – do naturalnie determinowanych procesów, które zyskują swój kulturowy ekwiwalent w powtórzeniu. Tak uformowany (przedstawiony) świat generuje swoje odbicia poprzez zwielokrotnienie i powrót, stając się transparentnym odwołaniem do stałych i rozpoznawal-

nych zasad. W ten sposób dynamika, płynność rzeczywistości zostaje „wstrzymana” przez zracjonalizowany schemat – wydzielona przestrzeń uzyskuje walor stałości.

Obiekty te generują równoległe ciągi czasu, które jednak – posiadając szereg dymensji – przenikają się wzajemnie. Jedna linia wiedzie do rodzinnego domu, do konstelacji matczynych robótek, do ciepłych barw oraz widoku z okna, które staje się parergonem projekcji czasu utraconego. Jest styczną mikrokosmosu wspomnień, który, trawestując Jamesa Joyce’a, można by określić wizerunkiem artysty z czasów młodości. Inna otacza towarzyszącą świadomym estetycznym wyborem kolekcję, prywatną galerię-półkę, w/na której wraz z mężem Magda Gryska umieszcza nieustannie konfigurowany, modyfikowalny zbiór przedmiotów znaczących, związany nie jedynie z jej artystycznymi fascynacjami, ale także retrospekcyjnie wspomaganą wyobraźnią. Jeszcze inna prowadzi nas do pracowni, która stanowi hybrydę ciemni fotograficznej i magazynu, odsłaniając, ale i skrywając kulisy warsztatu. Jak już zaznaczałem, wykreślone przez te trzy obiekty linie przecinają się, tworząc specyficzny konglomerat pamięci, emocji i wyobraźni, w którym obok śladów biografii, artystycznej edukacji i osobistych doświadczeń pojawiają się bardziej uniwersalne znaki odsyłające do szerszego, kulturowego kontekstu, zaś formułę wiwisekcji zastępuje nostalgiczna, imaginacyjna rekonstrukcja.

Drużga część ekspozycji, tradycyjnie malarska - choć należą do niej także umieszczone w amfiladzie fotografie z cyklu Ślady – zbiera niejako i porządkuje estetycznie gromadzone doświadczenia, będąc wyimkiem bogatej twórczości Magdy Gryski. Podobnie jak pierwsza, także ta druga część zorganizowana jest na planie, który odzwierciedla idee powtórzenia. W tym wypadku jednak repetycja zyskuje charakter reminiscencji. Artystka przywołała obrazy z różnych okresów, oddzielając jedynie od siebie poszczególne cykle, które jako specyficzna forma wypowiedzi stanowią znak rozpoznawczy jej twórczości. Cykl

stał się bowiem dla autorki wartościową formułą poprzez swą narracyjność – zdolność wiązania (podobnie jak literacka perypetia) poszczególnych wątków wypowiedzi artystycznej w spójną opowieść. Pośród zaprezentowanych prac znalazły się te, które w spektakularny sposób eksponują swą narracyjność – obrazy z cyklu *Krótkie opowiadania*, dekonstruujące chronologię, kadrujące ulotne chwile i zestawiające je w sekwencje, za pomocą których artystka zapisała historie fascynacji, rodzących się emocji i mgławicowych doznań. Pojawiły się także prace z cyklu *Plan B*, gdzie rozbić uległ już nie tylko porządek czasu, ale także konsolidujące kadr spojrzenie.

Aby jednak odstąpić kryjący się za prezentacją koncept, powinniśmy skonfrontować ze sobą wszystkie elementy ekspozycji, a więc także sceptyczne wobec całości Mapy, Koła przybierające kształt mandali, czy skoncentrowane na fantomatycznych znakach fotograficzne Ślady. Sam tytuł wystawy naprowadza na główną ideę prezentacji – cytat staje się reprezentatywnym znakiem twórczości, tym samym polemicznie dystansując się wobec tak mocno obecnej w kulturze popularnej potrzeby nowości. Jednocześnie bowiem odsyła do tego, co już rozpoznane (w pewien sposób skonsumowane) konstruując nowy ekspozycyjny horyzont. W cytacie wszakże dialektyka starego (cytowanego) z nowym (formą cytatu, kontekstem) uzyskuje przekraczającą nowoczesność formułę. Posługiwanie się cytatem zazwyczaj wiąże się z informowaniem o jego użyciu i źródle jako warunkiem rzetelności, która idzie w sukurs usiłowaniom dotarcia do prawdy oraz wysiłkom poznawczym. W artystycznej praktyce jednak pewna nonszalancja, a nawet celowe zacieranie granic cytatu może być skutecznym środkiem prezentacji, strategią twórczą, która jeszcze bardziej podkreśla imaginacyjny i iluzyjny (a więc zafałszowujący w sensie poznawczym) charakter sztuki.

W pracach Magdy Gryski ponowoczesna gra i „rozproszenie” dyskursu oraz w pełni nowoczesne oddanie dla poprzedników wraz z zaufaniem dla mocy artystycznej kreacji spletają się w dycho-

tomicznym związku, mieszając przeszłość z teraźniejszością. Artystka wcześniej już odwoływała się do takiej gry z odbiorcą (vide: *Obrazy z cytatem*, gdzie wkomponowane zostały fragmenty wcześniejszych prac), teraz zaś jej projekt uzyskał totalny wymiar – stał się manifestacją swobody twórczej. Ten krok posiada jednak dalsze konsekwencje – nie tylko artystyczne, które determinują dobór konwencji, lecz także estetyczne, które modyfikują kształt dyskursu dotyczącego pozycji artysty, jego geniuszu oraz oryginalności i unikatowości dzieł. Tym samym na nowo została zdefiniowana kreatywność, która pozwala już nie tylko czerpać z tradycyjnych form, ale także wprost odwoływać się do wcześniejszych prezentacji, przekształcać je, transformować, wpisywać w odmienny kontekst, separując od źródłowej relacji. Oczywiście, Magda Gryska ma świadomość, że takie działania destabilizują dotychczasową pozycję artysty, czyniąc ją tak samo płynną i zmienną, jak otaczająca rzeczywistość. Dlatego nie uzurpuje sobie wyjątkowej pozycji – absolutnej władzy nad formą i ewentualnymi modyfikacjami materii – lecz raczej staje się interpretatorem jej metamorfoz. Tym sposobem twórca może przecież również generować przemiany, dowolnie konfigurując elementy – nie od-twarzać, lecz raczej prze-twarzać sięgając do bogatego rezerwuaru środków. Wtedy nie tylko afirmuje rozpoznawany stan, ale także poddaje go odautorskiej interpretacji, nadaje mu określony sens.

Z takich właśnie działań budowana jest na wskroś nowoczesna postawa artystyczna – postawa twórcy, który porzuca ambicje nieograniczonej i autonomicznej względem ukonstytuowanego kulturowego sensu kreacji. Staje się on uważnym obserwatorem i komentatorem odkrywanej na powrót rzeczywistości. Rzeczywistości już zakorzenionej w znaczeniach, przesyconej kulturową treścią, ale także w pewien sposób zdeformowanej przez reprodukujące ją media. Dlatego też wnikliwa, rzetelna obserwacja – a taką proponuje Magda Gryska – stanowić może antidotum na selektywne i powierzchowne doświadczenie. Artystka uświadamia nam, że towarzysząca grze

tradycją (vide: sięganie do utrwalonych wizerunków, symboli, figur, przywoływanie rozpoznawalnych toposów, motywów) ponowna, bardziej skrupulatna recepcja konstruuje w odmienionych warunkach tak charakterystyczne doświadczenie nowoczesności. Odznacza się ono nie tylko bogactwem przeżyć, ale także ich monotonią i pustką, oraz towarzyszącym im specyficznym rodzajem dyskomfortu, który równoważyc może jedynie estetycznie determinowana satysfakcja.

Wielowątkowość i formalna obfitość tej propozycji mogą zatem stanowić paralelę perypetii dwudziestowiecznej sztuki. Wiek ten bowiem wytworzył przeświadczenie o sztuce nieustannie ewoluującej, przekształcającej się, poszukującej nowych obszarów oraz sposobów prezentacji. Taka perspektywa zdegradowała malarstwo z pozycji wyjątkowej sztuki do roli jednej z form artystycznego wyrazu – wydzielonego gestu, który także wymaga ewolucji i poszukiwań, aby nadążyć za tempem zmian samej rzeczywistości, do której nieustannie pragnie się odnieść. Ale to nie tempo przemian w obszarze percepcji wyłaniających się nowych form sztuki wyznacza artystyczną drogę Magdy Gryski – nie jest to także tak mocno obecne współcześnie polityczne uprofilowanie wszelkiej twórczej praktyki, choć tendencje te stanowią filtr, poprzez który autorka krytycznie przepuszcza wrazeniowy substrat.

Analogię i krytyczny komentarz do estetycznych procesów stanowić mogą malowane Mapy, które – będąc jednocześnie „żywą” postmodernistyczną metaforą potrzeby ustalenia topografii porządkowanego świata – modyfikują swój poznawczy walor, stając się przedmiotami estetycznymi. To kolejny poziom odseparowania się, refleksyjnego dystansu od rzeczywistości, mogący posiadać krytyczny, subwersywny potencjał – znosi bowiem zarówno jej presję, jak i konieczność opracowywania interpretacyjnych schematów, które pozwalałyby na asymilowanie i afirmowanie świata w każdym dostępnym kształcie. Te mapy, niczym fotografie z Michelinowskich przewodników bohatera powieści Michela Houellebecqa (*Mapa i terytorium*), kon-

centrują się na wyizolowanych i formalnie przetworzonych fragmentach rzeczywistości – wyrastają z konstatacji złudności obiektywnego opisu świata. Skoro bowiem nie jest możliwa synteza, to należałoby poprzestać na wielości opisów cząstkowych. Dlatego też Magda Gryska w części malarskiej swojej ekspozycji proponuje raczej mnogość prób i powtórzeń, niżli zamknięte, całościowe struktury. Ich malarskość dodatkowo pogłębia estetyczny dystans i sensualny walor. Artystka bowiem w ten sposób daje nam do zrozumienia, że sensotwórczy i konsolidujący charakter posiada idea nieustannie ewoluującego zbioru, nie zaś wyizolowanego detalu.

Można zatem zaryzykować stwierdzenie, że malarstwo to stanowi krytyczną odpowiedź na globalny charakter przemian estetycznych. Autorka bowiem dostrzega, że nie prowadzą one jedynie do powierzchownych przeobrażeń rzeczywistości i sposobów jej percypowania, a raczej przenikają do „głębokich” warstw materii, wytwarzając przekonanie o jej całkowitej plastyczności, podatności na zmianę. Dlatego też mechanizmem obronnym może być powtarzanie estetyzowanie – poddanie estetycznemu reżimowi samych narzędzi, za pomocą których komunikujemy się z otaczającym nas światem. Stąd w pracach Magdy Gryski wewnętrzne zdyscyplinowanie, kompozycyjny ład oraz staranny dobór artystycznych środków mogą sprawiać wrażenie schlebiana odbiorczym gustom. W istocie jest to jednak subtelna gra, zmierzająca do powiększenia dystansu i refleksyjnego potencjału.

W tym kontekście użycie fragmentu bądź całości wcześniej prezentowanego dzieła jako elementu nowej pracy może zostać zdefiniowane jako w pełni świadoma artystyczna strategia polegająca na wykorzystywaniu i przetwarzaniu całego spektrum dostępnych artystycznych realizacji. Twórczość Magdy Gryski tym samym nabiera znamion nowoczesnego dyskursu, wpisując się w rozległe uniwersum innych wypowiedzi: jej montażowy charakter potwierdza jedynie koherencję każdej nowej realizacji, ale także krytyczny dystans. Uniwersum obrazów, podobnie jak to

słowne, pozwala bowiem na selekcjonowanie i izolowanie wybranych elementów, fragmentów, detali oraz znajdowanie dla nich nowych konfiguracji – na transformowanie, budowanie nowych sensów. Takie twórcze działanie posiada także w pewnym sensie charakter rewitalizacyjny, bowiem przywołuje – co prawda, w odmiennym kontekście, w innej konfiguracji, poddane autorskiej interpretacji – tradycyjne treści, przypomina i utrwała przeszłe doświadczenia, przywołuje motywy i tematy. To prawda, że współcześnie takie separujące, niejako analityczne działania – izolowanie elementów od ich źródłowego kontekstu – stały się niezwykle atrakcyjne. Pozwoliły bowiem artystom na swobodne operowanie bogatą materią kultury symbolicznej, komponowanie przełamujące utarte konwencje, czy wręcz manipulowanie, uplastycznianie dotychczasowej materii sztuki. W ten sposób nowe aranżacje umożliwiły także Magdzie Gryse wydobyć niekonwencjonalnych form. Poddane kompozycyjnej swobodzie, odśloniły one nowe znaczenia – zmodyfikowany został ich estetyczny sens, rekontekstualizując i dekonstruując związane z nimi treści.

Nowe „odczytanie” artystycznych form zyskało przez to także subwersywną moc, uderzając w przyjęte konwencje oraz odbiorcze nawyki. Zaakcentowany został tym samym nowatorski potencjał sztuki, zacierając niejako źródła, których przywołanie umożliwiono. Ale w pracach Magdy Gryski pochodzenie oryginału nie zostało zakamuflowane – co więcej, transformacje zostały wyeksponowane i zasygnalizowane tytułem (pracy, cyklu), choć jednocześnie podlegać zaczęły one już innej konstrukcyjnej idei, która w pełni tłumaczy i semantycznie waloryzuje przedsięwzięte środki. Jak już wspominałem, ich cel mogła stanowić zarówno rewitalizacja, jak i utrwalanie pamięci, czy też odkrywanie/odsłanianie źródeł inspiracji.

Sposób, w jaki konstruowane są te artystyczne formy, prezentowane treści, czy budowane semantyczne związki, definiuje tożsamość twórcy, potwierdza jego obecność oraz uzasadnia styl

wraz z ideologicznym zapleczem. Czy zatem możemy twórczość Magdy Gryski etykietować jako postmodernistyczną, skoro operuje cytatem, rekonstruuje sensy, skrywa bezpośrednie treści, sięga do tradycyjnych, wręcz archetypicznych form, konfrontując je ze sobą, zmusza odbiorcę do zaakceptowania polifoniczności dzieła (operowanie różnymi dyskursami), nie sugerując dominującej narracji? Wydaje się, że wskazane wcześniej zaufanie dla tradycyjnej funkcji sztuki podważa jednoznaczność takiej kwalifikacji. Zapożyczenie i gra mogą stanowić bowiem nie tylko narzędzia konstytuowania nowego sensu, ale także pewnego rodzaju artystyczny komentarz do percypowanej przygodności, czy też chaosu. Mogą być również próbą kreatywnego przetworzenia wielości dostępnych informacji, odwołującą się do efektywnego wykorzystania rozległego kulturowego dorobku.

Na szczęście, na żadnym z poziomów prezentacji kontekstu swojej twórczości (warsztat, conceptualny wysiłek) Magda Gryska nie eksploatuje twórczego banału – nie stara się wylizać ilości wylanego potu i łez, nie epatuje nas rozterkami i wątpliwościami. Raczej swe twórcze zaplecze obramowuje estetycznie, w jego obszarze także odnajdując atrakcyjne i inspirujące momenty. Jej koncepcja jest klarowna, zaś mierzenie się z malarzką materią jawi się jako rodzaj gry z oporną, aczkolwiek afirmowaną rzeczywistością. Dlatego każde prozaiczne zdarzenie, każdy, najzwyklejszy nawet przedmiot uzyskuje walor estetyczny. Być może dlatego, że zmieniająca się rzeczywistość, mgławicowa sfera doznań, oraz masowo konsumowana sfera estetycznego doświadczenia wymagają innego tempa percepcji oraz ponownego „przepracowania” tradycyjnych pojęć i kategorii. Magda Gryska już dawno odkryła, że zewnętrzna zmiana determinuje analogiczne procesy przebiegające w nas samych. Świadomość nietrwałości skłania ją więc do repetycji, stałego przywoływania podobnych wątków – być może w celu rewizji, jakiegoś rodzaju kontrolnej wiwisekcji, sporządzenia inwentarza, bilansu tego, co pozostaje, co trwa jeszcze, co zatrzymuje na dłużej

swą wartość w odróżnieniu od ulotnych zdarzeń, które bezpowrotnie przemijają, jaśniejąc jedynie przez moment swym atrakcyjnym blaskiem.

Seneka twierdził, że każda sztuka jest naśladowaniem natury (*Omnis ars naturae imitatio est*). W pewnym sensie zatem jest ona nieustanną repetycją, ujętym w rygor umiejętności przywoływaniem tego, co w naturze spontaniczne, ale także próbą oddania jej nieskończonej możliwości reprodukcji. Być może zatem jej miejsce w gradacji autorki znalazłoby się właśnie po stronie takich wytwórczych działań, których sensem jest nie tylko odnotowywanie stanu świata (raport, inwentaryzacja), ale i – przywołując klasyków – uzupełnianie jego braków, niedoskonałości. Nie znaczy to jednak, że Marta Gryśka wyróżnia jedynie refleksyjny, intelektualny walor sztuki – wydaje się, że równie ważny jest dla niej ładunek zmysłowy i intuicyjny charakter, oraz budowane na kanwie dzieła emocje. Sama artystka zaznacza przecież, że tworzy melodyjne powtórzenia w niekończących się kołach, szczeliny pamięci, kolory i zapachy, dźwięki i ciszę, że sensualność i melodyjność jej kompozycji nakierowana jest nie na poznawczy cel, ale na emocjonalną sublimację wyróżnionych przez pamięć epizodów. Zwłaszcza dotkliwie przecucie utraty wymusza niejako kolejne repetycje, spinając mgławicowy obszar percepcji jakimś jednoczącym

rodzajem doświadczenia zyskującego niemal mistyczny charakter. Gdyby jednak założyć, że sztuka winna posiadać także remedialną funkcję, to w przypadku malarstwa Magdy Gryśki mogłaby ona neutralizować szkodę w kulturowo zapośredniczonej relacji pomiędzy światem natury a człowiekiem, którą niewątpliwie stanowi (między innymi) pamięć. Pamięć będąca ułudną zdolnością zatrzymywania czasu, lokującą się na poziomie historii rozumianej jako związany fabularną osią ciąg zdarzeń, czy też jako umiejętność spinania narracyjną klamrą określonych interwałów czasu. Stąd repetycja, cytat, przywołanie – nieustanny obrót pamięci w celu utrwalenia i wydestylowania owych wartościowych momentów (w porządku zarówno twórczym, jak i egzystencjalnym). Artystka ma bowiem świadomość, że nowoczesność jest uniwersum powtórzeń, że nie można zmieścić się w danej konwencji gatunkowej nie odwołując się do istniejących w jej ramach dzieł. Chociażby krytycznie. Jej refleksja zmierza jednak jeszcze dalej, ponieważ wpisana zostaje także w przekonanie o głębokim (niejako naturalnym, kosmicznym) sensie wszelkiej repetycji. Powtórzenia, cykle wyznaczają przecież rytm naszego życia i pracy. Wszakże repetycja i monotonia to siostry pamięci.

Artur Pastuszek

Teatr Lubuski w anegdocie

Zdzisław Grudzień, *W kulisach i na scenie. Część II. Wspomnienia 1980–1992*, Zielona Góra 2010, Pro Libris, 136 s.

W kulisach i na scenie... to druga część wspomnień zielonogórskiego aktora Zdzisława Grudnia, pierwsza część obejmowała lata 1950–1980. Autor niczym kronikarz – z Teatrem Lubuskim w Zielonej Górze związany był 33 lata – próbuje uchronić od zapomnienia dzieje teatralnego życia: „Korzystałem z mojego prywatnego archiwum, zgroma-

dzonych recenzji, notatek, fotografii” – pisze. Dużym atutem książki są licznie zaprezentowane w niej zdjęcia i plakaty, które przybliżają czytelnikowi klimat opisywanych wydarzeń.

Prezentowane wspomnienia mają formę fakto-graficzną, Grudzień z precyzyjną dokładnością opisuje kolejne sezony Teatru Lubuskiego – grał w ponad stu

rolach – z dużą uwagą i wiernością poświęconą datom. Możemy przeczytać: ile tygodni trwały poszczególne próby, ile razy grano którą sztukę, kto przez jaki czas i z jakim skutkiem zarządzał teatrem.

Nie brakuje również zabawnych dykteryjek z życia lokalnego aktorskiego świata i komicznych sytuacji z samych spektakli, mam tu na myśli dla przykładu szkolny spektakl *Ani z zielonego wzgórza* z 1986 roku, podczas którego młodzieńcza publiczność części „chłopięcej”, bo jeszcze nie męskiej, atakowała grających aktorów albo siedzące na widowni koleżanki z procy: „Dziewczynki uważnie śledziły akcję sztuki, za to chłopcy strzelali z proc małymi drucianymi haczykami [...] Na palcach, a dokładnie – na kciuku i wskazującym wiązali cienką gumkę, zaczepli o nią haczyk, naciągali i strzelali”. Jak zauważa autor tego typu rozrywka zdobyła popularność nie tylko na

terenie Zielonej Góry, ale także w innych teatrach.

Gdyby narrację Grudnia we fragmentach czysto relacjonujących pojedyncze zdarzenia pozbawić charakteru wyłącznie informacyjnego, a wzbogacić o wnikliwsze opisy zapamiętanych zdarzeń, pozycja ta zyskałaby na jakości. Niewątpliwie stanowi jednak bogate źródło scenicznej historii Teatru Lubuskiego i przeszłości kulturalnej miasta.

Jedno jest pewne anegdotyczne opowiadania i historyjki stanowią największy walor książki pod względem artystycznego wyrazu, perypetie podróży do radzieckiego Witebska na czele z gryzącymi pluskwami i czarnym handlem. Czytelników zainteresowanych schyłkiem komunistycznej Polski i początkiem nowej RP w stylu teatralnym odsyłam do lektury.

Marika Sobczak

Chichot Michała Michajłowicza – felieton trąący recenzją

Spektakl *Scenki z Zoszczenki*, Teatr Trójkąt na scenie Kombinatoru Kultury w Klubie 4 Róże dla Lucienne w Zielonej Górze, reż. Grzegorz Matysik. Wykonawcy: Beata Beling, Wojciech Czarnota, Sławomir Krzywiźniak, Ludwik Schiller, Artur Beling.

Teatr w pubie? Z kieliszkiem wina w ręce na spektakl? Tak, jeśli w zielonogórskim lokalu 4 róże dla Lucienne, to i owszem. Bruno Aleksander, właściciel pubu, zachęca, aby przed wejściem na widownię zahaczyć o bar, bo u niego można bez skrępowania raczyć się napojami także podczas spektaklu. Czarnowłosa, uśmiechnięty barman uprzejmie nie wytrzeszcza oczu ze zdziwienia, gdy zamawiam colę podgrzaną w mikrofalówce.

Wchodzę na salę. Krzesła ustawiono w kilku rzędach, dodatkowo kilka krzesłek na galerii, nie obowiązuje numeracja miejsc, reflektory rzucają światło na scenę. Publiczność schodzi się powoli, więc wymykam się jeszcze na chwilę, aby obejrzeć nowy wystrój pubu. Na salę wracam w ostatnim

momencie, więc nie wiem, czy były dzwonki, jak w „prawdziwym” teatrze. Kurtyny brak, jej rolę pełnić będzie zaciemnianie sceny w odpowiednich momentach (dla publiki to żaden mankament, jedynie dyskomfort dla aktorów, którzy nie będą mogli opowiedzieć znajomym i rodzinie, ile razy kurtyna szła dziś w górę).

Spektakl *Scenki z Zoszczenki* zwał się tytułem (nazwisko Zoszczenko znane mi było z pogaduszek z mamą, która czytała jego utwory w oryginalnej wersji językowej i opowiadała mi ich treść, gdy byłam podlotkiem), a ponadto skręca mnie ciekawość, jak funkcjonuje w naszej „zielonce” komercyjna prywatna scena teatralna. Spektakl wystawia Teatr Rozrywki „Trójkąt” pod wodzą doświadczonej pary aktorskiej – Beaty

i Artura Belingów. Ma Warszawa swój „Kwadrat”, to czemuż u nas nie miałby z powodzeniem funkcjonować twór różniący się od niego tylko jednym wierzchołkiem, żeby nie rzec – czubkiem?)

O spektaklu sporo było w mediach. Słyszac i czytając, zastanawiałam się, skąd pomysł zagrania sztuki autorstwa Michała Zoszczenki – satyryka z epoki stalinizmu. Przyjęło się grać rosyjską klasykę na polskich scenach, ale czy współczesnego polskiego widza może rozbawić coś, co śmieszyło Rosjan epoki radzieckiej? Co łączy lata dwudzieste i trzydzieste Rosji Radzieckiej i polską rzeczywistość epoki zjednoczonej Europy? Z rozmów publiki przed wejściem do pubu wnioskuję, że część widzów sądzi, iż zaszła pomyłka w tytule i chodzi tu o nie jakiegoś tam Zoszczenkę, lecz znanego przynajmniej ze słyszenia... Szewczenkę. Gryzę się w język, aby wypowiedzi miłej pani, całej w loczkach blond, nie prostować i się nie wymądrzać.

Na szczęście krzesło obok mnie jest puste, więc jak mi się zbierze na oklaski, to żaden kłopot, co zrobić z napojem. Ale gdyby na sali było pełniutko, to chyba musiałabym szklaneczkę stawiać na podłogę lub włożyć między kolana... (Panie Bruno, napoje „przed” i „po” – to i owszem, ale nie w trakcie...)

Treść większości scenek jest mi znana z opowiadań mamy. Zrobiono dobrą robotę adaptacyjną, nadając opowiadaniom formę dialogów scenicznych, spektakl zgrabnie wyreżyserował Grzegorz Matysik (po spektaklu Beata Beling wyjaśnia mi, w jaki sposób scenariusz trafił z Krakowa na zielonogórski grunt). Na deskach sceny oprócz państwa Belingów także inni świetni aktorzy – Wojciech Czarnota, Sławomir Krzywiżniak i Ludwik Schiller.

Jako widownia jesteśmy najpierw drętwi. Podejrzewam, że częściowo jest to wina tego, iż mamy ręce zajęte trzymaniem pucharków z napojami. Potem się rozkręcamy, a publiczność reaguje wybuchami śmiechu. Spektakl ma formę jednoaktówki złożonej z kilkunastu epizodów, zmiany dekoracji dokonują sami aktorzy na oczach widzów, których to nie rozprasza, bo zmiany te następują w czasie, gdy jeden z aktorów śpiewa

w oryginalnej wersji językowej bądź to romans cygański, bądź to piosenkę rosyjskiego żuła, lub serwowana jest popularna, skoczna, rosyjska piosenka w wersji instrumentalnej, zaczynająca się bodajże takimi słowami: „Oj, pałnym pałna mają karo-buszka, jest w niej sieć i parcza”. (Głowy, a nawet ucha nie daję w zastaw, że to na pewno to, bo leci tylko podkład).

A z czego śmiałyśmy się podczas tego spektaklu, panowie i panie? Ano, tak po gogolowsku – z samych siebie. Kiedyś na fali było śmiać się „z tych ruskich”, ale już naśmiałyśmy się, nakpiłyśmy się, no i „chwatit”, jak mawiają czasem po kielichu ci, którym od piątej klasy szkoły podstawowej język rosyjski wcisniano mniej lub bardziej skutecznie do niechętnych głów. A Zoszczenko wyszydza w spektaklu gburowatość, brak ogłady, skąpstwo, nieszczerość, bezmyślność – cechy powszechne wśród wielu osobników gatunku ludzkiego, niezależne od szerokości geograficznej narodowości. Chociaż akcencików typowo „ruskich” trochę się tam uzbierało. Ot, na przykład incydent z bezmyślną konduktorką pociągu. Sama przeżyłam podobny, rzekłabym – jeszcze bardziej traumatyczny niż ten, którego doświadczył jeden z bohaterów spektaklu. Było to w latach siedemdziesiątych zeszłego stulecia, gdy wraz z rodzicami odbywałam podróż (po szynach nieco większej szerokości) na trasie Wilno-Mińsk. Mieliśmy wykupione bilety pierwszej klasy, lecz pani konduktorka z uroczym złotym zębem, papierosem wciśniętym w uszminekowane usteczka i miną niezmiernie groźną oświadczyła nam, że dla trzech osób nie będzie fatygować się otwieraniem wagonu pierwszej klasy, więc mamy wsiadać tam gdzie wszyscy, a jak nam się nie podoba, to „nie nada”. A że nam było „nada”, więc wsiadliśmy tam, gdzie nam pozwoliła – do wagonu towarowego, załadowanego kilkudziesięcioma żołnierzami oraz kilkoma niedobitkami cywilnych Rosjan. Było swojsko, bo żołnierze częstowali nas pichconą w wagonie grochówką, ale niezbyt miło, bo onuce – obowiązkowy szczegół żołnierskiego stroju – wisały niczym świąteczne girlandy na sznurach rozciągniętych wzdłuż i w poprzek wagonu. Ja

odbyłam całą podróż, siedząc na, drewnianej skrzyni, którą uprzejmy żołdat wyścielił własnym szynelem. Przed wyjściem dyskretnie zajrzałam do jej wnętrza – leżały tam... granaty. Ten fakt dostatecznie tłumaczy moją wybuchowość...

W spektaklu „Trójkąta” zobaczyć można mnóstwo smaczków tego rodzaju, świetnie zagranych przez trupę aktorską. A co rozbawiło widzów najbardziej? Scenki z poczekalni wczesnoradzieckiej służby zdrowia i urzędów. Miałam okazję ostatnimi czasy zawitać na izbę przyjęć oddziału ratunkowego naszego szpitala wojewódzkiego, na szczęście w charakterze osoby towarzyszącej. To, co zobaczyłam, nie odbiegało od scenki opisaną przez Zoszczenkę. Ludzi tłum, lekarz tylko jeden o specjalizacji „od wszystkiego”, płacz dzieci, fatalna organizacja. Młody chłopak półtorej godziny czeka na przyjęcie, trzymając w lewej dłoni... odrąbaną kciuk dłoni prawej. Po wyjściu z gabinetu i założeniu opatrunku zwraca się do stojących w kolejce pacjentów z propozycją

sprzedaży owego odrąbanego kciuka, bo „... mnie on i tak już teraz na nic się nie przyda” – stwierdza z uśmiechem nieco gorzkawym. To, niestety, nie scenka z Zoszczenki. Uszyma duszy mojej (bo moja dusza ma nie tylko oczy, ale i uszy) usłyszałam wówczas na ponurej, szpitalnej poczekalni szyderych rechot. Czy to był pan, Michale Michajłowiczu?

Ileż zbieżności w tym spektaklu z naszą polską „europejską” rzeczywistością AD 2012! Możemy rzucać sobie tymi tam „okejami”, „sorrkami” itp., ale wciąż bliżej nam do „tych ruskich” niż do Europy. Ten spektakl mi to uświadomił. A na koniec publika odśpiewała wraz z aktorami znany przebój „Liechko na sierce ad pisni wiesiołaj”. Oj, i liechko i wiesioło – i trochę śmieszno i trochę straszno... Ani mi się śni tłumaczyć treść ostatniego zdania. Po jednym głębszym zrozumie je każdy Słowianin. No, prawie każdy.

A spektakl gorąco polecam.

Halina Bohuta-Stapel



KSIĄŻKI NADESŁANE

- Krystyna Caban, *Sześćdziesiąt pchnięć*, Wydawnictwo Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2011, 56 s.
Dziedzictwo kulturowe regionu gorzowskiego, T. 3 pod red. Elżbiety Skorupskiej-Raczyńskiej, PWSZ w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2011, 74 s.
- Ferdynand Głodzik, *Własnym nosem*, ZLP Oddział w Gorzowie Wlkp., Sonar Literacki, Gorzów Wlkp. 2011, 88 s.
- Daniel Jurkiewicz, *Niedopowiedziane...*, Dekograf, Żagań 2012, 64 s.
- Beata Patrycja Klary, *Zabawa w chowanego*, Zeszyty Poetyckie, Gniezno 2011, 68 s.
- Barbara Konarska, *Osty w fioletach*, Organon, Zielona Góra 2012, 28 s.
- Paulina Korzeniewska, *Usta Vivien Leigh*, Bramasole, Rzeszów 2011, 44 s.
- Krzysztof Koziołek, *Trzy dni Sokoła*, Manufaktura Tekstów, Nowa Sól 2011, 232 s.
- Bronisława Kuczko, *Nie mam czasu*, eMBePe Żary, Żary 2012, 36 s.
- Radosław Lemański, *Historia Santiaga Corteza*, Drzewo Laurowe, Zielona Góra 2011, 76 s.
- Radosław Lemański, *trwałem umarłem rodzę się żyłem*, Drzewo Laurowe, Zielona Góra 2011, 60 s.
- Ludwik I. Lipnicki, *Zachód słońca*, ZLP Oddział w Gorzowie Wlkp., Sonar Literacki, Gorzów Wlkp. 2011, 152 s.
- Władysław Łazuka, *Zaledwie ślad*, IBIS, Warszawa 2011, 80 s.
- Nadzieja Łukaszewska, *Papuszo, siostró moja*, Urząd Gminy Świdnica, Zielona Góra 2011, 20 s.
- Makom tow – dobre miejsce. Cmentarz żydowski Frankfurt nad Odrą / Stubice*, pod red. Eckarda Reissa, Magdaleny Abraham–Diefenbach, Vergangenheitsverlag, Berlin 2012, 246 s.
- Maria Orlicka, *Przyszedł do mnie wiersz*, Elblask, Zielona Góra 2011, 52 s.
- Zbigniew Rajche, *Ogrodnik świata*, Organon, Zielona Góra 2011, 32 s.
- Józef Rastawski, *Tułacze wschodu*, Dekograf, Żagań 2011, 96 s.
- Bogumiła Różewicz, *Welon na fali*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Zielona Góra 2011, 28 s.
- Spichlerz, Muzeum Ziemi Lubuskiej im. Jana Dekerta w Gorzowie Wlkp.*, Gorzów Wlkp. 2011, 48 s.
- Anna Strzelec, *Wiza do Nowego Jorku*, ZLP Oddział w Gorzowie Wlkp., Sonar Literacki, Gorzów Wlkp. 2011, 168 s.
- Tacy sami jesteśmy. Antologia poezji Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów*, Atelier RED FROG, Zielona Góra 2011, 48 s.
- To wszystko człowiek widział. Wspomnienia wschowskich kresowian*, Miasto i Gmina Wschowa, Wschowa 2012, 446 s.
- Izabela Wageman, *W poszukiwaniu snu*, Stowarzyszenie Salon Literacki, Warszawa 2011, 54 s.

AUTORZY NUMERU

Otto Julius Bierbaum

Ur. w 1865 r. w Zielonej Górze, zm. w 1910 r. w Dreźnie. Studiował prawo i filozofię. Był powieściopisarzem, krytykiem literackim, podróżnikiem i autorem pierwszego w historii literatury dziennika podróży odbytej samochodem *Eine empfindsame Reise im Automobil, 1903*. Zajmował się również literaturą dziecięcą. W 1905 napisał *Przygody Zaepfel Kerna*, będące niemiecką adaptacją przygód Pinokia Carla Colodiego.

Halina Bohuta-Stąpel

Ur. w Poznaniu; absolwentka Politechniki Wrocławskiej, poetka, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Wydała cztery tomiki wierszy; jest laureatką nagród i wyróżnień literackich. W 2009 r. otrzymała nagrodę kulturalną Wójta Gminy Świdnica. Mieszka w podzielonogórskim Wilkanowie.

Lech Brywczyński

Ur. w 1959 r., mieszkaniec Elbląga, dziennikarz lokalnej prasy. Autor ponad 30 dramatów jednoaktowych, z których większość była publikowana w pismach literackich („Tygiel”, „Autograf”, „Aspekty”, „Akant”, „Parnasik”, „Pogranicza”, „VariArt” i in.). Opublikował 17 dramatów w wydanej w 2002 r. w Elblągu książce *Dramaty jednoaktowe*. W elbląskim wydawnictwie URAN ukazał się jego drugi zbiór dramatów *A jak Ajakos*. Autor publikacji zawierających materiały przygotowujące licealistów do matury z języka polskiego (Wydawnictwo Szkolne OMEGA, JĘZYK POLSKI Matura 2007, Kraków 2006).

Karol Graczyk

Ur. w 1984 r. w Gorzowie Wlkp. Uprawia poezję, prozę, zajmuje się dziennikarstwem. Recenzent w dziedzinie literatury, filmu oraz muzyki. Laureat i zwycięzca kilkudziesięciu konkursów literackich, redaktor stworzonego przez siebie internetowego miesięcznika sztuki – Polskie Kulturalne Podziemie. Dwukrotny stypendysta Prezydenta Gorzowa Wlkp., laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2008.

Przemysław Grześniński

Absolwent filologii polskiej i filozofii. Pracuje w Dziale Literackim Lubuskiego Teatru. Autor kilku publikacji, twórca komediodramatu *Po prostu Leon po prostu* (premiera 2011 r. w Lubuskim Teatrze). Autor sztuk: *Studnia, To jest wojna, Według Michała, Żużel forever*.

Joanna Kapica-Curzytek

Ur. w 1967 r. Filolog angielski, glottodydaktyk, adiunkt w Instytucie Neofilologii na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl”, „Twoja Muza”, portal internetowy księgarni Merlin), recenzji teatralnych i wywiadów (wortal teatralny www.e-teatr.pl.). Jest współautorką i tłumaczką reportażu, który otrzymał Nagrodę Specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na krajowym konkursie reportażu radiowego „Polska i Świat 2000”. Oprócz literatury jej największą pasją są języki obce.

Beata Patrycja Klary

Rocznik 1976. Poetka i eseistka, filolog. Swoje prace krytycznoliterackie publikowała w „Edukacji i Dialogu”, w „Akancie” „Kwartalniku Opolskim”, „Edukacji Czytelniczo-Medialnej” i „Pegazie Lubuskim”. Jako poetka debiutowała w antologii Klubu Literackiego GDK *Niedzielni poeci*, jej wiersze weszły także do antologii *Poeci Okrągłego Stołu* i *Zapisani w wierszach*. Za pierwszy tom wierszy *Witraże* dostała dyplom honorowy Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za najciekawszy debiut 2004 roku. W serii Biblioteka Literacka „Pegaza Lubuskiego” wydała dwujęzyczny tomik wierszy „Imaginacje – Imagination” (Gorzów Wlkp. 2006). W 2006 r. była stypendystką Prezydenta Miasta Gorzowa. Należy do Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury oraz do Stowarzyszenia Twórczego „Wena”. Jest kandydatem Związku Literatów Polskich. Laureatka Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2011.

Wojciech Kozłowski

Od 1998 r. dyrektor BWA w Zielonej Górze. Prowadzi przy BWA Galerię PO, jedną z najbardziej progresywnych galerii w kraju. Jest wykładowcą Wydziału Artystycznego UZ.

Barbara Krzeszewska-Zmyślony

Kierownik Centrum Kultury i Języka Niemieckiego UZ, animator polsko-niemieckich przedsięwzięć kulturalnych, tłumacz.

Maciej Lindmajer

Student III roku filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, przygotowuje pracę licencjacką poświęconą *Sanatorium* Rafała Wojaczka.

Anna Łazdowska-Elińska

Ur. w 1978 r., absolwentka Animacji Społeczno-Kulturalnej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Publikowała w gazecie „Moje Miasto”. Debiut Poetycki w roku 2010 *Jestem* w Radiowej Książce Poetyckiej, publikacja poetycka *Zmrok* w Radiu Zachód 2011, publikacja radiowa *proz* 2012. Interesuje się muzyką i teatrem. Zajmuje się organizowaniem imprez kulturalnych dla dzieci.

Jakub Łysakowski

Dwukrotny stypendysta rządu francuskiego w Wyższej Szkole Dziennikarstwa w Lille, absolwent kulturoznawstwa ze specjalnością filmoznawczą i medialną (Uniwersytet Łódzki). Pracował jako recenzent i dziennikarz „Gazety Wyborczej”, pilot wycieczek zagranicznych. Prelegent Klubu Filmowego „Na górze” w zielonogórskiej Mediatece. Był kierownikiem kina Newa w Zielonej Górze, wykładowca w DKF *Kotłownia*, recenzent filmowy w audycji telewizyjnej *Kocioł Kulturalny* w Telewizji Przewodowej Zielona Góra. Komentator kulturalny i krytyk filmowy w telewizji polskiej.

Anna Makowska-Cieleń

Polonistka, nauczycielka II LO w Gorzowie Wlkp., były konsultant WOM, Członek RK Stowarzyszeń RP (przedstawiciel województwa lubuskiego), popularyzatorka lokalnego środowiska literackiego.

Zbigniew Masternak

Ur. w 1978 r. Prozaik, autor scenariuszy filmowych, dramaturg. Studiował prawo na UMCS w Lublinie, następnie filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. W 2009 r. ukończył scenariopisarstwo w Krakowskiej Szkole Filmu i Komunikacji Audiowizualnej. Debiutował prozą w 2000 r. na łamach „Twórczości”. Pracuje nad autobiograficznym cyklem powieściowym pt. *Księżstwo*, pomyślanym jako współczesna polska epopeja. Dotychczas ukazały się trzy książki z tego cyklu, na podstawie których został nakręcony film *Księżstwo* (2011). W 2011 r. trzy pierwsze książki zostały wydane w jednym tomie jako *Księżstwo. Trylogia młodości*. Jest współautorem książki *Kino polskie 1989-2009. Historia krytyczna* oraz noweli filmowej *Jezus na prezydenta!* Laureat Świętokrzyskiej Nagrody Kultury (2011) oraz Dorocznej Nagrody Starosty Puławskiego w Dziedzinie Kultury (2011). W 2003 r. wziął udział w filmie *Wiązanka*. W 2005 r. na podstawie opowiadania *Stacja Mirsk* powstał film, którego był współproducentem. K. Zanussi przygotowuje adaptację czekającej na wydanie powieści Masternaka *Nous sommes les Polonais*. Pochodzi z Piórkowa, obecnie mieszka w Puławach

Kinga Mazur

Ur. w 1989 r., studentka 2. kierunków Uniwersytetu Zielonogórskiego. Debiutowała i publikuje w gorzowskim piśmie literackim „Pegaz Lubuski”, wiersze drukowane w antologii młodych poetów ziemi sulęcińskiej *Smak na wiersz*. Autorka tomu poetyckiego *Już wiem*.

Ewa Mielczarek

Szefowa Działu Wydawnictw w WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, sekretarz redakcji kwartalnika „Pro Libris”.

Artur Pastuszek

Adiunkt w Instytucie Filozofii UZ; prowadzi badania w obszarze współczesnych doktryn artystycznych oraz projekt dotyczący modernistycznej refleksji nad kulturą; autor monografii opisującej relację sztuki i filozofii w dziele Witkacego oraz kilkadziesiątu artykułów z zakresu estetyki i filozofii kultury.

Dariusz Pawlicki

Ur. w 1961 r. Autor esejów, nowel, szkiców, wierszy (wydał kilka zbiorów utworów poetyckich m.in. *Haiku, 48 wierszy*). Pisze także książki dla dzieci (*Bibikin w drodze do Kamienia Życia*). Publikuje teksty w czasopiśmie społeczno-kulturalnych i literackich (m.in. „Gazeta Kulturalna”, „Rita Baum”, „Twórczość”); autor 100 haseł w *Encyklopedii Wrocławia* (Wydawnictwo Dolnośląskie); prowadzi „Warsztaty literackie”, wygłasza prelekcje poświęcone kulturze; mieszka we Wrocławiu, ale w swej twórczości wiele miejsca poświęca Suwalszczyźnie; należy do ZLP.

Marcin Radwański

Ur. w 1978 r. w Zielonej Górze, gdzie nadal zamieszkuje. Absolwent Zespołu Szkół Budowlanych i Centrum Kształcenia Ustawicznego w Zielonej Górze. Trudni się sprzedażą sprzętu komputerowego. Wielbiciel kryminałów i literatury obyczajowej. Lubi spędzać wolny czas na rowerze i w kinie. Opublikował kilka opowiadań na łamach „Parnasika”, „Akantu” i różnych stronach internetowych.

Jakub Rawski

Absolwent filologii polskiej; w 2010 roku na Uniwersytecie Zielonogórskim obronił pracę licencjacką dotyczącą ewolucji figury wampira. Obecnie finalizuje pracę magisterską z europejskiego romantyzmu. Stypendysta ministra nauki i szkolnictwa wyższego w roku akademickim 2009/2010. Wiceprzewodniczący Koła Literaturoznawców działającego przy Instytucie Filologii Polskiej UZ.

Alex Stawiński

Ur. w 1972 r., poeta, pisarz, dziennikarz. Przez większą część życia związany z Zieloną Górą. Od 10 lat mieszka w Wielkiej Brytanii.

Marika Sobczak

Ur. w 1987 r., doktorantka na UZ, ukończyła polonistykę. Była przewodniczącą Studenckiego Koła Literaturoznawców działającego przy Instytucie Filologii Polskiej UZ. Organizatorka studenckich wieczorów i konkursów poetyckich, konferencji naukowych. Zdobyła wyróżnienie w III Ogólnopolskim Konkursie im. C. K. Norwida.

Czesław Sobkowiak

Ur. w 1950 r. w Jaromierzu; absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim poeta, autor 16 tomików poetyckich; krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w Zawadzie koło Zielonej Góry.

Małgorzata Stachowiak-Schreyner

Ur. w 1975 w Sulechowie. Absolwentka studiów ekonomicznych. Pracuje jako instruktor teatralny. Laureatka ponad 150 nagród ogólnopolskich konkursów literackich, publikacje w kilkudziesięciu antologiach i prasie literackiej. Tomik *o czymś* wyróżniony przez jury Lubuskiego Wawrzynu Literackiego wśród najlepszych debiutów województwa.

Mirosława Szott

Studentka wydziałów polonistyki i pedagogiki Uniwersytetu Zielonogórskiego, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów.

Renata A. Thiele

Zielonogórzanka, od ponad 20-tu lat mieszka i pracuje w Akwizgranie. Jest tłumaczką, redaktorką czasopisma polsko-niemieckiego „polegio”, lektorką języka niemieckiego i polskiego, autorką tekstów literackich i artykułów prasowych w obu tych językach.

Henryk Urbanek

Absolwent AWF w Katowicach oraz reżyserii filmowo-telewizyjnej na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Był związany z Zespołem Filmowym OKO w Warszawie, pracował jako reżyser w Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi. Obecnie jest artystą niezależnym, realizującym filmy głównie dla Telewizji Polskiej S.A. Jako reżyser, zrealizował wiele filmów dokumentalnych, za które został nagrodzony. Henryk Urbanek jest również autorem wierszy, opowiadań i felietonów drukowanych w różnych czasopiśmie: „Poezja” i „Student”, „Więź”, „Na Głos”, „Gość Niedzielny”, „Śląsk”, „Akcent”, „Odblaski nocy”. Wyróżniony nominacją do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za 2011 r.

Joanna Wawryk

Absolwentka zielonogórskiej polonistyki ze specjalnością edytorską i bibliotekoznawstwa. Bibliotekarz w WiMBP w Zielonej Górze.

Irena Zielińska

Ur. w 1956 roku w Gorzowie Wlkp. Poetka i malarka. Uprawia także krótkie formy eseistyczne. Debiut w 1977 r. w miesięczniku „Odra”. Od 1983 roku uczestniczka Ogólnopolskich Interdyscyplinarnych Warsztatów Artystycznych RSTK w Lubniewicach i Garbiczu, na których zdobywała pierwsze nagrody. Wydała cztery poetyckie książki: *Oceania Irenejska* (Gorzów 1998, RSTK), *Naga rzeka* (Gorzów 2003, WAG Arsenał), *Złota cisza poety* (Gorzów 2008, WAG Arsenał), *Przytępiana na istnieniu* (Pro Libris 2011). Jej drugi tomik był nominowany do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2003 i otrzymał nagrodę za najładniej wydaną książkę w województwie lubuskim. Większość swoich książek autorka sama ilustrowała. W 2008 roku artysta multimedialny, Piotr Wysocki nakręcił film z udziałem Ireny Zielińskiej. Ten swoisty dokument wizualno-poetycki zatytułowany *Zbliżenie* przyniósł artyście wiele prestiżowych nagród, w tym: Główną Nagrodę w V edycji Konkursu „Samsung Art Master” zorganizowanego przez Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie. Również za m.in. ów film artysta otrzymał nominację do Paszportu Polityki. Wiersze poetki wielokrotnie prezentowano w programach radiowych i telewizyjnych. Były drukowane w prasie ogólnopolskiej. Poetka na stałe współpracuje z prasą lokalną („Kurier Międzyrzecki”) i gorzowskim czasopismem literackim „Pegaz Lubuski”. Od 2003 roku należy do Związku Literatów Polskich. Mieszka w Międzyrzeczu.

Jacek Żeromski

Ur. w 1973 r. w Zielonej Górze. Absolwent Akademii Rolniczej we Wrocławiu, poeta, prozaik.



III Konkurs „Debiut Poetycki Pro Libris” rozpoczęty!

Już po raz trzeci Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna organizuje Konkurs „Debiut Poetycki Pro Libris”, którego celem jest zachęcenie młodych autorów do tworzenia poezji, do rozwoju własnego talentu oraz stworzenie możliwości zaistnienia w regionalnym środowisku literackim poprzez debiut wydawniczy. Nasz partner – Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych DEBIUT – podobnie jak w roku ubiegłym – i tym razem będzie nas wspierać w tym przedsięwzięciu.

Liczymy na to, że Konkurs spotka się z zainteresowaniem młodych poetów, tym bardziej, że nagrodą główną jest wydanie w nakładzie 200 egzemplarzy tomiku wierszy Laureata. Pozostali autorzy mają szansę na publikację wybranych wierszy w kwartalniku „Pro Libris”, który zamieszcza relację z przebiegu Konkursu. Bywa, że taka publikacja staje się początkiem dalszej współpracy młodych poetów z piśmem literacko-kulturalnym.

W dwóch poprzednich edycjach Jury konkursowe wyłoniło zwycięzców (Jakub Rawski w 2010 r. i Andriej Kotin w 2011 r.), których wiersze zostały opublikowane w starannie wydanych tomikach, opatrzonych komentarzami recenzyjnymi wybitnych znawców literatury lubuskiej. Obaj laureaci mieli okazję przedstawić swoją twórczość i zaprezentować się szerszej publiczności na wieczorach poetyckich z udziałem środowiska literackiego Zielonej Góry, a także za pośrednictwem lokalnych mediów.

Serdecznie zachęcamy do udziału w tegorocznej edycji i nadsyłania poetyckiej twórczości. Na teksty oczekujemy do 7 października 2012 r.

Obok zamieszczamy Regulamin Konkursu, w którym znajdują się szczegółowe warunki obowiązujące uczestników.

REGULAMIN III KONKURSU „Debiut Poetycki Pro Libris”

ORGANIZATOR KONKURSU

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze
Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych DEBIUT

IDEE KONKURSU

- Zachęcenie młodych autorów do tworzenia poezji, do rozwoju własnego talentu i zaistnienia w szerszym kręgu odbiorców.
- Promowanie twórczości młodych lubuskich poetów.
- Stworzenie możliwości zaistnienia w regionalnym środowisku literackim poprzez umożliwienie debiutu wydawniczego.

WARUNKI UCZESTNICTWA

1. Konkurs jest skierowany do osób wywodzących się z województwa lubuskiego lub obecnie zamieszkujących na jego terenie, które nie ukończyły 35 roku życia oraz których twórczość poetycka nie ukazała się jeszcze w formie książkowej.
2. Tematyka wierszy zgłaszanych do Konkursu jest dowolna.
3. Utwory nadesłane nie mogą być wcześniej publikowane w formie drukowanej oraz nagradzane w konkursach.
4. Uczestnicy Konkursu nadsyłają nie mniej niż 40 wierszy, z których każdy powinien być opatrzony godłem (pseudonimem autorskim, a nie znakiem graficznym). Wiersze w formie wydruku komputerowego oraz na płycie CD należy nadsyłać na adres:

**Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra
z dopiskiem: III Konkurs „Debiut Poetycki Pro Libris”**

5. Dane uczestnika (imię i nazwisko, adres do korespondencji, e-mail, nr telefonu) należy umieścić w osobnej kopercie opatrzonej tym samym godłem.
6. Na nadesłanie prac organizatorzy czekają do 7 października 2012 r.
7. Organizatorzy nie zwracają nadesłanych tekstów.

NAGRODA

Nagrodą w Konkursie jest publikacja wierszy laureata w formie tomiku poetyckiego w nakładzie 200 egzemplarzy w terminie do pół roku od ogłoszenia werdyktu Jury.

POSTANOWIENIA OGÓLNE

1. Prace nadesłane po upływie wyznaczonego terminu, przesłane za pośrednictwem poczty elektronicznej oraz niespełniające wymogów technicznych, nie będą brane pod uwagę w ocenie.
2. Organizator Konkursu powołuje Jury, które wybiera laureata. Ocena Jury jest ostateczna i nie podlega weryfikacji.
3. Rozstrzygnięcie Konkursu nastąpi 31 października 2012 roku.

ZAPYTANIA I UWAGI prosimy kierować do Ewy Mielczarek, Dział Wydawnictw WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, tel. 68 45 32 637, kom. 603 610 906, e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl



Biuo Festiwalowe Kozzi Gangsta Film
GOK Kargowa, ul. Browarna 7, 66-120 Kargowa
festiwal@kargowa.pl, tel/fax: 68/352 50 41
więcej na: www.kozzigangsta.pl,
a także: www.facebook.pl/kozzigangsta

O festiwalu

Kozzi Gangsta Film – Festiwal Filmu i Teatru im. Maćka Kozłowskiego w Kargowej odbędzie się w dniach 5-8 lipca 2012 i jest pierwszym tego typu projektem w Polsce zakładającym cykliczne, letnie przeglądy twórczości filmowej i teatralnej inspirowane refleksją o Maćku Kozłowskim – wybitnym aktorze filmowym i teatralnym. Festiwal przyjmuje formę wielopokoleniowej imprezy kulturalnej, a także jest sposobem uczczenia pamięci wybitnego aktora, mieszkańca Kargowej oraz budowania tożsamości kulturalnej regionu i nowego wizerunku miasta.

W pracach nad projektem uczestniczyło wiele osób. W organizację zaangażowali się m.in. Zbigniew Hołdys, pomysłodawca nazwy Festiwalu, dr Andrzej Buck – koordynator projektu, czy Agnieszka Kowalska – żona Macieja Kozłowskiego. Program pierwszej edycji składać się będzie z sekcji poświęconych samemu aktorowi: przegląd filmografii, przegląd twórczości teatralnej. Pojawi się także nurt prezentujący twórczość zaproszonych przyjaciół Kozłowskiego. Wśród innych: klasyka gatunku kryminalno-sensacyjnego (na czarnej taśmie); kino autorskie – przegląd z gościem specjalnym; kino pod Ratuszem – prezentacja dużych produkcji z udziałem reżysera; kino niemieckie; kryminał... w kinie czeskim i inne. Pojawi się również Przystanek Teatralny: Stacja.

Festiwal jest unikatową formułą promocji twórczości filmowej i teatralnej Maćka Kozłowskiego, ale także gatunku filmu, jaki prezentował: kryminału, filmu gangsterskiego, sensacji, kina akcji. Przegląd jego imienia zapoczątkuje w Kargowej, jego rodzinnym mieście, cykl wydarzeń filmowych i teatralnych pokazujących różne nurty i trendy panujące w kinematografii i świecie teatru.

Zamysł imprezy oparty jest na refleksji o Maćku Kozłowskim i jednocześnie przybliżeniu gatunkowych inspiracji jego twórczości czyli filmu sensacyjnego i gangsterskiego, kryminału, kina akcji. Jedną z przestrzeni filmowych Przeglądu poświęcona będzie młodemu odbiorcy. Formuła festiwalu przewiduje imprezy towarzyszące (spotkania z gwiazdami kina, teatru, koncerty i wystawy oraz warsztaty). Festiwal corocznie zapraszać będzie znaczące postaci ze świata kina i teatru – aktorów, reżyserów, kompozytorów filmowych, kostiumologów, scenografów, scenarzystów itp.

Wierzimy, że pierwszy Festiwal Filmu i Teatru im. Maćka Kozłowskiego w Kargowej Kozzi Gangsta Film zgromadzi liczną grupę uczestników, którą stanowić będą widzowie z całej Polski i Regionu oraz partnerzy z Niemiec. Przyznamy również po raz pierwszy statuetkę Kargowskiego Lwa. To wyjątkowa okazja, ponieważ Festiwal jest jedynym wydarzeniem o takim charakterze w kraju.

Dyrektor Artystyczny Festiwalu
Andrzej Buck

www.kozzigangsta.pl



kozzi
gangsta
film

LUC
Zbigniew Holdys
Adam Baldych
Mariusz Bonaszewski

5-8 lipca
Kargowa 2012

kozzi gangsta film

FESTIWAL

filmu i teatru **im. maćka kozłowskiego**

Film- und Theaterfestival namens Maciek Kozłowski. Kozzi Gangsta Film.

Województwo Śląskie



Urząd Województwa Śląskiego



Urząd Województwa Śląskiego



Federalna Agencja



TVP



DZIEN

STOŚĆ

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską w ramach Europejskiego Funduszu Regionalnego
w ramach Programu Operacyjnego Wzrost Gospodarek, 2007-2013, Priorytetu 1 "Wzrost Gospodarek",
działania 1.1 "Wzrost Gospodarek", 1.1.1 "Wzrost Gospodarek", 1.1.1.1 "Wzrost Gospodarek".

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską w ramach Europejskiego Funduszu Regionalnego
w ramach Programu Operacyjnego Wzrost Gospodarek, 2007-2013, Priorytetu 1 "Wzrost Gospodarek",
działania 1.1 "Wzrost Gospodarek", 1.1.1 "Wzrost Gospodarek", 1.1.1.1 "Wzrost Gospodarek".



Współfinansowanie



Partnerzy



Cena 10,50 zł
(w tym 5% VAT)

ISSN 1642-5995

1 2



9 771642 599108



PRO
LIBRIS